

**GIOVANNI  
BOCCACCIO**

DEKAMERON

# Giovanni Boccaccio

## Dekameron

[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=55843802](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843802)

*Dekameron:*

### Аннотация

Dekameron znaczy „dziesięć dni”. Dzieło Giovanniego Boccaccia tak właśnie zostało podzielone: na dziesięć dni, podczas których dziesięcioro mieszkańców Florencji (siedem dam i trzech kawalerów), którzy z obawy przed szerzącą się zarazą opuścili miasto, przedstawia kolejno swoje opowieści na zadany temat. Wszystko razem tworzy zbiór stu nowel, a kompozycja całości przypomina Baśnie z tysiąca i jednej nocy. Cudowności i baśniowych motywów jest tu jednakże niewiele, wiele za to mówią te historie o kulturze i obyczajach renesansowych Włoch. Dominującym tematem jest miłość we wszelkich swych odcieniach – od najwyższej wzniosłości do najbardziej cielesnego erotyzmu, niegardzącego niekiedy sprośnymi akcentami buffo. Autor ze swobodą krytykuje nadużycia kleru, nawiązuje też do ostrych podziałów na stronnictwa propapieskich gwelfów i procesarskich gibelinów, które antagonizowały poszczególne miasta i regiony włoskie przez kilka stuleci, począwszy od XII w. Nic dziwnego, że wydane w 1470 roku dzieło (znane wcześniej prawdopodobnie w odpisach i we fragmentach), w XVI w. znalazło się na indeksie ksiąg zakazanych. W czasach Boccaccia, znajomego Petrarcki i przyjaciela Dantego,

twórczość prozatorska była niżej ceniona niż poetycka, jednak dziś autor Dekameronu ceniony jest przede wszystkim jako twórca modelu nowożytnej noweli i obrońca głęboko humanistycznej zasady, by ludzkie rzeczy mierzyć ludzką miarą.

# Содержание

Prolog	6
Prolog	10
Dzień pierwszy	34
Opowieść pierwsza. Spowiedź Ciappelletta	34
Opowieść druga. Podróż Abrahama z Paryża do Rzymu	53
Opowieść trzecia. Trzy pierścienie	60
Opowieść czwarta. Ciężki grzech	64
Opowieść piąta. Kury	70
Opowieść szósta. Sto za jedno	74
Opowieść siódma. Poskromienie skąpca	78
Opowieść ósma. Skąpiec Grimaldi	85
Opowieść dziewiąta. Pątniczka	89
Opowieść dziesiąta. Zakochany starzec	91
Dzień drugi	100
Opowieść pierwsza. Martellino-kaleka	101
Opowieść druga. Modlitwa do świętego Juliana	109
Opowieść trzecia. Dziwne małżeństwo	119
Opowieść czwarta. Landolfo Rufolo	132
Opowieść piąta. Andreuccio z Perugia	140
Opowieść szósta. Znalezione dzieci	160
Opowieść siódma. Alatiel, narzeczona króla Algarbii	180

Opowieść ósma. Przypadki grabiego Antwerpii	211
Opowieść dziewiąta. Nieszczęścia poczciwej białogłowy	234
Opowieść dziesiąta. Kalendarz starych mężów	253
Dzień trzeci	268
Opowieść pierwsza. Wilk w owczarni	272
Opowieść druga. Król włosy strzyże	282
Opowieść trzecia. Spowiedź	290
Конец ознакомительного фрагмента.	302

# Giovanni Boccaccio

## Dekameron

### Prolog

Zaczyna się księga Dekameron, w której zawiera się sto nowel, opowiedzianych przez siedem białogłów i trzech młodzieńców

Ludzka to rzecz współczucie dla nieszczęśliwych; jeśli jest ono każdemu właściwe, to tym bardziej winno być znane człękowi, co sam, litości potrzebując, od drugich jej doznawał. Należę do liczby tych, którzy w potrzebie przyjaźni się nurzają, uczucie to wielce sobie cenią i niejedną miłą chwilę mu zawdzięczają. Od najwcześniejszych lat mojej młodości aż po dzień dzisiejszy szlachetną i wzniosłą miłością jestem ożywiony, bardziej może – gdybym chciał o tym opowiadać – niżby tego niska moja kondycja oczekiwać pozwalała. A chociaż zyskiwałem pochwały i estymę ludzi pełnych ogłady, co o tych sprawach zasłyszeli, to przecież wiele srogiego bólu miłość ta mi sprawiła; przyczyną jego było jednakże nie okrucieństwo miłowanej damy, lecz zbyt ni ogień mojej duszy, trafionej niepowściągliwym *appetitem*<sup>1</sup>. Żądze te nie pozwalały

---

<sup>1</sup> *appetit* – dziś popr. pisownia: apetyt. [przypis edytorski]

mi się kontentować tym, co posiadałem, i przyczyniały mi więcej boleści, niżby należało. Wśród tych wielkich cierpień rozmowy z jednym z moich przyjaciół i pociechy od niego doznawane były dla mnie wsporem, bez którego z pewnością bólu mego bym przeżyć nie mógł. Jednocześnie według niezmiennego prawa, ustanowionego zrzędzeniem Tego, kto sam jest nieskończony, każda ziemská sprawa koniec swój mieć musi; tak się też stało z moją, nazbyt płomienną namiętnością, której ani zdrowy rozsądek, ani żadna rada, ani myśl o czekających na mnie niebezpieczeństwach i sromie przełamać i zwyciężyć nie mogły; dopiero wszechmocna siła czasu powoli ją przytłumiała, tak iż dzisiaj ostało po niej jeno<sup>2</sup> uczucie ukontentowania, znane każdemu, komu obcy jest azard<sup>3</sup> puszczania się na burzliwe namiętności odmęty. Ciężko mi było na duszy, aliści<sup>4</sup> ból minął i ostały mi się tylko miłe wspomnienia.

Boleść szczyła, lecz żyje i do grobowej deski trwać będzie pamięć o dobrodziejstwach, okazanych mi przez tych, co gwoli litości, odczuwanej dla mnie, moim cierpieniem cierpieli. Nie ma, według mego zdania, szlachetniejszego uczucia niżli uczucie wdzięczności. Zasługuje ono na najwyższą pochwałę, gdy przeciwnie, jego brak godzien jest jeno wzgardy. Wdzięcznością powodowany, chciałbym w miarę sił moich w zamian za to, co otrzymałem, teraz gdy już swobodny jestem, pewne ulżenie

---

<sup>2</sup> jeno (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> azard a. hazard – tu daw.: ryzyko. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> aliści (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

sprawić, jeśli już nie tym, co mi dobrodziejstwa okazywali i którzy, być może, dzięki swej rozwadze lub szczęściu usług mych nie potrzebują, to przynajmniej tym, którym się one na coś zdadzą. A chociaż moja pomoc i *wspór*<sup>5</sup> niewielkimi by się okazały, wszakoż, zgodnie z swym mniemaniem, winienem je nieść tam, gdzie się na nie najbardziej czeka i gdzie przez to lepiej ocenione będą i większą korzyść przyniosą. Któż zaprzeczyć może, że z taką pociechą obracać się należy do pięknych dam, którym bardziej niżli mężczyznom jest ona potrzebna? One to, strachając się i wstydząc, w swej delikatnej piersi płomień miłosne skrywają. O ile zaś ów skryty płomień silniejszy jest od jawnego, wiedzą o tym ludzie, co go doznali. Posłuszne woli i rozkazaniu ojców, matek, braci i mężów, całe dnie w zamkniętych komnatach jak gdyby na próżnowaniu trawią. Chcąc czy nie chcąc, o wielu rzeczach myśleć muszą, a przecie myśli te nie zawsze wesołymi się okazać mogą. Niejednokrotnie próżne pragnienia do ciężkiej melankolii damy te przywodzą; jeśli się jej miłą rozmową nie rozproszy, w ciężkie strapienie może się łatwie<sup>6</sup> przemienić.

Nietrudno się przekonać, że u mężczyzn, którzy miłują, to się nie zdarza; gdy ich bowiem melankolia i przykre myśli ogarną, dość mają na to środków, aby się rozweselić i ulgę znaleźć. Mogą pójść, gdzie chcą, usłyszeć i obaczyć to, na co chęć mają, polować, ryby łowić, jeździć konno, grze lub handlowi

---

<sup>5</sup> *wspór* – wsparcie. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> *łatwie* – dziś popr. forma: łatwo. [przypis edytorski]

się oddawać. Każde z tych zajęć może umysł zająć i choćby na czas pewien smutne myśli rozproszyć; później tą lub inną drogą przyjdzie pociecha i boleść szczerze.

Los niesprawiedliwie postąpił skąpiąc podpory tam, gdzie sił jest niedostatek, tak jak to widzimy na przykładzie słabych niewiast. Chcąc tedy<sup>7</sup> choćby w części ten błąd fortuny naprawić i pomoc tym damom, które miłość poznały, okazać (dla pozostałych wystarczą igły, wrzeciona i krosna), zamyślam powtórzyć sto nowel, bajek albo przypowieści, jak je pospolicie nazywają, opowiedzianych w ciągu dziesięciu dni przez zacne grono siedmiu dam i trzech młodzieńców, gdy we Florencji niedawny mór się srożył; przypomnę także kilka pieśni, śpiewanych dla rozrywki przez te białogłowy.

W nowelach mych zawierają się różne ucieszne i smutne przypadki miłosne, a także inne zdarzenia przeszłych i dzisiejszych czasów. Damy, które je czytać będą, ukontentowanie z opisanych wypadków odniosą i otrzymają dobrą radę, czego unikać należy i za czym iść trzeba. Mniemam, że jedno i drugie nudy im nie przyczyni, przeciwnie, odegna ją całkiem. Jeżeli tak się stanie (co oby Bóg sprawić raczył), to niechaj czytelniczki moje złożą dank<sup>8</sup> Amorowi, który mnie z pięć swoich oswobodził i dał mi przez to możliwość podjęcia trudu, co radość ich ma na celu.

---

<sup>7</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> *dank* (daw., z niem.) – podziękowanie, wyrazy wdzięczności. [przypis edytorski]

# Prolog

Zaczyna się pierwszy dzień Dekameronu, w którym po wyjaśnieniach autora, dla jakiej przyczyny osoby, mające następnie wystąpić, zebrały się tutaj i gawędzą społem, pod przewodem Pampinei rozprawia się o tym, co każdemu najbardziej przypada do smaku.

Ilokrotnie, miłe damy, pomyślę o wrodzonym wam współczuciu, zaraz wystawiam sobie, że dzieło niniejsze będzie miało dla was smutny i przykry początek. Zaczyna się ono bowiem od wspomnienia morowej zarazy, strasznej i żalostnej dla każdego, kto był jej świadkiem albo też jakimkolwiek sposobem o niej uznał. Nie chciałbym jednak, abyście przeraziły się, nim czytać poczniecie, i pomyślały, że przez cały czas czytania płakać i wzdychać będziecie. Niechajże ów smutny początek będzie dla was tym samym, czym dla wędrowców stroma i spadzista góra, za którą skrywa się miła i piękna równina. Im trudniejsze było wejście i zejście, tym słodsze jest później odetchnienie.

Nieskończona radość boleścią się kończy, a po boleści znów radość nastaje. Po tym krótkotrwałym smutku (mówię krótkotrwałym, bowiem w niewielu słowach on się wyraża) wkrótce nastąpi wesele i radość, które wam już przyobiecałem. Bez stosownego uprzedzenia, po tak posępnym początku, nie mogłybyście wróżyć sobie później nijakiego ukontentowania.

Gdyby to możliwe było, powiódłbym was tam, gdzie chcę, całkiem inną drogą niż tą kamienistą ścieżką. Aliści, nie dotknąwszy tego wspomnienia, objaśnić bym wam nie mógł, jakim sposobem zdarzyły się te rzeczy, o których czytać będziecie; zatem k'temu<sup>9</sup> konieczność mnie czysta przywodzi.

Powiem więc, że w roku od narodzenia Pana naszego, Jezusa Chrystusa, tysiąc trzysta czterdziestym ósmym, w sławnym mieście Florencji, klejnot miast włoskich stanowiącym, wybuchła zaraza morowa, sprowadzona wpływem ciał niebieskich albo też słusznie przez Boga zesłana dla ukarania grzechów naszych. Mór zaczął się na kilka lat przedtem na Wschodzie i spowodował tam wielkie spustoszenia. Powoli, z miejsca na miejsce się przenosząc, zaraza do krajów zachodnich dotarła. Zapobieżenia ludzkie na nic się wobec niej zdały. Nie pomogło oczyszczanie miast przez ludzi do tego najętych, zakaz wprowadzania chorych do grodu, różne przestrzeżenia, co czynić należy, aby zdrowie zachować, ani też pokorne modlitwy, procesje i wszelkie pobożne dzieła.

Wiosną tego roku mór począł w przedziwny sposób okrutne spustoszenia czynić. Choroba nie objawiała się u nas tak jak na Wschodzie, gdzie zwykłym znamieniem niechybnej śmierci był upływ krwi z nosa. Zaczynała się ona równie u mężczyzn, jak u kobiet od tego, że w pachwinach i pod pachą pojawiały się nabrzmienia, przyjmujące kształt jabłka albo jajka i zwane przez lud szyszkami. Wkrótce te śmiertelne opuchliny pojawiały się

---

<sup>9</sup> k'temu (daw.) – do tego. [przypis edytorski]

i na innych częściach ciała; od tej chwili zmieniał się charakter choroby: na rękach, biodrach i indziej występowały czarne albo sine plamy; u jednych były one wielkie i rzadkie, u drugich skupione i drobne. Na chorobę tę nie miała środka sztuka medyczna; bezsilni byli też wszyscy lekarze. Możliwą jest rzeczą, że przyrodzenie<sup>10</sup> choroby już takim było, albo też, że lekarze nic nie wiedzieli. Medyków wówczas pojawiło się siła<sup>11</sup>, tak mężczyzn jak i kobiet, nie mających, mówiąc po prawdzie, najmniejszego pojęcia o medycznym kunszcie. Nikt nie mógł odgadnąć przyczyny choroby ani znaleźć na nią stosownego remedium. Dlatego też jedynie nieliczni z chorujących do zdrowia powracali, wszyscy pozostali umierali trzeciego dnia, od chwili gdy te znamiona na ciele się pojawiały; przy tym nawet gorączka zazwyczaj nie występowała. Morowa zaraza grasowała z wielką siłą; od chorych udzielała się łatwo zdrowym, którzy z zarażonymi przebywali, podobnie do ognia, co łatwopalne przedmioty obejmuje. Aliści zło jeszcze szło dalej; wystarczyło dotknąć się sukien chorego lub jakiegokolwiek rzeczy, którą miał w rękę, aby się zarazić. To, o czym teraz powiem, może się wydawać rzeczą zadziwiającą. Gdybym jej na własne oczy nie widział i gdyby nie świadectwo wielu, sam bym jej nie dał wiary ani poważiłbym się jej tu opisywać. Siła zarazy była tak wielka, że przenosiła się ona nie tylko letko<sup>12</sup> z jednego człeka na

---

<sup>10</sup> *przyrodzenie* (daw.) – tu: natura. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> *siła* (daw.) – dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>12</sup> *letko* (daw. a. gw.) – lekko. [przypis edytorski]

drugiego, ale i tak bywało, że jeśli do przedmiotu, stanowiącego własność chorego, zbliżyło się jakieś zwierzę, zaraz mór się go chwycił i w krótkim czasie je uśmiercał. Jakem to już nadmieniał, sam byłem takiego przypadku świadkiem. Strzępy odzieży pewnego nieboraka, zmarłego z powodu tej choroby, na ulicę wyrzucone zostały. Do szat podeszły dwie świnie i jeły<sup>13</sup> je, wedle swego obyczaju, ryjami i zębami poruszać. Nie minęła ani godzina, a zwierzęta, jakby trucizny się najadły, zatoczyły się i padły nieżywe. Wypadki te wzbudziły w umysłach nieopisaną trwogę i napełniły je różnymi wyobrażeniami. Wszyscy bezlitośnie tylko o to się starali, aby społeczeństwa z chorymi unikać. To zdawało się powszechnie jedynym ocalenia sposobem. Niektórzy mniemali, że strzeżliwość przeciwko zarazie zabezpieczyć może, dlatego też wszelkiego nieumiarkowania się wystrzegali. Zgromadzali się w domach swoich, gdzie żyli odcięci od świata całego. Jadali letkie potrawy, pili powściągliwie wyborne wina i chuciom cielesnym nie folgując, czas swój na muzyce i innych dostępnych im przyjemnościach trawili dla zapomnienia o zarazie i śmierci, o których ani słyszeć nie chcieli.

Inni zaś<sup>14</sup> całkiem przeciwnie postępowali twierdząc, że najlepszym lekarstwem na zarazę jest nie myśleć o niej, pić tego i żyć wesoło, śpiewać i żartować, wszystkie swoje pragnienia zaspokajać i śmiać się z tego, co się wokół dzieje.

---

<sup>13</sup> *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>14</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

Tak też i czynili. Dzień i noc włóczyli się po oberżach, pili na umór, a częściej swywolili w cudzych domach, opuszczonych przez prawych właścicieli, tak iż każdy mógł je zajmować rządząc się tam do woli. Jednakowoż i ci, raczej do zwierząt niżli do ludzi podobni, unikali skrzątnie obcowania z zarażonymi. Wpośród takich opresyj i takiej żądzy osłabła, a nawet całkiem szczyła siła tak człowieczych, jak i bożych praw. Jej stróże i wykonawcy bądź to poumierali, bądź chorzeli albo też tylu podwładnych utracili, że obowiązków urzędu swego dopeńnić nie mogli. Każdy przeto mógł czynić, co chciał. Wielu ludzi wybrało sobie sposób życia pośredni między tymi dwoma, o których już nadmienilem. Ci nie ograniczali się w jadle, na podobieństwo pierwszych, nie pili i rozpuście się nie oddawali, żyli jeno<sup>15</sup> zgodnie z swym gustem a życzeniem. Nie zamykali się w domach, ale chodzili wszędzie, nosząc w rękach kwiaty, zioła pachnące i różne korzenie, które do nosa przykładali, w mniemaniu, że podobne zapachy siły żywotne w nich skrzepią. Powietrze w tym czasie było bowiem ciężkie, gęste i nasiąkłe smrodem gnijących trupów, wyziewami chorych i lekarstw.

Inni wreszcie, bardziej nieużyci i bezlitośni, twierdzili, że najlepszym środkiem na zarazę jest ucieczka od niej. Myśląc tylko o sobie, siła<sup>16</sup> mężczyzn i kobiet opuściło miasto, domy, majątności, krewniaków i przeniosło się do posiadłości swoich, za bramami grodu leżących, albo też u ludzi obcych schronu

---

<sup>15</sup> *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> *siła* (daw.) – dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

szukało. Mniemali widocznie, że gniew Boga, karzącego ludzi za ich nieprawość, osiągnie tylko tych, co w obrębie miasta pozostaną, innych zaś<sup>17</sup> oszczędzi, tak jakby cała ludność miasta na zagładę skazana została i jakby dla niej ostatnia godzina wybiła. Wprawdzie pomarli nie wszyscy z tych, co podobne mniemania żywili, ale i nie wszyscy zarazę przeżyli; owszem, pośród wszystkich tych stronnictw choroba szerzyła się srodze. Liczni, gdy się jeszcze zdrowiem cieszyli, opuszczali w niedoli swoich krewniaków i przyjaciół i tym dawali przykład drugim, którzy gdy na nich kolej przyszła, to samo czynili, zdając bliskich na pastwę losu. Gdyby to jeszcze sąsiad sąsiada bez pomocy ostawiał, gdyby tylko znajomi i krewniacy wystrzegali się wzajemnych odwiedzin! Niestety, powszechna klęska taką trwogę w umysłach mężczyzn i kobiet sprawiała, że brat opuszczał brata, wuj siostrzeńca, siostra brata, a często nawet żona męża swego. Gorzej jeszcze, że ojcowie i matki ostawiali dzieci swoje nie troskając się o nie zupełnie, tak jakby obcymi im były. Wielu spośród mnogich mężczyzn i białogłów, dotkniętych zarazą, mogło tylko u kilku tkliwych przyjaciół albo też u sług najętych pomocy szukać. Słudzy ci, chciwością powodowani, otrzymawszy wielką zapłatę, mieli pieczę nad chorymi. Aliści i takich niewielu znaleźć można było; byli to przy tym ludzie grubi i z podobnymi posługami wobec chorych wcale nie obeznani. Umieli jeno podać czasem to, czego chory żądał, a także po śmierci przybrać go do trumny. Zgarniali wielkie

---

<sup>17</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

zyski, ale i sami umierali.

Skutkiem tego, że chorych opuszczali krewniacy, przyjaciele i sąsiedzi i że sług dostać nie można było, weszła w obyczaj rzecz dotąd niesłychana: białogłowy, choćby najpiękniejsze i z najlepszych rodów idące, nie wzdragały się, zachorowawszy, mężczyzn do posług przyjmować, nie wchodząc w to, czyli są starzy, czy też młodzi, i obnażały przed nimi najwstydlwsze części ciała swojego. Może być, że te, które później do zdrowia przyszły, z zwyczaju tego pobudkę do rozpusty wzięły. Siła umarło z tych, co gdyby pieczę nad sobą mieli, ani chybi by wyzdrowieli. Przy braku opieki i przy gwałtownym szerzeniu się zarazy codziennie tyle narodu ginęło, że strach i zgroza brała nie tylko świadków, ale i tych, co o tym słyszeli.

Pośród ludzi przy życiu pozostałych pojawiło się wiele nowych obyczajów, całkiem przeciwnych do tych, co dawniej istniały. Dotychczas zwyczajem było, że w domu zmarłego zbierały się krewniaczki i sąsiadki, które go pospołu z domownikami opłakiwały; przed domem zasię<sup>18</sup> skupiali się przyjaciele i sąsiedzi oraz liczni współobywatele; do nich później, według godności zmarłego, dołączało się duchowieństwo. Zebrani brali mary na ramiona i ze śpiewem, przy blasku gromnic, zwłoki odprowadzali do kościoła, który zmarły wybrał był przed zgonem. Gdy tylko mór się pojawił, obyczaje te zanikły ustępując miejsca nowym. Umarłego nie tylko ciżba niewiast nie otaczała, ale niejeden człek samotnie

---

<sup>18</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

z tego świata schodził, nie będąc żegnany łzami i wzdychaniami swoich krewniaków. Miast szlochów rozbrzmiewały żarty, śmiech i wesołość na stypach.

Nowy ten obyczaj zwłaszcza dbałym o swe zdrowie białogłowom do smaku przypadł, zadając kłam ich płci tkliwości. Rzadko się zdarzało, aby szczątki doczesne przez więcej niż dziesięć albo dwanaście osób do kościoła odprowadzane były. Orszak żałobny składał się przy tym nie z czcigodnych mieszczan, lecz z zwykłych grabarzy, którzy zwali się służbą moru i za zapłatą pracowali. Ci, trumnę jak najspieszniej pochwycawszy, nieśli ją zazwyczaj do najbliższego kościoła, a nie tam, gdzie zmarły pragnął, aby nad jego ciałem modły odprawiono. Czterech albo sześciu księży, z zapalonymi świecami, a czasem i bez nich, odprowadzało zwłoki do pierwszej napotkanej mogiły i powierzało je ziemi bez zbytnich modłów. Los ludzi ubogich, a nawet tych, co w miernym dostatku żyli, godzien był najżywszej litości. Ci, pozostawszy z powodu ubóstwa albo też z przyczyny ufności, jaką w miłosierdziu bożym pokładali, w domach swoich, wśród sąsiadów, tysiącami co dnia ulegali chorobie, a nie zaznając znikąd żadnej pomocy ginęli bez ratunku. Wielu dniem i nocą na ulicach padało, inni umierali w swoich domach, a sąsiedzi po trupim zaduchu dopiero o ich śmierci się dowiadywali. Znaczna część mieszkańców, bądź to z obawy zarażenia się, bądź też z miłosierdzia dla zmarłych, przyjęła obyczaj wynoszenia zwłok przed dom własnymi rękami czy

też przy pomocy grabarzy; kładli je przed progiem, tak że w tych miejscach, zwłaszcza rankiem, niezliczoną ilość zwłok obaczyć można było. Później przynoszono mary, a gdy ich brakło, proste deski; zdarzało się, że na jedne mary dwa albo trzy trupy kładziono, tak iż często można było obaczyć zwłoki męża obok zwłok żony, szczątki dwu albo trzech braci, trupa ojca pospołu z trupem syna leżącego. Za dwoma księżmi, niosącymi krzyże, trzy albo cztery mary niesiono. Duchowni, którzy sądzili, że tylko jednego zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku wiodą, przy grzebaniu sześciu albo ośmiu trupów musieli być przytomni<sup>19</sup>. Umarłym nie okazywano czci nijakiej, nie odprowadzano ich do grobu z zapalonymi pochodniami ani też nad nimi łez nie roniono. Wreszcie k'temu<sup>20</sup> przyszło, że równie o umarłych się troskano, co o zdechłe kozy. Jawnym się wówczas stało, że powszechna niedola uczy nawet głupców cierpliwie poddawać się losowi, czego w zwykłych czasach ludzie najmądrzejsi, małymi tylko przeciwieństwami nękanii, nauczyć się nie są w stanie. Gdy z powodu mnogości trupów na cmentarzach poświęconej ziemi nie stało, tak iż nie lza<sup>21</sup> już i myśleć było, aby każdy zmarły miał swoją mogiłę, poczęto kopać głębokie jamy, w które trupy setkami jedne na drugie rzucano na kształt towarów na okręcie. Zwłoki ledwie cienką warstwą ziemi przysypywano, póki jama po brzegi się nie

---

<sup>19</sup> *przytomny* (daw.) – obecny (przy czymś). [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *k'temu przyszło* (daw.) – do tego doszło. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *nie lza* (daw.) – nie można. [przypis edytorski]

napełniła.

Nie będę się zbyt szerzył<sup>22</sup> nad szczegółami tej niedoli, co nasz gród dotknęła; powiem jeno<sup>23</sup>, że zaraza nie mniej rozszerzyła się po miejscowościach okolicznych. Nie wspominam o zamkach, bowiem te do małych grodów podobieństwo mają, chcę natomiast powiedzieć o wsiach, gdzie nieszczęśliwi kmiecie wraz z rodzinami, pozbawieni pomocy medyków i jakiegokolwiek pieczy, marli na polach, drogach i w domach nie jak ludzie, ale jak bydłęta. We wsiach nastąpiło to samo, co i w miastach, a więc obyczajów rozwiązłość i brak dbałości na obowiązki swoje i sprawy. Ludzie jakby na śmierć każdego dnia czekali i dlatego też nie przykładali nijakiej pilności do uprawy pól, do utrzymywania trzód i dobytku swego; przeciwnie całkiem, starali się roztrwonić płody swej pracy.

Doszło do tego, że woły, osły, owce, kozy, świnie, kury, a także najwierniejszych przyjaciół człeka, psy, wyganiano z obejścia, tak iż zwierzęta wałęsały się po polach, gdzie nie zżęte żyto przepadało. Niektóre bydłęta, napasłszy się do syta na opuszczonych polach, wieczorem bez pomocy pastucha, niby rozumne istoty do swych stajen i obór powracały.

Ale ostawmy już wsie okoliczne i do miasta powróćmy. Tutaj z srogiego niebios wyroku, a także z przyczyny ludzkiego okrucieństwa, w czasie od marca do czerwca więcej niż sto tysięcy osób życie straciło. Ginęli od strasznej zarazy, a także

---

<sup>22</sup> *szerzyć się* – tu: rozwozić się; szeroko omawiać. [przypis edytorski]

<sup>23</sup> *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

z braku pieczy i pomocy, skąpionej im przez zdrowych, którymi trwoga owładła. Dawniej nikt by może nie był pomyślał, że w Florencji można naliczyć tylu żywych mieszkańców, ile w niej się później okazało zmarłych. Ileż to pięknych domów, wspaniałych pałaców, przedtem przez mnogie rodziny, przez rycerzy i znamienite damy zamieszkałych, teraz pustką stanęło! Wymarli w nich wszyscy, aż do ostatniego sługi!

Ileż to świetnych rodów, nieprzejrzanych bogactw i skarbów bez dziedziców ostało! Iluż dzielnych mężów, urodziwych kobiet i młodzieńców, których by Eskulap, Gallen i Hipokrat za obraz kwitnącego zdrowia, ani chybi, poczytali, rano jeszcze obiadowało w społeczności swych przyjaciół i krewniaków, zasię<sup>24</sup> nazajutrz już wieczerało pospołu z swymi zmarłymi przodkami. Ciężko mi jest na sercu, kiedy błędę myślą pośród tej okrutnej niedoli, dlatego też wszystko, co mogę, milczeniem pokrywję.

A owóż w tym czasie, gdy gród nasz prawie całkiem opustoszał (słyszałem o tym później od człeka godnego wiary), zdarzyło się, że we wtorek rano, w starożytnym kościele Santa Maria Novella siedem młodych kobiet się zeszło. Wysłuchały mszy w szatach żałobnych, jakie przystały chwilom takim. Krom nich nikogo bez mała w kościele nie było. Damy te więzami pokrewieństwa, przyjaźni i sąsiedztwa zbliżone do siebie były. Żadna z nich jeszcze dwudziestego ósmego roku życia nie ukończyła, najmłodsza zaś ledwie osiemnaście lat

---

<sup>24</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

liczyła. Były to białogłowy szlachetnej krwi, dobrych obyczajów, roztropne, skromne i wdzięczne. Nazwisk ich tutaj nie wymienię, nie chcę bowiem, aby się w przyszłości wstydzić miały za rzeczy, które opowiadały czy też słuchały ich. Obyczaje teraz sroższe nastąpiły i nie lza<sup>25</sup> już zażywać uciech i rozrywek, które podówczas dozwolone były nie tylko osobom w ich wieku, ale i starszym o wiele. Nie chciałbym także dać sposobności ludziom zawistnym (gotowym oczernić najniewinniejszego!), aby swymi niesprawiedliwymi posądzeniami mogli dobrą sławę tych białogłów splamić. Aby jednak omyłek uniknąć, pragnę nazwać je imionami, stosownymi do ich natur. Pierwszą, latami starszą, przezwiemy Pampineą, drugą – Fiammettą, trzecią – Filomeną, czwartą – Emilią, piątą niechaj się zwie Laurettą, szósta Neifile, siódmą zasię, nie bez przyczyny, Elizą zwać będziemy. Tych siedem niewiast, bez żadnego poprzedniego ułożenia, zeszło się trafunkiem w kościele. Usiadły wkoło, wdychały długo, a później, skończywszy modlitwy, jęły<sup>26</sup> mówić dużo o tym, co się dzieje. Po niejakiem czasie, gdy wszystkie umilkły, Pampinea z takimi słowy do nich się obróciła:

– Drogie przyjaciółki! Wiecie równie dobrze jak ja, że nikomu tego naganiać nie można, iż uczciwie praw swoich używa. Każdy, co na świat przyszedł, ma naturalne prawo podtrzymywać i ochraniać życie swoje. Uznają to wszyscy tak dobrze, że jeszcze nikomu, jeżeli w obronie własnej drugiego

---

<sup>25</sup> *nie lza* (daw.) – nie można. [przypis edytorski]

<sup>26</sup> *jęć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

zabił, za występki tego nie poczytano. Jeżeli zaś prawa, dla dobra ludzi ustanowione, takie rzeczy czynić pozwalają, o ileż więcej wolno nam być winno użyć wszelkich środków dla ochrony życia naszego? Gdy pomyślę o tym, cośmy robiły dzisiaj i w dni poprzednie, gdy wspomnę nasze rozmyślenia i rozmowy, widzę jawnie, że każda z nas drży o życie swoje. Nie ma w tym, wierę<sup>27</sup>, nic dziwnego! Dziwuję się jeno<sup>28</sup>, że my, białogłowy, nie przyjęliśmy dotychczas stosownych miar w stosunku do rzeczy, co naszą trwożę tak powodują. Zdaje mi się, iż pozostajemy tu tylko dlatego, aby liczyć, ilu umarłych na cmentarz niosą, i patrzeć, czy bracia z tego klasztoru, których niewielu już pozostało, dobrze służbę bożą w właściwym czasie pełnią, albo też po to, by żałobą naszych szat wszystkim ukazywać, ile i jakich nieszczęść nas spotkało. Gdy stąd wyjdziemy, znowu, obaczmy chorych i umarłych, co ich ze wszystkich stron niosą, ujrzemy także różnych łotrzyków, których z miasta za ich zbrodnie wygnano, a którzy, teraz jawnie z praw szydząc, skoro ich strażnicy martwi albo chorzy leżą, zuchwale po mieście się uganiają. Obaczmy również pospólstwo, naszą krwią utuczone, i owych posługaczy moru, wałęsających się wszędzie i bezwstydnie pieśni śpiewających. Słyszymy tylko o tym, że ten lub ów umarł, a tamten ze śmiercią się pasuje. Gdyby było jeszcze komu płakać, powszedy rozlegałyby się

---

<sup>27</sup> *wierę* (daw.) – doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

szlochy i jęki. Gdy zasię<sup>29</sup> powracamy do domu i widzimy, że z całej rodziny przy życiu jeno służka ostała, taki strach za gardło chwyta, że włosy na głowie się podnoszą. Dokądkolwiek bym nie poszła, wszędzie mnie cienie zmarłych gonią, w kształtach swoich odmienione, z przerażającymi pozory<sup>30</sup>, które nie wiem, skąd się u nich wzięły. Dlatego też w domu, tutaj i wszędzie ciężko mi jest na duszy, zwłaszcza że, jak mi się zdaje, krom<sup>31</sup> nas nie ma już tu człeka, w którym by trochę siły żywotnej ostało. Słyszałam i widziałam, jak często ludzie (nie wiem, czy jeszcze są przy życiu) zatracają wszelką różnicę między rzeczą obyczajną a bezecną i jedynie swoim pragnieniem się powodując, dniem i nocą to jeno czynią, na co ochotę mają. Robią to nie tylko ludzie świeccy, ale i zakonnicy. Przekonani, że nie jest wzbronione im to, co innym dozwolone być może, znieważają śluby swoje, chuciom swoim folgują i myślą tym kształtem życie swoje ocalić. Jeżeli zaś w samej rzeczy tak się dzieje, cóż my tu czynimy, na co czekamy, o czym myślimy, dlaczegóż niedbalej od innych o utrzymanie życia naszego zabiegamy? Zaliż<sup>32</sup> gorszymi być się mniemamy<sup>33</sup> czy też sądzimy, że życie do ciał naszych silniejszym łańcuchem niż u innych jest

---

<sup>29</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>30</sup> *z przerażającymi pozory* – dziś popr. forma N. Im: z przerażającymi pozorami; *pozory* – tu daw.: wygląd. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

<sup>32</sup> *zaliż* (daw.) – czy, czy też. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> *gorszymi być się mniemamy* (daw.) – uważamy się za gorsze. [przypis edytorski]

przytwardzone, tak iż obawiać się o nie wcale nie trzeba? Wierę<sup>34</sup>, w srogim błędzie byśmy byli, bowiem myśleć tą modłą tylko głupiec może. Zważmy, ilu młodzieńców i kobiet od srogiej zarazy zginęło, a obaczmy w tym najlepszy dowód naszego błędnego mniemania. Dlatego też, abyśmy, dzięki naszej niedbałości, nie wpadły w gorszą biedę, której przecież uniknąć możemy, umyśliłam coś; nie wiem tylko, czy ten środek ratunku wam do smaku przypadnie. Mniemam, że najlepiej będzie uczynić to, co wielu już przed nami czyniło i ani chybi, potem uczyni, to jest, miejsca te opuścić. Na równi ze śmiercią unikać będziemy przykładów bezwstydných, jeno po prostu z miasta wyjdziemy i udamy się do którejkolwiek z naszych wiejskich posiadłości, gdzie wśród wesela i rozrywek, granic obyczajności nie przekraczając, żyć poczniemy. Rozlegają się tam radosne ptasząt śpiewy; ujrzymy zielone szczyty i doliny, pola, na których jak morze kołyszą się zboża, a także drzewa różnorodne i niebo odkryte; chociaż się ono i na nas zagniewało, przecie nie skąpi nam przez to swej wiecznej kraszy; trzeba przyznać, że milej będzie wpatrywać się weń niż patrzeć na puste domy naszego grodu. Krom<sup>35</sup> tego powietrze tamtejsze czystsze jest, a co się tyczy żywności, to znajdziemy tam jej teraz więcej, a przykrości o wiele mniej niż tutaj. Prawda, że kmiecie podobnie jak mieszczanie umierają, jednakowoż mniej tam ludności i domów, dzięki czemu i mniej się trupów

---

<sup>34</sup> *wierę* (daw.) – doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

<sup>35</sup> *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

widzi. Przy tym, zdaje mi się, że nie opuścimy tu nikogo, bowiem raczej powiedzieć można, iż same opuszczone jesteśmy. Wszyscy, co nam bliscy byli albo umarli, albo też uciekając od śmierci, nas odbieżeli. Żaden wyrzut więc gryźć naszych sumień nie będzie, jeżeli zamiśł swój wypełnimy, jeśli jednak się go wyrzeczemy, troska, cierpienie, a być może, i śmierć nas spotka. Tedy<sup>36</sup>, jeżeli się zgadzacie, weźmiemy z sobą służbę, opatrzymy się w rzeczy niezbędne i będziemy spędzały czas raz w jednym miejscu, to znów w drugim, weseląc się w miarę tego, jak nam okoliczności pozwolą; mniemam, że najrozumniejszym postępkim to się okaże. Będziemy wiodły takie życie, aż niebo nie położy kresu temu, co się teraz dzieje, chyba że śmierć nas wcześniej dopadnie. Sądzę, że oddalić się stąd jest lepiej niż tu pozostawać i żyć nieobyczajnie, jak to inni czynią.

Pozostałe damy, wysłuchawszy Pampinei, nie tylko zamiar jej pochwały, ale pragnąc go w czyn wcielić, jeły<sup>37</sup> myśleć nad wszelkimi szczegółami, tak jakby wprost z kościoła miały w drogę wyruszyć. Wówczas Filomena, nader roztropna białogłowa, w te słowa rzekła:

– Wszystko, co Pampinea powiedziała, jest rozumne, wielce, aliści<sup>38</sup> nie mamy potrzeby tak się śpieszyć, jak tego pragnąc się zdajecie. Zważcie, że wszystkie kobietami jesteśmy, a przecież i dziecku wiadome jest, że białogłowom trudno jest

---

<sup>36</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>37</sup> *jęć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>38</sup> *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

coś przedsięwziąć bez pomocy mężczyzn. Jesteśmy niestałe, bojaźliwe, uparte i podejrzliwe. Mniemam, że gdy same swoimi przewodnikami będziemy, to społeczność nasza długo trwać nie będzie. Musimy najpierw za jakimś przewodnikiem się rozejrzeć.

– Prawda jest – rzekła Eliza – mężczyźni są naturalnymi przewodnikami białogłów i bez nich rzadko jakiegokolwiek wieści przedsięwzięcie do pomyślnego końca przychodzi. Ale gdzież mamy tych mężczyzn szukać? Wiadomo nam, że nasi najbliżsi prawie wszyscy pomarli lub też rozbiegli się w różne strony, uciekając nie wiedząc gdzie od klęski, od której i my salwować się chcemy. Przyzwoitość zabrania nieznanym zapraszać; zresztą miast<sup>39</sup> wesela i wczasu<sup>40</sup> wstyd i przykrość znaleźć byśmy mogły.

Gdy damy tak z sobą rozmawiały, weszli do kościoła trzech mężczyźni. Nie byli to młodzieńcy, bowiem najmłodszy dwadzieścia pięć lat już liczył. Ani przeciwności tego czasu, strata przyjaciół i krewniaków, ani też lęk o życie własne nie zdołały w ich sercach ognia miłości przytłumić, a tym mniej zagasić.

Pierwszy z nich zwał się Panfilo, drugi – Filostrato, trzeci – Dioneo. Byli to ludzie krotochwilni<sup>41</sup>, ale i obyczajni.

---

<sup>39</sup> *miast* (daw.) – tu: zamiast. [przypis edytorski]

<sup>40</sup> *wczas* (daw.) – odpoczynek, wypoczynek, rozrywka. [przypis edytorski]

<sup>41</sup> *krotochwilny* – tu: skłonny do żartów, obdarzony poczuciem humoru. [przypis edytorski]

W powszechnym zamęcie jednej pociechy szukali: dam swoich, które trafunkiem znajdowały się pośród siedmiu białogłów, w kościele zebranych. Niektóre zaś z nich spokrewnione z trzema mężczyznami były. Pampinea ujrzawszy ich rzekła z uśmiechem:

– Los sprzyja, widać, naszym poczynaniom, przysyła nam bowiem rozumnych i układowych mężów, którzy naszymi przewodnikami i sługami będą, jeśli tylko na służbę przyjąć ich zechcemy.

Neifile, będąca przedmiotem miłości jednego z przybyłych, zarumieniwszy się z pomieszania, rzekła:

– Na Boga! Pampineo, zważ na to, co mówisz! Znam ich i wiem, że nic złego o nich powiedzieć nie lza<sup>42</sup>; poczytuję ich za zdolnych do znacznie ważniejszych przedsięwzięć niż to oto, a także upewniona jestem, że towarzystwo ich miłe by było każdym damom, piękniejszym i znaczniejszym od nas. Rzecz jednak w tym, że niektórzy z nich, jak o tym wszystkim wiadomo, niektóre z nas miłują; obawiać się zatem trzeba, że skoro ich zaprosimy, bez ich ani naszej winy ludzie nas osławić mogą.

– Błahe są to sprawy – odparła Filomena – dopóki postępuję tak jak należy i dopóki sumienie mnie nie dręczy, niechaj każdy gada o mnie, co mu się podoba, Bóg i prawda będą po mojej stronie. Jeżeli tylko będą skłonni nam towarzyszyć, to powinniśmy radować się, jak to słusznie Pampinea zauważyła, że los naszym poczynaniom sprzyja.

---

<sup>42</sup> *nie lza* (daw.) – nie można. [przypis edytorski]

Pozostałe damy, usłyszawszy te słowa, umilkły i zaraz postanowiły przywołać młodzieńców, opowiedzieć im o swych zamysłach i poprosić, aby im towarzystwa w podróży dotrzymali. Pampinea, krewniaczka jednego z nich, podniosła się, zbliżyła się do nich, spoglądających na nie z daleka, z uśmiechem ich powitała, opowiedziała, w czym rzecz, i w imieniu wszystkich dam poprosiła, aby się zgodzili szczerze i po bratersku do ich kompanii przystać. Z początku młodzi ludzie pomyśleli, że damy z nich żartują, ale potem przekonawszy się, że wysłanniczka poważnie mówi, odparli wesoło, że zaproszenie ochotnie przyjmują. Bez zwłoki umówiono się o wszystko, w co należało się opatrzyć wyruszając w drogę.

Przygotowawszy wszystko jak należy, posłali uwiadomienie do tego miejsca, gdzie się udać zamierzali. Następnego dnia, w środę rano, skoro świt, damy w otoczeniu służebnic swoich, a młodzieńcy pospołu z sługami opuścili miasto i wyruszyli w drogę. Przeszedłszy ze dwie mile, dosięgli umówionego miejsca. Leżało ono na niewielkiej górze, oddalonej od dróg i ścieżek, pokryte różnymi krzewami i roślinami, że miło spojrzeć było na gąszcz zielonych pędów. Na szczycie góry stał dom z obszernym dziedzińcem pośrodku; wspaniałe komnaty, sale i krużganki tego domu malowidłami upiększone były. Wokół ciągnęły się pola i sady, widać było studnie pełne przezroczej wody i piwnice opatrzone w wina najwyborniejsze, które by lepiej znawcy niżli skromne białogłowy ocenić umieli. Przybysze z wielkim zadowoleniem znaleźli wszystko gotowe

na ich przyjęcie. Komnaty były ochędożone i przystrojone, łoża pokryte świeżą pościelą; wszędzie rozstawiono świeże kwiaty, jakie w tej porze roku naleźć można było.

Gdy po przybyciu na miejsce wszyscy usiedli, aby wczasu<sup>43</sup> zażyć, wesoly i krotochwilny Dioneo rzekł do dam:

– Raczej wasz zmysł zdrowy i wasza przezorność niżli nasza wola nas tutaj przywiodły. Nie wiem, coście w myślach swoich uczynić postanowiły, co się jednak tyczy moich, to ostawiłem je za bramą miasta, gdym co dopiero koło niej przechodził. Jeżeli pragniecie śpiewać i weselić się pospołu ze mną, zapraszam was do tego, zachowując wszelkie względy waszej przystojności należne, jeżeli zaś nie, pozwólcie mi wracać z powrotem do moich myśli i do nieszczęsnego miasta.

Pampinea, która widać również wszelkich trosk swoich się pozbyła, odpowiedziała wesoło:

– Dioneo dobrze mówi. Będziemy żyły wesoło, po to bowiem z miejsca smutku uszłyśmy. Ponieważ jednak rzeczy bez ustanowionego porządku długo trwać nie mogą, ja więc, która pierwszą pobudkę do rozmów w naszym towarzystwie dałam, zalecam, gwoli<sup>44</sup> zachowania wesołości naszej, abyśmy spośród siebie jakiegoś przodownika wybrali. Wszyscy go będą słuchali i w wielkim go mieli zachowaniu, on zasię<sup>45</sup> starać się będzie o to, aby nam czas miło upływał. Aby zasię każdy z nas troski

---

<sup>43</sup> *wczas* (daw.) – odpoczynek. [przypis edytorski]

<sup>44</sup> *gwoli* (daw.) – dla; w celu. [przypis edytorski]

<sup>45</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

i słodycz powszechnego uważania jednakowo poczuł i aby przyczyn do zawiści nie było, mniemam, że dobrze by było, gdyby ciężar ten i zaszczyt co dzień komu innemu przypadał. Pierwszego wybierzemy powszechną głosów elekcją, a ów władca wieczorem tegoż dnia następcę swego mianuje. Wybrany w czasie swego panowania będzie miał możność ustanowić do woli, jak i gdzie dzień spędzić mamy.

Mowę tę powszechny aplauz spotkał i natychmiast jednogłośnie Pampinę królową pierwszego dnia obwołano. Filomena, która słyszała wielokroć o czci, jaką wawrzynowe wyrażają liście, pobiegła duchem do laurowego krzewu, zerwała kilka gałązek, splotła z nich piękny wieniec i włożyła go na głowę Pampinei. Od tych pór wieniec laurowy, póki trwały te zebrania, stał się u nich starszeństwa oznaką.

Pampinea, która królową się stała, rozkazała przywołać trzech sług młodych ludzi i cztery służebnice dam i gdy wszyscy srogie milczenie zachowywali, na ten kształt mówić ją<sup>46</sup>:

– Chcę wam wszystkim dobrym przykładem służyć, jak należy dbać o nasz związek, tak aby coraz lepszym się stając, mógł się utrzymać długo w porządku i wesołości, bez obrazy przystojności i naszej dobrej sławy, i dlatego mianuję sługę Dionea, Parmena, marszałkiem moim, nakładając nań obowiązek pieczy nad kuchnią i domem. Sługa Panfila, Sirisco, zostanie skarbnikiem i rachmistrzem. Tiridaro niechaj służy wszystkim trzem kawalerom, wyręczając Parmena i Siriska,

---

<sup>46</sup> *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

którym nowy urząd tego już czynić nie pozwoli. Moja pokojowa, Misia, i służebnica Filomeny, Licisca, będą w kuchni przyprawiały potrawy wedle Parmena rozkazu. Chimera i Stratilia, służebnice Lauretty i Fiammetty, będą usługiwały w komnatach naszych dam i utrzymywały w czystości miejsca zebrań naszych. Każdemu zaś wiadomym czynię, jeśli łask naszych utracić nie chce, że wzbrania mu się surowie złych wieści przynosić, co bądź i gdziekolwiek by usłyszał.

Wydawszy te rozkazania, ochotnie przez wszystkich przyjęte, królowa wstała i rzekła wesoło:

– Wabią nas okoliczne ogrody, świeże łąki i inne przyjemne miejsca, niechaj zatem każdy uda się tam, gdzie chce. O trzeciej<sup>47</sup> znów się zejdziemy i będziemy pożywali obiad w chłodzie.

Wesołe towarzystwo dam i kawalerów za pozwoleniem królowej udało się tedy<sup>48</sup> do sadu. Poczęto przechadzać się po ogrodzie, wesołą rozmową się bawiąc, równianki kwiatów wiążąc i pieśni miłosne nucąc.

Gdy nadszedł czas oznaczony, wszyscy powrócili do domu i przekonali się, jak gorliwie Parmeno z obowiązków nań nałożonych się wywiązywał. Wszedłszy do jadalni ujrzeli stoły zastane śnieżnobiałymi obrusami i srebrnymi – zdało się – naczyniami zastawione oraz kwiatami janowca przybrane. Królowa rozkazała podać wody do rąk obmycia; za czym

---

<sup>47</sup> *o trzeciej* – wg rzymskiej miary czasu liczono czas od poranka, godzina trzecia wypadała więc przed południem. [przypis edytorski]

<sup>48</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

wszyscy zajęli miejsca, ukazane im przez Parmena. Przyniesiono smakowite potrawy i wyborne wina; trzech pokojowców usługiwało do stołu. Wszystko tak znakomicie przygotowane było, że towarzystwo, pełne ukontentowania, żartując i śmiejąc się, z wielką ochotą jadło. Po obiedzie, gdy ze stołów uprzątnięto, królowa kazała muzyczne instrumenty przynieść. Niektórzy z młodzieńców (jako i z dam niektóre) pięknie śpiewali i grali, co się zaś tyczy tańców, to pisać wszyscy umieli. Dioneo chwycił lutnię, Fiammetta wzięła wiołę i oboje do tańca zagrali. Królowa służbę na obiad odesłała, a potem z pozostałymi damami i dwoma kawalerami taniec kołowy powolnym krokiem zawiodła. Później wesołe i powabne piosenki śpiewać jęli. Na takich uciechach czas trawili, aż wreszcie królowa dała znak, że już pora na spoczynek. Wszyscy do swoich komnat się rozeszli. Młodzieńcy zastali w swoich pokojach łoża w puchy opatrzone i mnóstwo kwiatów. Damy także do komnat swoich odeszły i rozdziawszy się, wczasu<sup>49</sup> zażywać jęły<sup>50</sup>.

Gdy dziewiąta godzina nadeszła, królowa powstała, obudziła damy i kawalerów, twierdząc, że zbyt długi sen w ciągu dnia zdrowiu szkodzi. Towarzystwo udało się na łąkę, wysoką i świeżą trawą porośłą i od słońca osłonioną. Tutaj w chłodzie lekkiego wietrzyka wszyscy wkoło na trawie zasiedli, jak przykazała królowa, a wówczas ona z taką mową się do nich obróciła:

– Widzicie, że słońce jeszcze na niebie wysoko i że żar

---

<sup>49</sup> *wczas* (daw.) – odpoczynek. [przypis edytorski]

<sup>50</sup> *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

jest dokuczliwy wielce; nic wokół nie słycać krom<sup>51</sup> cykania świerszczy na oliwkach. Nierozsądną rzeczą by było teraz na przechadzkę się wybierać. Tutaj uroczy jest i chłodno! Oto szachy i szachownice, niech każdy upodobaniu swemu zadosyć uczyni. Jeśli jednak posłuchać mnie zechcecie, lepiej będzie grę tę ostawić. Przy grze zawsze jedna strona w nieukontentowanie popada, które przyjemności przecie ani przeciwnikowi, ani przyglądającym się sprawić nie może. Gdy się jednak historie opowiada, wszyscy chętnie słuchają i skwarny czas dnia szybko przechodzi. Nie zdążymy nawet wszyscy po jednej noweli opowiedzieć, gdy słońce ku zachodowi się schyli. Wówczas pójdziemy, gdzie chęć będziemy mieli. Nie niewolę nikogo i gotowa jestem ogólnemu życzeniu się nie sprzeciwiać, jeśli jednak moje ułożenie wam się podoba, to zaraz je w czyn wcielmy, w przeciwnym razie niech każdy do wieczora czyni to, na co ma ochotę.

Damy i młodzieńcy oświadczyli się wszyscy za opowiadaniem.

– Skoro tak – rzekła królowa – to niechaj w tym pierwszym dniu każdy, jaką chce, materię do opowieści wybierze.

Później, obróciwszy się łaskawie do Panfila, siedzącego obok niej po prawej ręce, kazała mu, aby swoją powiastką innym dał początek. Panfilo, słowom królowej posłuszny, zaczął swoją opowieść wśród natężonej wszystkich przytomnych<sup>52</sup> uwagi.

---

<sup>51</sup> *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

<sup>52</sup> *przytomni* (daw.) – obecni (przy czymś), zebrani. [przypis edytorski]

# Dzień pierwszy

## Opowieść pierwsza. Spowiedź Ciappelletta

*Ser*<sup>53</sup> Cepparello, fałszywą spowiedzią zwiódłszy świętego braciszka, umiera. Za życia był hultajem co się zowie, po śmierci obwołano go świętym, mianując go świętym Ciappelletto.

– Stosowną rzeczą jest, miłe białogłowy, aby człek każdą sprawę zaczynał w święte i podziwienia godne imię Tego, kto był twórcą wszystkich rzeczy. Jako że mnie opowieści nasze zacząć przypadło, chcę tedy<sup>54</sup> na początek rzec o jednym z cudów bożych, tak aby po wysłuchaniu tej przypowieści nadzieja nasza, którą w Bogu pokładamy, okrzepla, niewzruszoną się stała i aby Jego imię zawsze było wychwalane.

Wszystkie sprawy tego świata są znikome i marne, pełne wewnątrz siebie i wokół trosk, trudów i goryczy i nieskończonym niebezpieczeństwom podległe. Żyjąc pośród nich i będąc ich częścią, nie mogliśmy dać im odporu ani obronić się, gdyby szczególna łaska boska nie dodawała nam sił i przezorności.

---

<sup>53</sup> *ser* – tu z wł.: pan, jegomość. [przypis edytorski]

<sup>54</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

Ta łaska spływa na nas nie wskutek jakichś zasług naszych, lecz dzięki dobrodziejstwu bożemu i modlitwom tych, którzy żyjąc na świecie, z woli Boga byli śmiertelnymi, tak jak my jesteśmy, teraz zasię<sup>55</sup>, dzieląc z Nim wieczność, są błogosławieni. Do nich, jako do orędowników, wiedzących przez eksperyencję o naszej słabości, obracamy się z naszymi sprawami i potrzebami, nie śmiać zanosić prośb naszych do Najwyższego Sędzi. Co więcej, Bóg, pełen wielkiego dla nas miłosierdzia, rozeznawa, że śmiertelnymi oczami naszymi nie możemy przeniknąć tajemnicy Jego boskiej mądrości. Nieraz przytrafia się może, że powszechnym mniemaniem omyleni, wybieramy naszym orędownikiem przed Nim tego, kto na wieczne wygnanie jest osądzony. Ale jako że dla Boga nic skrytym nie jest, tedy patrzy on bardziej na czystość myśli modlącego się niżli na jego niewiedzę i potępienie orędownika, ku któremu modlący się obracają, i wysłuchuje ich prośb, tak jakby one do błogosławionego zaniezione były. Jawnie to widać z tej noweli, którą teraz wam opowiedzieć zamierzam, i jawnie, powiadam, nie wedle osądu bożego, ale ludzkiego mniemania.

„Powiadają tedy, że Musciatto Franzesi, z wielkiego i bogatego kupca we Francji stawszy się rycerzem, miał ciągnąć do Toskanii wraz z bratem króla francuskiego, Karolem bez Ziemi, przyzwanym i do przybycia nagłonym przez papieża Bonifacego. Jak to często u kupców się przytrafia, sprawy Musciatta w wielkim były zawikłaniu. Nie mogąc ich łatwo

---

<sup>55</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

i szybko do porządku doprowadzić, umyślił polecić to różnym ludziom. Na wszystko znalazł sposób, jedna tylko wątpliwość mu pozostała: nie wiedział, komu poruczyć wydobycie długów, jakie mu się należały od różnych Burgundczyków. Dobrze wiedział zaś, że Burgundczycy są ludźmi wiarołomnymi, występnyymi i złej wiary.

Nie mógł w myślach natrafić na człeka tak szczwanego, co by się potrafił niegodziwości Burgundczyków przeciwstawić. Gdy się długo nad tym głowił, przyszedł mu nagle na pamięć niejaki ser Cepparello z Prato, który go często w jego domu w Paryżu odwiedzał. Był to człek niskiej postury i w stroju swym wielce wymuskany. Francuzi nie wiedząc, co oznacza włoskie słowo »*cepparello*«, myśleli, że to »*cappello*« – czyli wianek, a ponieważ był niskiego wzrostu, nazwali go nie Cappello, lecz Ciappelletto; pod tym imieniem znany był wszędzie, chociaż niektórzy i wiedzieli, że się zowie Cepparello.

A owóż i jego życie: będąc notariuszem, za wielki srom sobie by to poczytywał, gdyby choć jeden dokument, spośród tych nielicznych aktów, które sporządzał, prawdziwym, a nie fałszywym się okazał. Fałszywych aktów dostarczał, ile kto chciał, a czynił to czasem za darmo z większą ochotą niż ten, co by za to sowitą zapłatę miał otrzymać. Świadczył fałszywie z wielkim upodobaniem, proszony lub nie proszony. W owych czasach we Francji wiara w przysięgę była niewzruszona. Toteż nie troszcząc się o to, że krzywoprzysięga, zawsze brał górę we wszystkich sprawach, które miały być jego przysięgą

rozstrzygnięte. Z lubością dokładał starań, aby kłótnie wzniecać między krewniakami lub przyjaciółmi; im więcej z tych sporów nienawiści i zła płynęło, tym ukontentowanie jego większe było. Nigdy nie odmawiał, przeciwnie, ohotnie się zgadzał brać udział w morderstwach i innych zbrodniach; nieraz też własnymi rękoma ludzi mordował lub srogie rany im zadawał. Z lada powodu bluźnił Bogu i wszystkim świętym, będąc z przyrodzenia<sup>56</sup> człkiem porywczym wielce. Do kościoła nie chodził nigdy; plugawymi słowy szydził z wszelkich sakramentów, za to chętnie i często odwiedzał szynki, bordele i inne miejsca hańbiące. Białogłowy miłował jak pies kije, natomiast lubował się w występku przeciw naturze. Rabować i kraść znaczyło dlań tyle, co dla świętego jałmużnę dawać. Obzerał się i pił, nie dbając, że nieraz zdrowie na szwank naraża. Był także zawołanym szulerem.

Ale po cóż się nad nim w tylu słowach rozwodzę? Wystarczy powiedzieć, że był to może najgorszy człek, jaki kiedykolwiek na świat przyszedł. Władza i wpływ Musciatta przez długi czas ochraniały występника przed pomstą różnych osób, którym krzywdę wyrządził, a także przed sprawiedliwymi wyrokami sądów. Ów to Cepparello przyszedł na myśl panu Musciatto. Musciatto, znając doskonale jego życie, umyślił, że jest to człek ze wszech miar do wypełnienia jego zamysłów sposobny.

Przyzwał go do siebie i rzekł:

– Jak ci wiadomo, mości Ciappelletto, wkrótce stąd ze

---

<sup>56</sup> przyrodzenie (daw.) – tu: natura. [przypis edytorski]

wszystkim odjechać muszę; krom<sup>57</sup> innych, pozostają mi jeszcze sprawy z tymi oszustami, Burgundczykami; wiem, że nikt nie jest od ciebie zdatniejszy do tego, aby od nich dług mój wydobyć. Niewiele teraz masz do roboty, weź na siebie tę sprawę, a ja przyrzekam ci, że będziesz się cieszył faworem sądów i że dam ci z odebranych pieniędzy część należną i sprawiedliwą.

Imć Ciappelletto w samej rzeczy nic wówczas do roboty nie miał i biedę wielką znosił, widząc zasię<sup>58</sup>, że jedyny obrońca i opiekun go opuszcza, bez zbytnich tedy<sup>59</sup> namysłów, koniecznością przymuszony, rzekł, że chętnie służyć jest gotów.

Gdy już wszystkie warunki omówione zostały, Ciappelletto otrzymał pełnomocnictwo i piernacz<sup>60</sup> od króla i zaraz po odjeździe messera Musciatto wyruszył do Burgundii, gdzie go nikt nie znał. Tutaj, wbrew swojej naturze, zaczął łagodnie i pokornie z dłużnikami postępować, byle celu dopiąć, ostawiając sobie na koniec inne środki. Zamieszkał w domu dwóch braci, Florentczyków, którzy na lichwę pieniądze pożyczali. Przez wzgląd na pana Musciatto gospodarze w wielkim go mieli zachowaniu. Zdarzyło się, że tam Ciappelletto zachorzał. Bracia zraz przyzwali medyków i sługi, aby go mieli na pieczy i czynili wszystko, by mu zdrowie przywrócić. Aliści wszelki ratunek

---

<sup>57</sup> *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

<sup>58</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>59</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>60</sup> *piernacz* – buława, używana często także jako list żelazny, nadawany przez władcę podróżującemu, gwarantujący nietykalność i swobodny przejazd. [przypis edytorski]

daremny się okazał. Poczciwina był już stary, a przy tym zdrowie miał nadwątlone hulaszczym trybem życia; według orzeczenia medyków z każdym dniem musiało mu się pogarszać, jako człekowi na nieuchronną śmierć skazanemu. Dwaj bracia wielce się tym trapiли. Pewnego dnia, znajdując się w izbie, przyległej do komnaty, w której Ciappelletto chory leżał, zaczęli mówić z sobą w te słowa:

– Co mamy począć z tym człekiem? – spytał jeden drugiego. – Zaiste, niemały kłopot nam sprawił. Wydalić go teraz z naszego domu, tak ciężko chorego, byłoby to dla nas hańbą i dowodem niewielkiego rozumu. Ludzie widzieli przecie, żeśmy go przyjęli, gościli, a potem i leczyć troskliwie kazali, teraz zaś mieliby ujrzeć, że wypędzamy go z domu śmiertelnie chorego, chocia nam nic złego uczynić nie mógł.

Z drugiej strony, jest to taki hultaj, że, ani chybi, nie będzie się chciał wyświadczać ani przyjąć ostatnich sakramentów. Gdy umrze bez spowiedzi, żaden kościół jego ciała nie przyjmie. Jak zdechłego psa wrzucą go do pierwszego lepszego dołu. Gdyby się zaś i wyświadczył, to grzechy jego są tak wielkie i straszne, że nie znajdzie się taki ksiądz lub braciszek, co by go mógł rozgrzeszyć. Nie otrzymawszy zaś rozgrzeszenia, równie do jamy wrzucony będzie. Jeśli tak się stanie, lud tutejszy, który, nienawidząc profesji przez nas sprawowanej, źle o nas mówi i tylko czeka sposobności, aby nas ograbić, powstanie przeciwko nam z okrzykiem: »Nie ścierpimy tutaj dłużej tych psów lombardzkich, od których nawet kościół się odwrócił!«

Napadną na nasze domy i nie tylko dobra nasze złupią, ale jeszcze i życia nas pozbawić mogą. Tak więc czy inaczej, na przypadek jego śmierci, źle z nami będzie.

Ser Ciappelletto, który leżał niedaleko od miejsca ich rozmowy, mając słuch wyostrzony, jak to się często u chorych zdarza, słyszał wszystko, co dwaj bracia mówili. Za czym przywołał ich i rzekł:

– Nie chciałbym wam niepokoju sprawiać i szkód przyczyniać. Słyszałem, coście o mnie mówili, i jestem pewien, że nastąpiłoby to, czego się obawiacie, jeśliby rzeczy poszły tym trybem, jakęście przypuszczali. Aliści będzie inaczej. W ciągu mego życia tyle nagrzeszyłem przeciwko Bogu, że teraz, w godzinie śmierci mojej, jeden grzech więcej żadnej różnicy nie sprawi. Przyzwijcie do mnie najbardziej świątobliwego mnicha, jeśli taki się znajdzie, i ostawcie mi swobodę działania, a ja wasze i moje sprawy taką modłą uładzę, że wszystko dobry obrót weźmie, ku waszemu ukontentowaniu.

Dwaj bracia, chocia niewielką ufność w jego słowa pokładali, jednakoz udali się do klasztoru i poprosili, aby któryś z mądrych i świętych mnichów wypowiadał Lombardczyka leżącego na łożu niemocy w ich domu. Dano im mnicha sędziwego, słynącego z świątobliwości żywota i w Piśmie świętym wielce zawołanego. Ten człek czcigodny cieszył się szczególnie wielką estymą wszystkich mieszczan.

Wszedłszy do komnaty, w której ser Ciappelletto leżał,

siadł na jego łożu i z początku jał<sup>61</sup> go łagodnie pocieszać, później zasię zapytał, kiedy ostatni raz się był spowiadał. Na to Ciappelletto, który nigdy, jako żywo, do spowiedzi nie przystępował, odparł:

– Jest moim obyczajem, ojcze, spowiadać się przynajmniej raz na tydzień, jednakoż były mnogie tygodnie, gdy to częściej czyniłem. Ale wyznać muszę, że od czasu gdy zachorowałem, już osiem dni przeszło bez spowiedzi, tyle bowiem cierpienia mi ta boleść przyczyniła.

Na to mnich odparł:

– Dobrześ czynił, mój synu, i na przyszłość czyni takież. Widzę, że niewiele trudu będę miał z wysłuchiowaniem cię, skoroś tak często się spowiadał.

Ser Ciappelletto rzecze:

– Nie mówcie tak, mój ojcze! Nie spowiadałem się nigdy bez tego, abym na każdej spowiedzi nie miał przypomnieć sobie i wyznać wszystkich grzechów, popełnionych od dnia mego urodzenia aż do dnia spowiedzi. Dlatego też proszę was, ojcze wielebny, abyście o każdą rzecz szczegółowie<sup>62</sup> się wy pytali, tak jakbym nigdy się nie był spowiadał, nie zważając przy tym wcale na to, że jestem chory. Wolę raczej udręczyć mój zewłok cielesny niżli, folgując mu, narazić na zgubę duszę moją, odkupioną drogocenną krwią Zbawiciela.

Słowa te wielce przypadły do smaku wielebnemu ojcu, gdyż

---

<sup>61</sup> jać (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>62</sup> szczegółowie – dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

zdały mu się oznaką świątobliwego stanu duszy. Pochwaliwszy Ciappelletto za jego dobry obyczaj, zapytał się go, zali<sup>63</sup> się rozpustą z jaką białogłową nie splugawił?

Ser Ciappelletto odparł z westchnieniem:

– W tej materii, wielebny ojczy, wstydzę się wyznać prawdę, obawiając się, abym nie popadł w grzech chełpliwości.

– Mów śmiało, moj synu – rzecze mnich – nikomu za grzech nie było jeszcze poczytane wyznanie prawdy, czy to na spowiedzi, czy gdzie indziej.

– Z tym zapewnieniem – odparł Ciappelletto – wyznam wam całą prawdę. Jestem do tych pór jeszcze tak dziewiczy, jak wówczas gdy wychodziłem z żywota matki mojej.

– O, niechże Bóg cię błogosławi! – zawołał mnich – jakżeś zacnie sobie poczynał! Zasługa twoja jest tym większa, że mogłeś czynić przeciwnie z większą swobodą niżli my i ci wszyscy, co surowym regułom są poddani.

Później ojciec wielebny zapytał go, zali zbyt obżarstwem przeciwko Bogu nie zgrzeszył. Na to Ciappelletto z głębokim westchnieniem odparł, że siła<sup>64</sup> razy tak zawinił. Prawda, że krom<sup>65</sup> wielkiego postu, który ludzie nabożni każdego roku zachowują, przywykł jeszcze do postów o chlebie i wodzie trzy razy w tygodniu, jednakże pił tę wodę z taką lubością i tak chciwie, jak pijacy wino piją, osobliwie gdy się czuł utrudzonym

---

<sup>63</sup> *zali* (daw.) – czy. [przypis edytorski]

<sup>64</sup> *siła* (daw.) – dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>65</sup> *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

pielgrzymkami do miejsc świętych lub ćwiczeniami nabożnymi. Krom tego nieraz przychodziła mu chętka na sałatę z traw, jaką przyrządzają kobiety na wiejskich wywczasach<sup>66</sup>. Jadł ją nieraz z większym ukontentowaniem, niż to przystoi człękowi, który pości dla bojaźni bożej.

– Bracie mój – rzecze mnich – wszystko to są grzechy letkie<sup>67</sup> i płynące z przyrodzenia<sup>68</sup> naszego. Nie udręczaj zatem nimi sumienia swego więcej niż potrzeba. Nawet najświętszemu człękowi wybaczyć należy, jeśli po długim poście w jedzeniu smak znajduje, a po wielkim utrudzeniu wodę pije z ochotą.

– Ach, mój ojcze! – zawołał Ciappelletto – nie powiadajcie mi tego na pocieszenie! Wiem o tym dobrze, jako i wy wiecie, że ten, kto chce służyć Bogu, winien tę służbę sprawiać w czystości myśli i bez nijakiej zmaży; kto zaś inaczej czyni, grzeszy.

Mnich, wielce ukontentowany, rzekł:

– Raduję się, że tak myślisz, i chwaleń czystość sumienia twego. Powiedz mi jednak, czyś chciwością nie grzeszył i nie żądał więcej, niż się należało, albo też czyś nie owładał dobrem cudzym?

– Nie sądz o mnie źle, ojcze – odparł Ciappelletto – widząc mnie w domu tych lichwiarzy. Nie mam z nimi nic wspólnego; przeciwnie, przybyłem tutaj, aby ich zawstydzić, ukarać i odwieść od tego bezecnego rzemiosła. Mniemam, że

---

<sup>66</sup> *wywczasy* (daw.) – wypoczynek. [przypis edytorski]

<sup>67</sup> *letki* (daw., gw.) – lekki. [przypis edytorski]

<sup>68</sup> *przyrodzenie* (daw.) – tu: natura. [przypis edytorski]

byłoby się mi to i udało, gdyby Bóg niemocy na mnie nie spuścił. Musicie wiedzieć, mój ojciec, że po śmierci ojca mego stałem się bogatym człowiekiem. Znaczną część jego majątności rozdałem na zacne cele, Bogu na chwałę, później, aby siebie utrzymać i móc dopomagać ubogim chrześcijanom, zająłem się małym handelkiem, chcąc pieniędzy sobie przysporzyć. Wszystko, co zarobiłem, dzieliłem na dwie części, połowę oddawałem biedakom, a drugą obracałem na swoje potrzeby. Bóg mi pomagał i sprawy moje szły z dnia na dzień coraz to lepiej.

– Doskonale czyniłeś, zaiste – rzekł mnich – ale powiedz mi, czyś się nigdy gniewem nie zapalał?

– Mówiąc prawdę – odparł Ciappelletto – nader często się to zdarzało. Któż jednak może swój gniew zdzierżyć, widząc codziennie, jak ludzie występki popełniają, przekraczają przykazania boskie i nie boją się sądu Boga. Nieraz wolałbym być raczej umrzeć niż patrzeć, jak młodzieńcy marnym rzeczom świata tego hołdują, jak przysięgają i fałszywie świadczą, i jak miast<sup>69</sup> kościołów odwiedzają szynki, wybierając nie drogi boże, lecz drogi doczesnego świata.

– Sprawiedliwy jest to gniew, mój synu – rzekł mnich – i nie mógłbym zań na ciebie pokuty nałożyć. Ale czy przypadkiem gniew nie zrobił cię tak zapamiętałym, żeś posunął się aż do morderstwa, uczynienia komuś niesprawiedliwości lub zelżenia bliźniego twego?

---

<sup>69</sup> *miast* (daw.) – tu: zamiast. [przypis edytorski]

– Ach, ojciec wielbny – zawołał Ciappelletto – zdajecie mi się być świątobliwym człkiem, a takie rzeczy powiadacie! Gdyby mi choć na myśl przyszło uczynić jedną z tych rzeczy, o jakich mówicie, zaliżby<sup>70</sup> mnie Bóg tak długo na świecie utrzymał? Do takich postępków zdolni są tylko łotrzy i morderce. Gdy takiego grzesznika ujrzałem, zawsze mówiłem mu: »Idź i niech cię Bóg na prawą drogę sprowadzi«.

– Rzeknij mi teraz, synu mój (oby ci Bóg błogosławił), czyś nie świadczył fałszywie o bliźnich swoich, czyś nie osławił nikogo lub nie przywłaszczył sobie cudzego dobra bez zgody i woli posiadacza?

– Tak, ojciec – odparł Ciappelletto – mawiałem źle o innych. Miałem niegdyś sąsiada, który bez żadnej przyczyny bił nieustannie swoją żonę. Jednego razu taka litość mnie zdjęła nad tą nieszczęśliwą, biłą ciągle a okrutnie przez pijaka, że wiele złego powiedziałem nań do krewniaków jego żony.

– Powiedziałeś mi – rzekł mnich – żeś się handlem parał. Zaliżeś nie oszukał kogoś, jak to często kupcy czynią?

– Na mą duszę, ojciec – zawołał Ciappelletto – muszę wyznać, że tak! Zdarzyło się pewnego razu, iż jeden człek oddał mi należność za sprzedany postaw sukna, a ja nie licząc rzuciłem pieniądze do skrzyni; po miesiącu spostrzegłem, że było tam o cztery grosze za dużo. Przechowałem je przez cały rok, chcąc mu je zwrócić, ponieważ jednak właściciel się nie zjawił, więc rozdałem te grosze ubogim.

---

<sup>70</sup> *zaliżby* (daw.) – czyżby. [przypis edytorski]

– Błaha to jest rzecz, mój synu – odparł mnich – uczyniłeś tak, jak uczynić należało.

Mnich pytał się jeszcze o wiele rzeczy, a na pytania te Ciappelletto w podobny sposób odpowiadał. Gdy już chciał mu rozgrzeszenia udzielić, Ciappelletto rzekł:

– Mam jeszcze jeden grzech, ojcze, o którym wam nie powiedziałem. Przypominam sobie, że kiedyś w sobotę wieczorem, po dziewiątej godzinie, kazałem służącemu zamieść podłogę w domu, przez co uchybiłem świętej niedzieli.

– Niewielki to grzech, mój synu – odparł mnich.

– Nie mówcie tak, mój ojcze, niedzielę, jako dzień święty, wielce czcić należy, bowiem w dniu tym nasz Zbawiciel zmartwychwstał.

– Czy popełniłeś jeszcze jaki grzech? – zapytał mnich.

– Tak, ojcze – odparł Ciappelletto – raz w kościele bożym przez brak baczenia splunąłem.

Mnich zaczął się śmiać i rzekł:

– Nie dręcz się tym, mój synu! My, którzy jesteśmy zakonnikami, cały dzień w kościele spluwamy.

– I bardzo źle czynicie, gdyż niczego tak w czystości utrzymywać nie należy, jak kościoła, w którym się Bogu cześć oddaje.

Jeszcze siła<sup>71</sup> podobnych rzeczy naopowiadał mnichowi, wreszcie zaczął wzdychać ciężko i gorzko płakać (a był w tym wszystkim mistrzem zawołanym).

---

<sup>71</sup> *siła* (daw.) – dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

– Co ci się stało, mój synu? – zapytał mnich.

– Biada mi, ojczye wielebny – odparł ser Ciappelletto – jeszcze mi zostaje jeden grzech, z którego mi się nigdy nie wyświadałem, tak się go bowiem sromam okrutnie. Ilekroć go sobie przypominę, płaczę, jako to teraz widzicie. Wydaje mi się, że dla tej winy Bóg nie będzie miał dla mnie miłosierdzia.

– Co mówisz, mój synu? – rzekł mnich. Gdyby wszystkie grzechy, jakie kiedykolwiek ludzie popełnili albo jeszcze popełnią, dopóki świat trwa, w jednym człoku się skupiły i gdyby ten grzesznik tak się skrusił jak teraz ty, to miłosierdzie boże jest tak wielkie, że przy spowiedzi wszystko byłoby mu odpuszczone. Mów zatem śmiało.

Wówczas ser Ciappelletto rzekł płacząc gorzko:

– Grzech mój, wielebny ojczye, jest tak wielki, że wątpię, aby mi go Bóg odpuścił, choćbyście się i wstawili za mną swymi modlitwami.

– Mów śmiało – odparł mnich – przyrzekam ci, że będę błagał Boga za tobą.

Ser Ciappelletto, ciągle płacząc, nie mógł wymówić jednego słowa, chocia go mnich nieustannie pocieszał. Wreszcie gdy już kęs czasu mnicha w takiej niepewności trzymał, westchnął ciężko i rzekł:

– Ponieważ obiecaliście mi, ojczye, modlić się za mną do Boga, wyznam wam więc mój grzech. Wiedźcie, że raz, gdy jeszcze byłem dzieckiem, przekląłem rodzoną matkę moją.

Rzekłszy to, znów obfitymi łzami się zalał.

– Zali, synu mój – rzekł mnich – grzech ten za tak ciężki poczytujesz? Ludzie bluźnią przez cały dzień Bogu, a Bóg przebacza chętnie bluźniercy, który się skruszył. Czy sądzisz, że ci Stwórca tej winy nie odpuści? Osusz łzy i pociesz się. Gdybyś był nawet jednym z tych, co Zbawiciela ukrzyżowali, to On, widząc twoją skruchę, na pewno by ci przebaczył.

– Cóż wy mówicie, ojcze wielebny! – zawołał Ciappelletto. – Przekląć drogą matkę, która mnie przez dziewięć miesięcy dniem i nocą w żywocie nosiła, a później niezliczoną ilość razy na rękach, jakże ciężkim jest grzechem! Jeżeli nie będziecie, ojcze, błagali za mną Boga, Bóg mi nigdy tego nie przebaczy.

Mnich widząc, że Ciappelletto nic więcej do wyznania nie ma, udzielił mu absencji i dał mu błogosławieństwo, będąc upewniony, że jest on świątobliwym człowiekiem; wierzył bowiem niezachwianie, że wszystkie jego słowa są szczerą prawdą. Któż by zresztą nie uwierzył, słysząc człeka tak mówiącego na łożu śmierci!

– Przy boskiej pomocy – rzekł mnich – wkrótce wyzdrowiejesz, Ciappelletto. Gdyby się jednak zdarzyło, że Bóg twoją pobłogosławioną i dobrze przygotowaną duszę do siebie powoła, zalibyś<sup>72</sup> zezwolił, aby ciało twoje w naszym klasztorze pogrzebione zostało?

– O tak, mój ojcze – odparł Ciappelletto – i nie chciałbym być pochowanym gdzie indziej, bowiem przyrzekliście mi modlić się za moją duszę; przy tym miałem zawsze cześć osobliwą dla

---

<sup>72</sup> *zalibyś* (daw.) – czybyś, czyżbyś. [przypis edytorski]

waszego zakonu. Teraz zasię<sup>73</sup> proszę was, abyście, wróciwszy do klasztoru, przysłali mi tu bez zwłoki najświętsze ciało Chrystusowe, pobłogosławione dziś rankiem na ołtarzu. Chociaż niegodny jestem, pragnę za waszym pozwoleniem je przyjąć, a potem i ostatniego namaszczenia dostąpić, abym, choć żyłem jak grzesznik, umarł, jak na prawego chrześcijanina przystało.

Świątobliwy braciszek pochwalił go i zapewnił, że wkrótce wszystko mu zostanie dostarczone. Tak się też i stało. Tymczasem dwaj bracia, mocno niepewni, czy ich Ciappelletto przypadkiem zwieść nie chce, ukrywszy się za przepierzeniem, które komnatę chorego od sąsiedniej izby dzieliło, wysłuchali łatwie<sup>74</sup> wszystkiego, co Ciappelletto do braciszka mówił. Słyszając o grzechach, z których się spowiadał, po wiele razy o mały włos śmiechem nie wybuchnęli.

– Cóż to za człek – mówili do siebie – którego ani starość, ani choroba, ani strach przed bliską śmiercią czy przed Bogiem, przed sądem którego ma wkrótce stanąć, nie mogą odwieść od niegodziwości i k'temu<sup>75</sup> przywieść, aby umarł inaczej, niżli żył. – Aliści uznawszy, że po tych wyznaniach kościół przyjmie jego ciało, nie troskali się już o resztę. Ser Ciappelletto przyjął wnet komunię świętą, a potem i ostatnie namaszczenia, ponieważ znacznie gorzej mu się uczyniło. Wieczorem tego dnia, w którym się cnotliwie spowiadał, umarł. Dwaj bracia,

---

<sup>73</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>74</sup> *łatwie* – dziś popr. forma: łatwo. [przypis edytorski]

<sup>75</sup> *k'temu* (daw.) – do tego. [przypis edytorski]

rozporządziwszy jego mieniem, przeznaczyli uzyskane pieniądze na przystojny pogrzeb i posłali do klasztoru, prosząc braci, aby przybyli wieczorem odprawić, wedle obyczaju, wigilie, a rankiem drugiego dnia ciało zabrali. Świątobliwy mnich, który Ciappelletta był spowiadał, usłyszawszy o jego śmierci odbył naradę z przeorem, później zasię biciem w dzwony przywołał wszystkich mnichów znajdujących się w klasztorze i oznajmił im, że ser Ciappelletto był człowiekiem świątobliwym, jak to dowodnie widać z tego, co na spowiedzi wyznał. Wierząc głęboko, że Bóg za jego sprawą niejeden wielki cud uczynić może, łatwo przekonał mnichów, że ciało zmarłego przyjąć należy uroczyście i z wielką czcią.

Łatwowierni bracia wraz z przeorem zgodzili się na to. Wieczorem udali się wszyscy do domu, w którym ciało Ciappelletta spoczywało; odprawili nad zwłokami uroczyste wigilie, a nazajutrz rano, ubrani w komże i kapy, z książkami w rękach, poprzedzani krzyżem, śpiewając modły, zabrali ciało i z wielką pompą ponieśli je do swego kościoła. Za tym orszakem szli mężczyźni i białogłowy; wyległa prawie cała ludność miasta. Gdy mary postawiono w kościele, mnich, który zmarłego był spowiadał, wszedł na kazalnicę i począł powiadać cudowną historię o jego życiu, postach, czystości, niewinności i świątobliwości. Między innymi opowiedział to, co mu Ciappelletto, płacząc, jako swój największy grzech wyznał, i jak on ledwo go zdołał przekonać, że mu Bóg przebaczy. Potem

zwrócił się do przytomnych<sup>76</sup> i gromiąc ich a strofując, rzekł:

– A wy, od Boga przekłęci, z powodu lada słomki, co wam pod nogi padnie, bluźnicie Bogu, Najświętszej Pannie i całemu dworowi niebieskiemu!

Krom<sup>77</sup> tego siła<sup>78</sup> jeszcze prawił o prawości i niewinności nieboszczyka. Słowa te, którym cały lud uwierzył, wielki skutek sprawiły, tak że po skończonym nabożeństwie wszyscy co do jednego rzucili się całować ręce i nogi nieboszczyka; porwano przy tym na nim suknie, a każdy, kto posiadał choćby strzępek materii, już się za szczęśliwego poczytywał. Ciało było wystawione przez cały dzień w kościele, tak aby każdy mógł je odwiedzać i oglądać. Gdy noc zapadła, złożono nieboszczyka do marmurowego grobu i pochowano uroczyście w kaplicy. Następnego dnia lud zaczął odwiedzać jego grób, zapalać świece, śluby czynić i stosownie do ślubów wota woskowe zawieszać.

Sława jego świętości tak wzrosła, że prawie nikt w potrzebach i uciskach swoich do innego świętego się nie uciekał. Nazwali go, jako i teraz zowią: świętym Ciappelletto, utrzymując, że Bóg wielkie cuda przez niego uczynił i nadal czyni każdemu, co z osobnym nabożeństwem do Ciappelletta się obraca”.

Tak tedy<sup>79</sup> żył i umarł ser Cepparello z Prato, który stał się świętym, jakoście to słyszeli. Nie chcę twierdzić, iżby

---

<sup>76</sup> *przytomni* (daw.) – obecni (przy czymś); zebrani. [przypis edytorski]

<sup>77</sup> *krom* – oprócz. [przypis edytorski]

<sup>78</sup> *siła* (daw.) – dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>79</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

nie mógł zbawienia w obliczu Boga dostąpić, chocia bowiem życie jego było występne i plugawe, to przecie w ostatniej godzinie pokajawszy się i skruszywszy mógł miłosierdzia boskiego zaznać i do rajy przyjęty zostać. Ale jako że wszystko to jest dla nas tajne, tedy sądzę po tym, co dostępne jest oczom naszym, że raczej znajduje się w rękach szatana niż w rajy. Jeśli tak jest, uznać musimy, że nieskończona jest wobec nas dobroć Boga, który patrzy nie na błędy nasze, lecz na czystość naszej wiary. Czynimy naszym orędownikiem wroga bożego, mniemając, że jest on Bogu miły, a Bóg nas wysłuchuje, jakbyśmy do prawdziwego świętego modły zanosili. Aby łaska boska, w tym wesołym towarzystwie i pośród losów dzisiejszych przeciwności, zdrowych i całych nas zachować mogła, wychwalajmy Jego imię, które położyliśmy na wstępie tej powieści, i w potrzebach naszych do Niego się uciekajmy, pewni, że wysłuchani będziemy. Tu opowiadający mowę swoją zawarł<sup>80</sup>.

---

<sup>80</sup> *zawrzeć* (daw.) – zamknąć; tu: zakończyć. [przypis edytorski]

# Opowieść druga. Podróż Abrahama z Paryża do Rzymu

Abraham, Żydowin, zachęcony do podróży przez Giannotta di Civigni, udaje się do Rzymu. Ujrawszy zepsucie kleru wraca do Paryża i staje się chrześcijaninem.

Opowieść Panfila została pochwalona przez białogłowy, które, słuchając jej, często śmiechem wybuchają. Gdy już opowiadanie, z wielką uwagą słuchane, do końca doprowadzone zostało, królowa siedzącej obok Panfila Neifile rozkazała opowiedzieć nową historię, według ustanowionej kolei. Dama ta, równie piękną, jak dwornymi obyczajami ozdobiona, z radością na to żądanie przystała i zaczęła na ten kształt:

– Panfilo w swojej opowieści ukazał nam, że miłosierdzie boże nie liczy nam błędów naszych, gdy one z nieświadomości naszej wypływają, ja zasię<sup>81</sup> w swojej opowieści pragnę pokazać, iż miłosierdzie to z cierpliwością znosi grzechy tych, którzy swymi uczynkami i słowami będąc obowiązani jawnym świadectwem mu służyć, wcale przeciwnie postępują. Tą drogą Bóg daje dowody niezachwianej prawdy, abyśmy z większą duszy stałością szli za tym, w co wierzymy.

Słyszałam kiedyś, miłe towarzyszki, taką opowieść: „Mieszkał ongiś w Paryżu bogaty kupiec i człek zacny, Giannotto

---

<sup>81</sup> *zasię* (daw.) – *zaś*, natomiast. [przypis edytorski]

di Civigni zwany. Był to człek sprawiedliwy i uczciwy; zajmował się rozległym handlem suknam. Wielka przyjaźń łączyła go z bogatym Żydem, zwanym Abrahamem, który także się kupiectwem parał, a był człekiem równie uczciwym i zacnym. Giannotto, widząc przymioty przyjaciela, wielce nad tym bolał, że dusza tak mądrego i dobrego człeka, dzięki błędom jego wiary, na potępienie wieczne skazana zostanie. Dlatego też jął go prosić dobrotliwie, aby porzucił błędy wiary żydowskiej i wiarę chrześcijańską przyjął, która (jak to sam dowodnie widzi) dzięki swojej świętości i prawdzie ciągle się rozpowszechnia i kwitnie, gdy tymczasem jego wiara coraz bardziej zanika, tak iż wreszcie wniwecz rozwiąć się może. Żyd odparł, że krom<sup>82</sup> wiary żydowskiej żadnej innej za dobrą i świętą nie uznaje, że zamierza umrzeć w tej, w której się narodził i wzrósł, że nie ma takiej siły, co by go od niej odwrócić mogła. Odpowiedź ta nie odwiodła Giannotta od tego, aby po kilku dniach nie obrócił się do swego przyjaciela z podobną mową, starając mu się dowieść na nadto grubych przykładach (jak to nieraz kupcy czynić umieją), dla jakich to racyj nasza wiara jest lepsza od żydowskiej.

A chocia Żydowin był w rzeczach wiary żydowskiej mistrzem zawołanym, przecie przyjaźń wielka, którą do Giannotta żywił, a może i słowa, włożone w usta tego prostego człeka przez Ducha Świętego, to sprawiły, że Żydowinowi wielce do smaku dowody Giannotta przypadają poczęły. Przecie jednak w wierze swojej błędliwej nadal trwał z uporem.

---

<sup>82</sup> *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

Im bardziej się w swoim uporze zaciął, tym więcej na niego Giannotto nastawał, aż wreszcie Żydowin, uległszy jego natarczywym prośbom, rzekł:

– Chcesz, Giannotto, abym wiarę chrześcijańską przyjął? Ja się od tego nie uchylam. Jednakże przedtem chcę się udać do Rzymu, obaczyć tego, którego ty namiestnikiem bożym na ziemi zowiesz, zważyć jego postępkę i obyczaje, a także życie jego braci-kardynałów. Jeśli wydadzą mi się takimi, że wedle ich życia sądząc poznam, iż wiara twoja jest lepsza od naszej, jak to starałeś się mi dowieść, uczynię to, com przyrzekł. Jeśli nie, pozostanę nadal żydem.

Giannotto, usłyszawszy o tym jego postanowieniu, wielce się strapił i rzekł do siebie: »Stracone są wszystkie moje zachody i trudy, których nie szczędziłem, aby go do przyjęcia chrześcijaństwa nakłonić, co zdawało się być rzeczą bliską. Pojedzie do Rzymu, obaczy na własne oczy, jak plugawe i występne życie księcia wiodą, i nie tylko wiary naszej nie przyjmie, ale nawet gdyby i chrześcijaninem został, na judaizm powróciłby«. Obrócił się tedy<sup>83</sup> do Abrahama i rzekł:

– Po cóż chcesz przedsiębrać tak uciążliwą i kosztowną podróż do Rzymu? Na tak bogatego człeka, jak ty, czyha tysiąc niebezpieczeństw na ziemi i na morzu. Zali nie znajdziesz tu kogoś, kto by cię ochrzcił? Jeżeli zaś żywisz jakieś wątpliwości co do wiary, którą ci wykładam, gdzież znajdziesz mądrzejszych i światlejszych ludzi jak tu? Dadzą ci oni wszelkie objaśnienia.

---

<sup>83</sup> tedy (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

Według mnie zatem ta twoja podróż wcale potrzebna nie jest. Pomyśl, że prałaci w Rzymie są podobni do tych, których tu widzisz, a może i świątobliwsi, jako że żyją w pobliżu najwyższego pasterza. Zachowaj swoje siły na inny raz, do czasu pielgrzymki po miejscach świętych, w której może i ja towarzyszyć ci będę.

– Wierzę, Giannotto – odparł Żydowin – że racja jest po twojej stronie, ale jeśli chcesz, abym spełnił to, o co mnie prosisz, to powiem ci w dwóch słowach, iż muszę jechać. W przeciwnym razie nic nie uczynię.

Giannotto uznawszy jego twarde postanowienie rzekł:

– Jedź zatem; szczęśliwej drogi ci życzę.

Pomyślał przy tym, że Żydowin, ujrawszy dwór papieski, nigdy już chrześcijaninem się nie stanie. Aliści, nic na tym nie tracąc, już mu nie doradzał, aby pozostał.

Żydowin dosiadł rumaka i pośpieszył do Rzymu, gdzie przez Żydów z wielką okazałością przyjęty został. Przebywając w mieście, nie zdradzał się przed nikim, po co tu przybył, a tylko w tajemnicy śledził życie papieża, prałatów i kardynałów, i całego papieskiego dworu.

Jako człek bystry, niejedno sam spostrzegł, a i wiele od drugich uznał. Z tego wszystkiego wniósł, że każdy ksiądz, od najmniejszego do największego, rozpustą grzeszy i hołduje nie tylko naturalnej rozkoszy, ale i sodomskiej, nie znając hamulca, wyrzutów sumienia i wstydu. Dzięki przemożnemu wpływowi nierządnic i młodzieniaszków nie lada rzeczy można

było w Rzymie uzyskać. Obaczył także, że wszyscy są żarłokami i pijanicami, że na kształt dzikich zwierząt jeno<sup>84</sup> brzuchom swoim służą, nie mówiąc już o rozpuście. Jeszcze baczniej się im przyjrawszy, poznał, że są skąpi i tak na grosz chciwi, że nie wstydzą się kupczyć wszystkim, poczynając od krwi ludzkiej, nawet chrześcijańskiej, a kończąc na rzeczach świętych, odpustach i beneficjach. Kupując i sprzedając, większy handel prowadzą i liczniejszych mają pośredników niż w Paryżu kupcy sukna i innych towarów. Jawną symonię<sup>85</sup> ochrzcili mianem »zastępstwa«, a obżarstwo ukryli pod skromną nazwa »pokrzepienia sił«, tak jakby Boga można było oszukać znaczeniem tych słów i jakby On nie widział plugawych intencji ich niskich dusz. Mniemali, widać, że Bóg, tak jak ludzie, imieniem rzeczy da się okłamać. Wszystkie te rzeczy a także i te, o których zmilczeć należy, nie podobały się wielce Żydowinowi, człekowi umiarkowanemu i obyczajnemu. Zdało mu się, że już dość widział, postanowił tedy<sup>86</sup> do Paryża powrócić; tak też uczynił. Giannotto, dowiedziawszy się o jego powrocie, udał się do niego, straciwszy już wszelką nadzieję na to, aby Żydowin chciał chrześcijaństwo przyjąć. Spotkali się pełni ukontentowania i wielkiej radości.

Po kilku dniach odpocznienia Giannotto zapytał się go, co

---

<sup>84</sup> *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

<sup>85</sup> *symonia* – handel godnościami kościelnymi, stanowiącymi źródło prestiżu i dochodów. [przypis edytorski]

<sup>86</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

myśli o Ojcu świętym, kardynałach i innych dworakach.

Żydowin odparł:

– Wydaje mi się, że Bóg źle czyni, łaskawością swoją ich darząc. Powiem ci, iż jeśli dobrze zważyć i sądzić umiałem, w żadnym księdzu nie znalazłem ani krztyny świętości, pobożności czy przykładu godnego naśladowania. Rozpusta, chciwość, obżarstwo, wiarołomstwo, zawiść, pycha i inne gorsze występki (jeśli sobie można tylko gorsze wystawić) tak im weszły w obyczaj, że dwór papieski jest dla mnie raczej kuźnią diabelskich poczynań niż dzieł świętych. Według mego mniemania, wasz pasterz najwyższy, jako i wszyscy jego duchowni, z wielką pilnością a staraniem i umiejętnością chcą religię chrześcijańską poniżyć i z oblicza świata ją zetrzeć, chociaż winni przecie być jej wsporem i obroną. A jako że, mimo tych ich wysiłków, wasza wiara coraz bardziej się rozpowszechnia i coraz jaśniejszą i doskonalszą się staje, tedy musiał Duch Święty w nią wstąpić, aby stanęła wyżej od wszystkich wier świata. Dlatego też, jeśli dawniej głuchy byłem na twoje prośby i nie chciałem chrześcijaństwa przyjąć, to teraz mówię ci jawnie, że nic nie będzie w stanie mnie od tego powstrzymać. Chodźmy zatem do kościoła, pragnę przyjąć chrzest zgodnie z obyczajem waszej świętej wiary.

Giannotto, który spodziewał się całkiem przeciwnego postanowienia, usłyszawszy te słowa stał się najszczęśliwszym na ziemi człowiekiem. Udał się z Żydem do kościoła Najświętszej Marii Panny w Paryżu i poprosił księży, aby obrządku chrztu nad

Abrahamem dopełnili. Prośbie tej zaraz było uczynione zadość. Giannotto był jego ojcem chrzestnym. Nawrócony imię Jana otrzymał. Później Giannotto polecił go świątłym ludziom, którzy go wkrótce w rzeczach wiary świętej całkowicie wyćwiczyli. Jan zasłynął też później jako człek wielce zacny i świątobliwy”.

# Opowieść trzecia. Trzy pierścienie

Melchisedech, Żydowin, opowieścią o trzech pierścieniach salwuje się z niebezpieczeństwa, jakie mu Saladyn gotował.

Gdy opowieść Neifile, przez wszystkich chwalona, do kresu dobiegła, zgodnie z wolą królowej mówić zaczęła Filomena:

– Nowela Neifile przypomniała mi niemiły przypadek, który się zdarzył pewnemu Żydowi. Ponieważ o Bogu i o prawdzie naszej wiary już dość rzeczono zostało, wydaje mi się teraz nie od rzeczy zstąpić ku przypadkom i dziełom ludzkim. Wysłuchawszy mojej opowieści, może ostrożniej odpowiadać będziemy na stawiane nam pytania. Należy, abyście wiedziały, drogie przyjaciółki, że głupota nierzadko odbiera człękowi wszelkie dobro i w wielkie nieszczęścia go wtrąca, gdy tymczasem mądrość z największych niebezpieczeństw wyprowadza i do spokojnego a błogiego stanu przywodzi. Przykładów na to, że głupota pozbawia nas szczęścia i do srogich mizeryj doprowadza, istnieje mnóstwo, aliści<sup>87</sup> o nich tutaj rozpowiadać nie będę, bowiem widać je jawnie z tysiąca codziennych zdarzeń. W krótkiej mojej opowieści ukażę tylko, jak to rozum wybawić nas może z obierzy.

„Saladyn, który dzięki swej osobistej dzielności nie tylko

---

<sup>87</sup> aliści (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

z człeka nikczemnego stanu na tron Babilonu się wyniósł, ale i siła<sup>88</sup> królów tak chrześcijańskich, jak i saraceńskich zwyciężył, roztrwoniał swój skarbiec na częste wojny i niesłychany zbytek. Zdarzyło się, że potrzebował pilnie większej sumy pieniędzy, a nie wiedząc, skąd by ją tak nagle wydostać, przypomniał sobie o bogatym Żydowinie, zwanym Melchisedech, który w Aleksandrii na lichwę pożyczał. Pomyślał Saladyn, że ten mógłby mu, gdyby tylko chciał, przyjść z pomocą; ponieważ jednak znał jego skąpstwo, więc nie bardzo wierzył, aby mu po dobrej woli usłużył, gwałtem zaś przymuszać go nie chciał. Nagłony potrzebą, jął<sup>89</sup> Saladyn przemyśliwać, jak by tę sprawę z Żydowinem ułatwić, aż wreszcie postanowił użyć gwałtu, ale tą modłą, aby miał on pozór słuszności.

Kazał przywołać Żyda, przyjął go serdecznie, posadził obok siebie i rzekł:

– Od wielu ludzi słyszałem, mężu zacny, że jesteś wielkim mędrcom i w rzeczach wiary osobliwie wyćwiczonym, dlatego też chciałbym się dowiedzieć od ciebie, która z trzech wiar jest najlepsza: żydowska, saraceńska czy chrześcijańska?

Żydowin, który w samej rzeczy był mądrym człowiekiem, wraz spostrzegł, że Saladyn chce go pochwycić za słowa, oczywiście nie bez ukrytej myśli; pojął zatem, że gdyby którejkolwiek z tych trzech wiar wyższość przyznał, władca swój zamierzony cel osiągnie. Skupił umysł jak ten, kto, do

---

<sup>88</sup> *siła* (daw.) – dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>89</sup> *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

odpowiedzi przynaglony, nie chce się dać przytapać na niej, i zaraz umyślił, jaki mu *respons*<sup>90</sup> dać należy.

– Panie mój i władco – rzekł – zadaliście mi ważne pytanie; abym mógł jednak mój sąd wyrazić, muszę wam powtórzyć pewną opowieść. Przypominam sobie, o ile mnie pamięć nie zwodzi, że nieraz słyszałem o jednym bogatym i znacznym człeku, który między innymi klejnotami posiadał w swym skarbcu szacowny i piękny pierścień. Aby jego wartość i piękność należycie uczcić i na wieczność ostawić go swoim potomkom, rozkazał, by ten z jego synów, w posiadaniu którego pierścień ów się znajdzie, za dziedzica uchodził, był za głowę rodu poczytywan i jako taki uważany i czczony. Spadkobierca pierścienia podobnie z potomkami swymi postąpił jak jego poprzednik. Pierścień przechodził z rąk do rąk, aż wreszcie dostał się człekowi, który miał trzech urodziwych, cnotliwych i posłusznych jego woli synów; dla tej przyczyny równą miłością ich darzył. Młodzieńcy, którzy wiedzieli o tym zwyczaju z pierścieniem, chcieli jeden przez drugiego klejnotem zawładnąć, jako że każdy z nich za najgodniejszego pragnął być uważany. Każdy prosił tedy<sup>91</sup> usilnie sędziwego ojca, który już do śmierci się zbliżał, aby jemu pierścień ten pozostawił. Zacny człek, wszystkich synów jednako miłujący, nie umiał uczynić wyboru, aż wreszcie umyślił, że najlepiej będzie przyrzec go każdemu z nich; aby wszystkich po równu

---

<sup>90</sup> *respons* (z łac., daw.) – odpowiedź. [przypis edytorski]

<sup>91</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

ukontentować. Polecił zaś w tajemnicy zręcznemu złotnikowi sporządzić jeszcze dwa pierścienie, które tak do prawdziwego podobne się okazały, że on sam, co uczynić je polecił, zaledwie mógł rozeznac pierścień prawdziwy. Przed śmiercią wręczył w tajemnicy każdemu synowi jeden pierścień. Po śmierci rodzica każdy z synów o dziedzictwo i o cześć należną się upominał i jeden zaprzeczał praw drugiemu, przedstawiając na dowód swój pierścień. Ponieważ trzy pierścienie tak podobne się okazały, że prawdziwego poznać nie można było, nie rozstrzygnięte po dziś dzień zostało, kto jest właściwym dziedzicem.

Podobnie rzecz się ma, mój panie i władco, z trzema religiami, danymi przez Boga trzem nacjom. Każda z nich mniema, że posiada istotną spuściznę i prawdziwe prawo boże; która jednak ma słuszność, nie wiadomo, jak i nie wiadomo, kto prawdziwy pierścień posiada.

Saladyn spostrzegł, iż Żydowin uniknął zręcznie zastawionych nań sieci. Postanowił zatem otwarcie o potrzebach swoich go uwiadomić, aby przekonać się, zali<sup>92</sup> mu usłużyć zechce, zdradził mu przy tym, co zamyślał z nim uczynić i co by, ani chybi, zrobił, gdyby tak rozumnej odpowiedzi nie otrzymał.

Żydowin dał Saladynowi po dobrej woli żadaną sumę. Saladyn zaś nie tylko po pewnym czasie dług swój w całości spłacił, ale jeszcze wspaniałymi darami go obsypał, uważał go za swego przyjaciela i zatrzymał przy sobie z oznakami czci wielkiej”.

---

<sup>92</sup> *zali* (daw.) – czy. [przypis edytorski]

## Opowieść czwarta. Ciężki grzech

Mnich, który w ciężki grzech popadł, gani przeora za tę samą przewinę i w ten sposób od kary się uwalnia.

Gdy Filomena, skończywszy swoją opowieść, zamilkła, siedzący obok niej Dioneo, nie czekając na rozkaz królowej (wiedział bowiem, że na niego teraz kolej przypada), tym kształtem mówić zaczął:

– Miłe damy! Jeśli dobrze nasze powszechne życzenie pojmuję, to zebraliśmy się tutaj po to, aby się opowieściami wzajemnie rozweselić. Mniemam, że każdemu zostawiona jest swoboda w wyborze materii, byleby tylko opowieść nie sprzeciwiała się ogólnemu prawidłu, to jest, zajmującą była. Takie było bowiem życzenie królowej. Wysłuchaliśmy już opowieści o tym, jak to Abraham, za radą Giannotta di Civignia idąc, duszę swoją zbawił oraz jak roztropny Melchisedech obronił swoje bogactwa przed zasadzkami Saladyna. Sądzę, że na wasze przygany nie zasłużę, gdy wam opowiem o chytrej sztuczce, dzięki której udało się pewnemu mnichowi srogiej kary cielesnej uniknąć.

„W Lunigianie, niedaleko stąd leżącej, znajdował się klasztor słynący dawniej z mnogości i świątobliwości braciszków, teraz zaś opustoszały. W klasztorze przebywał pewien mnich, człek młody i krzepkiego ciała złożenia. Sił jego ani posty, ani modlitwy, ani czuwania nocne nadwątlić nie zdołały. Pewnego

razu, w samo południe, gdy inni braciszczowie wczasu<sup>93</sup> zażywali, mnich ów, przechadzając się koło kościoła znajdującego się w okolicy pustej i oddalonej, napotkał urodziwą wielce młodkę, która, ani chybi, córką jakiegoś okolicznego kmiecia być musiała. Dzieweczka zatrudniona była zbieraniem ziół. Ledwie mnich ją ujrzał, gdy chucie w nim rozgorzały. Dlatego też, zbliżywszy się do niej, w grzeczny dyskurs z nią wstąpił. Od słowa do słowa przechodząc, to wreszcie na niej wymógł, że zgodziła się pójść cichaczem do jego celi, tak iż nikt tego nie spostrzegł.

Tutaj mnich, żądzami swymi zbyt pobudzany, jął<sup>94</sup> figlować z nią mniej ostrożnie, jak by należało. Tymczasem zdarzyło się, że przeor ze snu wyczucony, przechodząc obok celi mnicha, posłyszał rumor okrutny, który tamci czynili. Chcąc lepiej głosy rozróżnić, zbliżył się cicho do drzwi celi, nadśłuchiwać począł i wówczas poznał dowodnie, że wewnątrz białogłowa się znajduje. Z początku chciał rozkazać, aby drzwi otworzono, później jednak inaczej postąpić umyślił. Wrócił zatem do swej komnaty i czekał, aż mnich z celi wyjdzie. Mnich zasię<sup>95</sup>, chocia z całego serca rozkoszy używał, przecie miał się na baczności. Posłyszawszy, jak mu się zdawało, odgłos kroków na korytarzu, podszedł do drzwi, spojrzął przez szparę i ujrzał przeora, który podsłuchiwał. Dorozumiał się od razu, że przeor

---

<sup>93</sup> *wczas* (daw.) – odpoczynek. [przypis edytorski]

<sup>94</sup> *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>95</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

uznał o bytności białogłowy w jego celi, a wspomniawszy, jak surowa kara mu za to zagraża, stropił się wielce. Nie dawszy jednak młodce żadnej o swym strapieniu poznaki, jął się głowić nie na żarty, szukając jakiegoś stosownego wybiegu. Wreszcie przyszła mu na myśl pewna chytra sztuka, o skuteczności której był twardo przekonany. Uczyniwszy pozór, że dość ma już miłosnych igraszek, rzekł do białogłowy:

– Idę teraz, chcąc wynaleźć skuteczny sposób na to, byś stąd niepostrzeżenie wyjść mogła. Dlatego też czekaj tutaj, aż do mego powrotu.

Rzekłszy te słowa, wyszedł z celi, zamknął drzwi na klucz i zaraz udał się do komnaty przeora. Oddał przeorowi klucz, jak to każdy mnich miał w obyczaju czynić, kiedy z klasztoru się wydalał, i rzekł:

– Dzisiaj z rana, mój ojcze, nie zdążyli przewieźć wszystkich drew, co są przygotowane; za waszym pozwoleniem tedy<sup>96</sup> chcę się udać do lasu, aby zwózki dopilnować.

Przeor, pragnąc dowiedzieć się szczegółowiej o grzechu, przez mnicha popełnionym, i mniemając, że grzesznik niczego się nie dorozumiewa, uradował się z tego przypadku. Wziął klucz i dał swoje przyzwolenie. Gdy mnich odszedł, przeor jął<sup>97</sup> rozmyślać, jak mu postąpić należy: zali<sup>98</sup> w przytomności<sup>99</sup>

---

<sup>96</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>97</sup> *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>98</sup> *zali* (daw.) – czy. [przypis edytorski]

<sup>99</sup> *w przytomności* (daw.) – w obecności. [przypis edytorski]

wszystkich mnichów drzwi celi otworzyć i sprośny grzech na jaśnieść podać, tak aby braciszczkowie szemrać później nie mogli, gdy srogą karę rozpustnikowi wymierzy, zali też wprzód o wszystkim od onej niewiasty uznać szczegółowie<sup>100</sup>? Pomyślał przy tym, że owa młódka może się okazać córką lub żoną jakiegoś czcigodnego człeka, któremu nie chciałby despektu sprawić, jawnie ją osławiając. Dlatego też postanowił dowiedzieć się wprzód, kim jest owa białogłowa, a później dopiero stosowne miary przyjąć. Z tym zamysłem podszedł do drzwi celi, otworzył je, wszedł do środka i znów drzwi za sobą zawarł. Młódka obaczywszy przeora zmieszała się wielce, od sromu i trwogi gorzko płakać poczęła.

Świątobliwy przeor, spojrzawszy na nią, przekonał się, że dziewczeczka piękna jest i świeża. Chocia był już człkiem szedziwym, przecie poczuł, że nim chucie okrutne owładają, na podobieństwo tych, którym młody mnich oprzeć się nie zdołał. Tedy rzekł do się na ten kształt: »Dlaczegoż bym nie miał uciechy zażyć, skoro sposobność się nadarza? Radości i wesela niewiele mamy, trosk zasię i zła zawsze pod dostatkiem. To piękna dziewczeczka, na honor! Nikt nie dowie się o tym, że tutaj była. Czemuż miałbym nie spróbować, czy mi się nie uda woli swej ją powolną uczynić? Grzech w tajemnicy to pół grzechu tylko! Korzystajmy ze szczęśliwej okazji, co się może już nigdy nie powtórzy, i nie pogardzajmy nierozważnie dobrem, którym Bóg bliźniego obdarza!«.

---

<sup>100</sup> *szczególwie* – dziś popr. forma: *szczególwo*. [przypis edytorski]

Tak myśląc, zbliżył się do płaczącej dziewczeczki, zamysł swój pierwotny całkiem odmienił, pocieszać ją półgłosem począł i prosić, aby płakać przestała. Po czym w ostrożnych słowach pragnienie swoje jej odkrył. Dzieweczka, która nie była z żelaza ani z kamienia, zbytniego nie stawiała oporu. Przeor, obłapiwszy ją ciasno i ucałowawszy czule, pociągnął ją do wąskiego łóża mnicha. Mając jednak może należny wzgląd na czcigodność swojej osoby, a także obawiając się, aby jej ciężarem swoim zbytnio nie urazić, miast<sup>101</sup> się na wątej młódce położyć, na brzuchu swym ją posadził i tą modłą długo z nią igrał. Mnich, który udał, że do lasu wyrusza, ukrył się w kącie korytarza. Obaczywszy, że przeor sam do celi wchodzi i drzwi za sobą zamyka, miał już za najzupełniej pewne, że jego fortel skutecznym się okaże. Podkraść się więc do drzwi i przez szparę obaczył wszystko, co przeor czynił. Ów, po długiej miłosnej rozprawie, zamknął młódkę w celi i do swej komnaty się udał. Wkrótce usłyszał mnicha i sądził, że ten już z lasu powrócił. Zamierzając go skarcić surowo i do ciemnicy wtrącić, tak aby z miłej zdobyczy bez podziału korzystać, kazał go przywołać, a później przyjąwszy go z zagniewanym obliczem, rzekł, że go więzieniem ukarze.

Mnich odparł na to:

– Przewielebny ojcze; zbyt niedawno jestem w zakonie świętego Benedykta, ażebym mógł znać szczegółowie<sup>102</sup>

---

<sup>101</sup> *miast* (daw.) – tu: zamiast. [przypis edytorski]

<sup>102</sup> *szczególwie* – dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

wszystkie reguły. Nie wiedziałem na przykład, że mnisi krom<sup>103</sup> wigilij i postów winni są jeszcze i dziewczęta na siebie nakładać. Teraz jednak, skoroście mi już stosowny przykład dali, przyrzekam nigdy pod tym względem nie chybić. Jeśli mi na ten raz przebaczycie, będę czynił tak, jak widziałem, żeście wy czynili.

Przeor, który był człowiekiem o bystrym przyrodzeniu<sup>104</sup>, zaraz pojął, że mnich nie tylko lepiej od niego w sedno utrafił, ale wszystkie jego figle widzieć musiał. Zawstydził się postępkowi swego i nie chciał karać mnicha za to, czym sam zgrzeszył. Przebaczył mu przeto, pod warunkiem, że ściśle milczenie zachowa. Później postarali się dziewczynę ukradkiem z klasztoru wyprowadzić. Mniemać należy, że młódka jeszcze nieraz tam powracała”.

---

<sup>103</sup> *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

<sup>104</sup> *przyrodzenie* (daw.) – tu: natura. [przypis edytorski]

# Opowieść piąta. Kury

Markiza z Monferratu gasi bezrozumną miłość króla francuskiego, częstując go samymi kurami i obracając się do niego ze stosownymi słowami.

Opowieść Dionea zawstydziła nieco białogłowy, czego dowodem były rumieńce na ich obliczach; później ledwie się od śmiechu wstrzymać mogły. Jedna na drugą poglądając słuchały noweli z uśmiechem na ustach. Gdy Dioneo dobiegł do końca, łagodnymi słowy zwróciły mu uwagę, że podobnych rzeczy przy białogłowach opowiadać się nie godzi. Królowa obróciwszy się do Fiammetty, siedzącej obok niego na murawie, rzekła, że teraz na nią kolej przychodzi. Fiammetta wdzięcznie się uśmiechając w te słowa zaczęła:

– W poprzednich opowieściach okazane zostało na przykładach, jakie znaczenie mieć może szybka i bystra odpowiedź. Pomyślałam sobie, że jeśli mężczyzna rozumnie czyni szukając zawsze miłości tej kobiety, której ród jest znaczniejszy od niego, to natomiast białogłowa winna ponad wszystko strzec się miłości do takiego męża, co stanem swym nad nią góruje. Dlatego też postanowiłam w tej noweli, którą teraz mam opowiedzieć, pokazać wam, miłe towarzyszki, jak to pewnej znacznej damie udało się słowem i uczynkiem od takiego afektu uchronić i drugiego od miłości odwieść.

„Markiz z Monferratu, człek wielkiej dzielności i chorąży

Kościola, wziął udział w powszechnej wyprawie krzyżowej za morze. Na dworze króla francuskiego Filipa Krzywookiego, który również do tej wyprawy się gotował, jeden z rycerzy oznajmił w rozmowie, że nie ma na ziemi takiej pary jak markiz i jego żona. Jeśli bowiem markiz słynie pośród rycerstwa swymi wielkimi przymiotami, to żona jego jest najpiękniejsza i najcnotliwsza z wszystkich kobiet. Słowa te tak wielkie wrażenie na królu Francji sprawiły, iż zakochał się namiętnie w żonie markiza, chociaż jej dotychczas nie widział. Umyślił zatem dopiero w Genui wsiąść na okręt, aby stamtąd się przez morze przeprawić, do Genui zaś dotrzeć lądem, a po drodze, mając po temu sposobność tak godziwą, odwiedzić markizę. Miał nadzieję, że pragnienia swoje do lubego przywiedzie skutku, zważywszy na to, że markiza sama w domu pozostawała. Zamysły swoje zaraz w czyn wcielił. Wysławszy naprzód swoje wojska, sam z nieliczną świtą w drogę wyruszył. Zbliżywszy się do włości markizy, pchnął umyślnego, aby powiadomić markizę, że następnego dnia przybędzie do niej na obiad. Roztropna i układna dama odparła, że wielce sobie zaszczyt ten ceni i że przyjmie króla jak najmilszego gościa. Później jęła<sup>105</sup> się nad tym głowić, co króla tak znacznego k'temu<sup>106</sup> przywodzi, aby ją odwiedzać w czasie, gdy mąż jej przytomny<sup>107</sup> nie jest, i odgadła, że sława jej piękności tu go przynęciła.

---

<sup>105</sup> *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>106</sup> *k'temu* (daw.) – do tego. [przypis edytorski]

<sup>107</sup> *przytomny* (daw.) – obecny (przy czymś). [przypis edytorski]

Tym niemniej postanowiła przyjąć gościa, jak się należało. Przywołała wszystkich znaczniejszych ludzi, pozostałych w domu, i zasięgnąwszy ich rady przygotowała wszystko na godne przyjęcie; tylko ucztą i wyborem potraw sama się zajęła. Kazała zarządzić wszystkie kury, jakie pod rękę podpadną, i tylko z nich przyrządzić kucharzom wiele rozlicznych potraw. Naznaczonego dnia przybył król i został godnie i wspaniale przyjęty. Ujrawszy markizę, przekonał się, że piękność jej, osobny wdzięk i przymioty znacznie przechodzą wszystkie opowiadania rycerza. Zadziwił się wielce i tym większym płomieniem rozgorzał, im bardziej piękność markizy przewyższała tej piękności fałsz. Król zażył wczasu<sup>108</sup> w komnatach, przybranych okazale i stosownie na przyjęcie tak znacznego gościa, gdy zaś nastąpiła pora obiadu, usiadł z markizą za stołem. Innym przytomnym<sup>109</sup> dano miejsce wedle ich godności za sąsiednimi stołami. Król niewypowiedzianej rozkoszy zażywał smakując w wyszukany jadle, próbując win znamienitych i nie odrywając wzroku od pięknej markizy. Jednakże w miarę jak półmiski wciąż zmieniano, zaczął się nieco dziwować, spostrzegłszy, że jeśli i potrawy różne były, to przyrządzono je wszystkie tylko z samych kur. Król dobrze wiedział, że okolice tamtejsze obfitują w dziczyznę, w którą, na wieść o jego przyjeździe, był jeszcze czas się opatrzyć. Mimo swego zdziwienia z tej osobliwości, od onych kur właśnie chciał

---

<sup>108</sup> wczas (daw.) – odpoczynek. [przypis edytorski]

<sup>109</sup> przytomni (daw.) – obecni (przy czymś), zebrani. [przypis edytorski]

zacząć, by przygadać markizie, i obrócić się do niej z takim żartem:

– Zali, Wasza Miłość – rzecze z wesołym uśmiechem – w kraju tym kury rodzą się bez koguta?

Markiza w lot pojęła, do czego król pytaniem swym zmierza, i widząc, że sam Bóg zsyła jej sposobność wyjawienia gościowi swojej intencji, odparła swobodnie:

– Nie, Miłościwy Królu! Białogłowy tutejsze są takie same jak wszędzie, chocia w swych strojach i obyczajach od innych nieco się różnią.

Król, usłyszawszy ten *respons*<sup>110</sup>, zrozumiał zarówno ukryte znaczenie słów markizy, jak i przyczynę, dlaczego obiad z samych kur się składał. Pojął, że z taką białogłową na nic się zdadzą cukrowane słówka, a także i gwałtem niczego się nie sprawi. A chocia nieopatrznie żądze się w nim wielkie zażęły, przecie osądził, że lepiej będzie dla jego czci, jeśli ten płomień niestosowny przygasi. Zaprzeszał żartów, obawiając się, aby markiza znów mu ostro nie przymówiła, i zbył się wszelkiej nadziei. Skończywszy obiad podziękował za przyjęcie, jakie go spotkało, polecił markizę Bogu i do Genui zaraz się udał, aby śpiesznym odjazdem zatrzeć nieprzystojny powód swego przybycia”.

---

<sup>110</sup> *respons* (z łac., daw.) – odpowiedź. [przypis edytorski]

# Opowieść szósta. Sto za jedno

Pewien czcigodny człek trafnym słówkiem karze szpetną obłudę mnichów.

Siedząca obok Fiammetty Emilia zaczęła swoją opowieść, gdy już wszyscy przytomni<sup>111</sup> dość wysławili mądrość markizy, która podobną odprawę francuskiemu królowi dała.

– I ja – rzekła z wdziękiem – opowiem o podobnym responsie<sup>112</sup>, danym przez pewnego mądrego, a świeckiego człeka skapemu mnichowi. Ze słów tych nie tylko śmiać się trzeba, ale i je zachwalić.

„Żył niedawno we Florencji mnich z zakonu braci mniejszych, inkwizytor kacerskich błędów. Jak i wielu innych, chciał on uchodzić za świętoszka i człeka żarliwego w wierze chrześcijańskiej, co mu nie wadziło śledzić równie za tymi, których mieszkni dobrze nabite były, jak i za heretykami.

Przypadek nadarzył mu kiedyś poczciwca uposażonego więcej w dukaty niżli w rozum. Ów, nie dla słabej wiary, ale z prostoty ducha, może podochocony winem lub zabawą nieumiarkowaną, rzekł pewnego dnia do swojej kompanii, że ma wino tak dobre, iż sam Chrystus piłby je z ochotą. Słuch o tym doszedł do ojca inkwizytora, który dowiedziawszy się,

---

<sup>111</sup> *przytomni* (daw.) – obecni (przy czymś); zebrani. [przypis edytorski]

<sup>112</sup> *respons* (z łac., daw.) – odpowiedź. [przypis edytorski]

że bluźnierca ma wielkie włości i dobrze nabity mieszek, *cum gladiis et fustibus*<sup>113</sup> srogie śledztwo rozpoczął. Miał na myśli nie tyle sprowadzenie grzesznika na drogę prawej wiary, ile napełnienie swojej kieszeni jego dukatami. Przywoławszy go, zapytał, *zali*<sup>114</sup> prawdą jest, co przeciw niemu mówią? Prostack odpowiedział, że tak, i wyjaśnił, jak było. Świątobliwy inkwizytor i czciciel św. Jana Złotobrodego rzekł:

– Tedy uczyniłeś z Chrystusa opoja i smakosza win, na podobieństwo Moczygęby lub innego pijanicy, nie wychodzącego z szynkowni, teraz *zasię*<sup>115</sup> przyznając się pokornie, chcesz w nas wmówić, że błaha to sprawa. Nie jest jednak tak, jak ci się zdaje. Zasłużyłeś na stos i pójdziesz w ogień, jeśli zechcemy postąpić z tobą według prawa!

I ze srogą miną *jął*<sup>116</sup> gromić biedaka, jakby był on samym Epikurem, co duszom nieśmiertelności zaprzeczał. Mówiąc pokrótce, tak go przeraził, że pocziwina przez pośredników posmarował tłusto balsamem św. Jana Złotoustego ręce inkwizytora (balsam ten jest wielce skuteczny na zarazę chciwości pośród księży, a zwłaszcza braci mniejszych, którym nie *lza*<sup>117</sup> się pieniędzy dotykać), aby ów więcej litośnie chciał z nim postąpić.

---

<sup>113</sup> *cum gladiis et fustibus* (łac.) – mieczami i kijami. [przypis edytorski]

<sup>114</sup> *zali* (daw.) – czy, czyż. [przypis edytorski]

<sup>115</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>116</sup> *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>117</sup> *nie lza* (daw.) – nie można, nie wolno. [przypis edytorski]

Cudotwórczości maści, o której wszakoż Galen w swoich medycznych księgach nie wspomina, w tak wielkiej ilości użył, że płomień stosu, grożący mu, zamienił się w znak krzyża; dali mu żółty krzyż na czarnym polu, niby porzecz rycerzowi, co na wyprawę krzyżową się gotuje. Nie dość tego. Wziąwszy pieniądze ojciec inkwizytor zatrzymał grzesznika na kilka dni przy sobie, przykazawszy mu, aby dla pokuty słuchał codziennie mszy u Świętego Krzyża, a w godzinie posiłku stawał przed jego obliczem; przez resztę dnia mógł czynić, co zechciał.

Grzesznik, odbywając pilnie pokutę, usłyszał pewnego dnia podczas mszy, jak śpiewano te słowa Ewangelii: »Sto za jedno oddane wam będzie i posiadziecie żywot wieczny«.

Zachował je dobrze w pamięci. W oznaczonej godzinie, spełniając rozkaz, zjawił się u inkwizytora, który właśnie obiad spożywał.

Mnich zapytał go, zali<sup>118</sup> dnia tego mszy świętej wysłuchał, a usłyszawszy, że tak, rzekł:

– Zaliżesz nie słyszał czego, co by wątpliwość w tobie pewną wzbudziło i przeto wyjaśnień się domagało?

– Nie, ojcze – odparł pocziwiec – wierzę we wszystko i najmniejszej wątpliwości nie mam. Usłyszałem jednak coś, co mnie wielką litością dla was i braci waszego zakonu natchnęło. Ciężko wam będzie na tamtym świecie, ojcowie czcigodni!

– Jakież to słowa – zapytał inkwizytor – takim współczuciem dla nas cię napełniły?

---

<sup>118</sup> zali (daw.) – czy, czyż. [przypis edytorski]

– Był to ustęp z Ewangelii – odparł prostak – który powiada: »Sto za jedno otrzymacie!«.

– Nie masz nic prawdziwszego nad to – rzecze mnich – ale czemuż cię te słowa tak wzruszyły?

– Zaraz wam wszystko wytłumaczę, ojczye wielebny. Od czasu jak przebywam w waszym klasztorze, widzę, że codziennie wynosicie żebrakom kocioł albo i dwa kotły zupy, która z obiadu wam została. A owóz, jeśli na tamtym świecie za każdy kocioł sto wam oddadzą, wszyscy się w zupie potopicie!

Ci, co pospołu z inkwizytorem biesiadowali, wybuchnęli głośnym śmiechem. Inkwizytor pojął, że słowa te przeciwko obłudnej dobroczynności mnichów wymierzone zostały, i wielce się tym stropił. Gdyby nie przygana, jaką zyskał poprzednim swoim przyznaniem, ani chybi, wszcząłby przeciw niemu drugi proces mszcząc się za zniewagę swoją i innych braci-pasibrzuchów. Rozgniewany, puścił go swobodnie i przykazał, aby mu się więcej na oczy nie pokazywał”.

# Opowieść siódma. Poskromienie skąpca

Bergamino opowieścią o Prymasie i opacie z Cluny  
zawstydzia niespodzianie skąpego Cane della Scala.

Gdy Emilia opowiadała zabawnie o niepowszednim rzeczeniu krzyżowca, całe towarzystwo pospołu z królową śmiało się serdecznie i pochwał nie szczędziło. Gdy śmiech umilkł i wszyscy uspokoili się, Filostrato, na którego kolej nadeszła, zaczął na ten kształt:

– Piękną rzeczą jest, miłe damy, trafić w cel nieruchomy, ale gdy łucznik popadnie strzałą w przedmiot mu nie znany, który się nagle pojawia – to kunszt nad kunsztami. Występne i brudne życie mnichów jest jawnym dowodem ich zepsucia, z czego każdy łącno może śmiać się i drwić do woli. Jeśli poczciwiec dobrze uczynił, dworując sobie z inkwizytora i obłudnej dobroczynności mnichów, którzy dają ubogim strawę, stosowną dla świń, to nie mniej wychwalać należy tego człeka, co mi go poprzednia opowieść na pamięć przywiodła. Ów niezwykle a niespodziane skąpstwo udzielnego i bogatego księcia Cane della Scala w swojej wesolej opowieści wyszydził, wkładając w usta drugiego to, co o sobie i o nim chciał powiedzieć.

„Ten Cane della Scala, jak to fama po całym świecie głosi, był wielkim wybrańcem fortuny, a przy tym jednym z najślawniejszych i najwspanialszych książąt Italii od czasów Fryderyka II, cesarza, po dzień dzisiejszy. Pewnego razu książę

umyślił wyprawić w Weronie ucztę wspaniałą. Sprosił na nią zewsząd co znaczniejsze osoby i dworzan, ale gdy przybyli, nagle zamysł swój odmienił; szcudrze obdarzył swoich gości i z powrotem ich odprawił. Jeden tylko Bergamino, zawołany gaduła i człek bystrego dowcipu (o czym sądzić może tylko ten, co go słyszał), żadnej nagrody nie otrzymawszy ani też nie odprawiony, pozostał na miejscu, a przecie się nie trapił zbytnio, mniemając, że w przyszłości sownie sobie to odbije. Aliści Cane della Scala pomyślał, że dać cośkolwiek Bergaminowi to gorzej niżli w ogień rzucić, dlatego też milczał i wcale się doń nie zwracał. Bergamino czekał przez kilka dni, ale widząc, że nikt po niego nie przysyła ani umiejętności jego na próbę nie wystawia i że pobyt w gospodzie wraz ze służbą i końmi drogo go kosztuje, jał<sup>119</sup> się nie na żarty trapić. Mimo to przecie czekał ciągle, myśląc, że nie byłoby rzeczą roztropną teraz odjeżdżać. Przywiózł zaś był z sobą trzy bogate i strojne suknie, które od innych książąt otrzymał, aby móc godnie na uczcie wystąpić.

W zapłatę za postój oddał oberżyscie z początku jedną suknię, po jakimś czasie drugą, wreszcie jał żyć na koszt trzeciej szaty, postanowiwszy zostać tam dopóty, dopóki pieniędzy za nią wystarczy, później zaś puścić się w drogę powrotną.

Gdy już ostatnią suknię przejadł, zjawił się pewnego dnia z zatroskaną miną przed panem Cane della Scala, w chwili gdy ów za stołem siedział. Pan Cane della Scala, chcąc raczej zadworować z niego niżli rozweselić się jakimś jego trafnym

---

<sup>119</sup> jać (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

słowem, rzeczce:

– Co ci jest, Bergamino? Powiedz, dlaczegoś taki strapiony?

Wówczas Bergamino bez namysłu, jak gdyby już wszystko z dawna dobrze obmyślił, jął opowiadać nowelę, która jawnie jego położenie ukazać miała.

– Wiecie zapewne, Wasza Miłość, że Prymas był nie tylko człkiem w gramatyce zawołanym, ale i świętym a zręcznym wierszopisem. Jego nauka i umiejętność uczyniły go tak sławnym, że z imienia był on znany każdemu, nawet tym, co go nigdy na oczy nie widzieli. Bawiąc kiedyś w Paryżu, gdy wielki niedostatek znosił, jak mu się to często zdarzało, bowiem możni tego świata nie bardzo się kwapili, aby talenty jego wynagradzać, usłyszał o opacie z Cluny, który jak powszechna fama głosiła, był, krom<sup>120</sup> papieża, najbogatszym dostojnikiem Kościoła. Ludzie opowiadali o nim dziwy, wysławiali jego szczodrość i wspaniałość, twierdzili, że w jego domu wieczne święto panuje i że każdy, kto się tam zjawi, ugoszczony zostanie, byle tylko poprosił o to, gdy opat jest przy stole. Prymas, który z ludźmi znacznymi przestawać lubił, umyślił udać się tam, aby przekonać się o szczodrobliwości opata. Zapytał się, czy opat daleko od Paryża przemieszkuje, na co mu odpowiedziano, że jego dwór znajduje się o jakoweś sześć mil od Paryża. Wybrał się zatem w drogę wcześniej rano, aby stanąć na miejscu w obiadowej porze. Dowiedziawszy się, którądy mu iść należy, nie natrafił na nikogo, kto by w tę samą stronę dążył, przeto, pełen obawy,

---

<sup>120</sup> *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

że zabłądzić może w takie miejsce, gdzie nic do jedzenia nie znajdzie, opatrzył się w trzy chleby, aby po drodze nie głodować, co się zaś wody tyczy, to myślał (choć nie był zbytnim jej lubownikiem<sup>121</sup>), że wszędzie ją napotka.

Włożył chleby za pazuchę i ruszył w drogę. Poszcęściło mu się tak, iż przybył na dwór opata jeszcze przed obiadem. Wszedłszy do domu, jał<sup>122</sup> się na wszystkie strony rozglądać i ujrzał liczne stoły dokoła rozstawione, kredensy obficie opatrzone i różne rzeczy do obiadu przygotowane; z tego wniósł, że opat musi być naprawdę szczodry tak, jak fama głosi. Tymczasem zbliżyła się godzina obiadu. Marszałek dworu kazał podać wody do obmycia rąk, a potem każdemu miejsce za stołem wskazał. Zdarzyło się, iż Prymas zajął miejsce naprzeciw drzwi, przez które opat miał wejść do komnaty. Było to na tym dworze w obyczaju, że dopóki opat nie zasiadł za stołem, nie podawano niczego, wina ani chleba, jadła ani napojów. Zastawiwszy stoły, marszałek oznajmił opatowi, że obiad już gotów. Opat rozkazał otworzyć drzwi, które do jadalni wiodły; ledwie stanął na progu, wzrok jego padł na Prymasa. Był on nędznie ubrany, a przy tym opat nie znał go wcale. Gdy go obaczył, przyszła mu do głowy po raz pierwszy myśl niegodna. »Kogóż to ja nie karmię za swoim stołem?« – rzekł do siebie. Cofnął się od proga, przykazał zamknąć komnatę i zapytał tych, co w pobliżu niego stali, zali nie znają tego włóczęgi, co naprzeciw drzwi za stołem siedzi.

---

<sup>121</sup> *lubownik* (daw.) – miłośnik. [przypis edytorski]

<sup>122</sup> *jać* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

Wszyscy odparli, że nie wiedzą, kto by to był.

Prymas, jako człek do postów nieprzywykły, a przy tym wygłodniały po przebyciu wielkiego szmatu drogi, poczekał chwilę, ale widząc, że opat nie nadchodzi, wyciągnął jeden z trzech bochenków chleba tkwiących za pazuchą i jeść go począł.

Opat po pewnym czasie posłał do komnaty jednego z swych sług, aby obaczył, czy nieznajomy już odszedł.

Sługa doniósł, że spożywa chleb, który ani chybi, przyniósł z sobą.

– Niechaj je, jeśli ma własny – odparł opat – naszym się dzisiaj nie pożywi!

Opat chciał, aby Prymas sam się z swego miejsca ruszył, bowiem niegodną rzeczą mu się zdało za drzwi go wyrzucać. Prymas tymczasem zjadł jeden chleb, a widząc, że opat nie nadchodzi, do drugiego bochenka się zabrał. Powiadomiono o tym opata, który znów kazał słudze obaczyć, czy przybysz siedzi za stołem.

Prymas, zjadłszy drugi bochen chleba, wydobył trzeci. Opat, dowiedziawszy się o tym, zamyślił się i rzekł do siebie: »Co mnie do głowy dzisiaj przyszło? Skąd to skąpstwo i ta wzgardliwość w stosunku do tego człeka? Od tylu lat już karmię tych, co są zgłodniiali, nie pytając, czy to szlachcice, czy chłopci, bogacze czy biedacy, kupcy czy oszuści. Widziałem, jak z mego dobra korzystali włóczędzy, a przecie nigdy nie owładały mną myśli takie jak teraz; gdy na tego człeka patrzę. Należy mniemać, iż

takie skąpstwo nie mogło się zrodzić we mnie w odniesieniu do nikczemnego człeka. Ów nieznajomy, co włóczęgą mi się zdawa, musi być znamienitym człowiekiem, skoro mnie coś tknęło, aby go uczcić należycie”.

Rzekłszy to, chciał się dowiedzieć, kto był ów przybysz. Gdy mu powiedziano, że jest to Prymas, który tu przybył, aby przekonać się na własne oczy, czy wysławiana szczodrość opata jest taką w samej rzeczy, opat zawstydził się szczerze, bowiem słyszał już był wiele o tym człeku i o jego umiejętnościach.

Chcąc błąd swój naprawić, jał<sup>123</sup> mu wielką cześć okazywać. Ugościwszy go u stołu, obdarzył go szatami, stosownymi do jego godności, mieszkiem złota i pięknym rumakiem, i dał mu do wyboru: pozostać na jego dworze czyli też odjechać. Prymas, wielce ukontentowany, gorący dank<sup>124</sup> mu złożył i powrócił na koniu do Paryża, skąd przybył piechotą.

Pan Cane della Scala, człek rozumny, pojął od razu, co Bergamino chciał rzec przez to, i odezwał się doń z uśmiechem.

– Udatnie, mój Bergamino, podałeś na jaśnię swoje krzywdy i wartość, a także i moje sknerstwo; dałeś mi poznać dowodnie, czego pragniesz ode mnie. Wierę<sup>125</sup>, powiem ci, że nigdy dotąd nie byłem dla nikogo tak nieużyty i skąpy. Przepędzę to skąpstwo tym kijem, który mi ukazałeś.

To rzekłszy zapłacił oberżycie za Bergamina, obdarzył

---

<sup>123</sup> *jać* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>124</sup> *dank* (daw., z niem.) – podziękowanie, wyrazy wdzięczności. [przypis edytorski]

<sup>125</sup> *wierę* (daw.) – doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

go wspaniałą własną szatą, sakwą pełną złota, rumakiem i przyzwolił mu – albo pozostać przy sobie, albo też swobodnie odjechać”.

# Opowieść ósma. Skąpiec Grimaldi

Wilhelm Borsiere gładkimi słowy wyszydza skąpstwo  
Imć Ermina de'Grimaldi.

Siedząca obok Filostrata Laretta, wysłuchawszy pochwał nad sprytem Bergamina i widząc, że na nią kolej nadchodzi, nie czekając wezwania jęła<sup>126</sup> mówić w te słowa:

– Poprzednia nowela przywiodła mnie k'temu<sup>127</sup>, aby wam opowiedzieć, jak to pewien dworzanin w podobny sposób skutecznie ukarał i wyśmiał chciwość bogatego kupca. Moja opowieść podobna będzie do opowieści Filostrata, jednakóż sądzę, że nie mniej wam do smaku przypadnie, bowiem koniec ma szczęśliwy.

„Żył ongiś w Genui szlachcic, Ermino de'Grimaldi, który według powszechnego mniemania był wówczas najbogatszym człkiem we Włoszech; żaden bogacz nie mógł mu dorównać majątkościami i nagromadzonymi pieniędzmi. Ale górując nad wszystkimi bogactwem, przewyższał także swym sknerstwem wszystkie kutwy na świecie. Nie trza nawet i wspominać, że dla bliźnich sakwy jego szczelnie zamknięte były; nie dosyć na tym, sam sobie bowiem odmawiał rzeczy najniezbędniejszych, skąpiąc na jedzenie, picie i odzież, przeciwnie do obyczaju

---

<sup>126</sup> *jać* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>127</sup> *k'temu* (daw.) – do tego. [przypis edytorski]

Genueńczyków, którzy wystawnie a wspaniale ubierać się lubią. Wreszcie k'temu<sup>128</sup> przyszło, że puszczono w niepamięć jego nazwisko Grimaldi i Erminem-Sknerą zwać go poczęto.

Zdarzyło się, iż w tym czasie, gdy Ermino przez stałe sknerstwo bogactwa swoje powiększał, przybył do Genui obyczajny i gładki dworak, a przy tym zawołany mówca, Wilhelm Borsiere. Mało był podobny do wielu dzisiejszych panków, którzy mimo swych skażonych i występnych obyczajów za ludzi znamienitych chcą uchodzić i nosić szlacheckie tytuły. Podobni są oni do osłów, bowiem wzrosli raczej wśród wszelakiej brzydlivości i ludzkiej ohydy, niżli na dworach wychowani zostali. W owych czasach dworzanie z usilnością starali się o zgodę, jeśli gdzieś wybuchła kłótnia lub nienawiść; przyczyniali się do kojarzenia małżeństw i zacieśniania związków przyjacielskich; trafnym a wdzięcznym słowem rozweselali umysły po dniu pracy, zasię<sup>129</sup> cierpką, ale ojcowską przymówką występki nikczemników razili. Wszystko to czynili za niewielkim wynagrodzeniem. Dzisiaj natomiast trawią swój czas tylko na tym, że plotki roznoszą, sieją niezgody, wzbudzają waśnie, mówią rzeczy niegodziwe, a co gorsza, czynią je na oczach ludzkich, ganią jeden drugiego za rzekome czy też prawdziwe bezceństwa, zasię ludzi zacnych fałszywymi pochlebstwami ku różnym szkaradnościom podwodzą. Na wstyd naszemu wiekowi, prawie zawsze największych łask

---

<sup>128</sup> k'temu (daw.) – do tego. [przypis edytorski]

<sup>129</sup> zasię (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

i dobrodziejstw od niegodnych panów dostępuje, kto najwięcej zdrożności i plugastw czyni lub mówi. Wszystko to jest hańbą wielką czasów naszych i jawnym dowodem, że cnoty nas już opuściły ostawiając nas na pastwę występków i nieszczęść.

Ale powracając do właściwego wątku, od którego gniew słuszny oderwał mnie na dłużej, niż się tego spodziewać mogłam, powiem, że ów Wilhelm cieszył się w Genui osobnymi względami i przyjaźnią wszystkich. Przebywszy w mieście kilka dni usłyszał o skąpstwie i niegodziwości Ermina i widzieć go zapragnął. Ermino ze swej strony usłyszał także o Wilhelmie Borsiere jako o człeku wielce zacnym, a jako że mimo przyrodzonego skąpstwa tliła się w nim jeszcze iskierka ludzkości, tedy<sup>130</sup> przyjął go z twarzą wesołą, uprzejmymi słowy go powitał i rozprawiać o różnych rzeczach począł. Później wraz z innymi Genuńczykami wwiódł go do swego nowego i pięknego domu. Oprowadziwszy go po nim, rzekł:

– Siła rzeczy widzieliście na świecie, panie Wilhelmie! Rad bym dowiedzieć się od was, jaką rzecz osobliwą i nigdy nie widzianą mógłbym wymalować w tej sali?

Wilhelm, usłyszawszy to śmieszne żądanie, odparł:

– Nie mogę wam, panie, powiedzieć nic o rzeczy, której nikt jeszcze nie widział. Chyba byłoby to kichanie albo jakaś rzecz podobna. Jeśli jednak pragniecie, mogę poradzić wam coś, czegoście wy dotąd jako żywo nie widzieli.

– Proszę was, powiedzcie mi, co to takiego – rzekł Ermino,

---

<sup>130</sup> tedy (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

który nie spodziewał się wcale, jaka będzie odpowiedź Borsiere.

– Każcie odmalować szczodrość – odparł żywo Wilhelm.

Usłyszawszy te słowa Ermino tak się zasromał, że w jednej chwili całkiem się odmienił, a potem rzekł:

– Każę ją odmalować, panie Wilhelmie, w taki sposób, że ani wy, ani nikt inny już powiedzieć nie będzie mógł, iż jej nie widziałem i nie poznałem.

Istotnie, od tego dnia – taka była skuteczność słów Wilhelma – stał się Ermino najhojniejszym i najmiłszym człkiem w Genui i nikt z tych, co żyli tam za jego czasów, nie okazał więcej serca swoim i obcym.”

# Opowieść dziewiąta. Pątniczka

Król Cypru, wydrwiony przez pewną Gaskonkę, staje się z człeka tchórzliwego dzielnym.

Teraz przyszła kolej, aby Eliza, jako ostatnia, wypełniła rozkaz królowej.

Eliza, nie mieszkając<sup>131</sup>, zaczęła opowiadać wesoło:

– Nieraz się przytrafia, miłe białogłowy, że nagany i srogie kary nie mogą tego sprawić, co jedno słowo, często przypadkiem, a nie *ex proposito*<sup>132</sup> rzezone. Jawnie to widać z opowieści Lauretty; w swej krótkiej noweli chciałabym to samo ukazać. Dobre opowieści zasługują na to, aby ich słuchać z uwagą, bez względu na to, kto je opowiada, mogą bowiem zawsze oddać pożytek.

„Za czasów pierwszego króla Cypru, gdy już Gotfryd z Bouillon Ziemię Świętą zdobył, zdarzyło się, iż pewna dama gaskońska wybrała się z pielgrzymką do grobu Chrystusa. W powrotnej drodze zatrzymała się na wyspie Cypr, gdzie ją znieważyło kilku niegodziwców. Obracała się z swymi skargami powszędy, ale nigdzie nic wskórać nie mogąc postanowiła wreszcie skargę swą królowi przedłożyć. Nie radzili jej tego czynić, tłumacząc, że wszystkie starania pójdą na marne, bowiem

---

<sup>131</sup> *nie mieszkając* (daw.) – nie zwlekając, nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

<sup>132</sup> *ex proposito* (łac.) – celowo, z rozmysłem. [przypis edytorski]

król jest tak gnuśnego i tchórzliwego przyrodzenia<sup>133</sup>, iż nie tylko nie mści się za obelgi innym wyrządzone, ale nawet puszcza płazem niezliczone zniewagi sobie uczynione. Kto w duszy jakąś urazę lub rankor<sup>134</sup> żywi, staje zwykle przed królem i swobodny upust swej złości daje czyniąc mu, jaką chce, zniewagę. Usłyszawszy o tym dama gaskońska, która już traciła nadzieję na odwet za krzywdy swoje, postanowiła przynajmniej dla jakiegoś zadośćuczynienia małoduszność króla zgromić. Stała przed nim i rzekła ze łzami:

– Przyszłam do ciebie, panie, nie po to, aby żądać sprawiedliwości za zniewagę mi uczynioną. Zamiast uczynić jej zadość racz tylko nauczyć mnie, jak należy znosić obelgi i osławy, których, jak słyszę, nikt ci nie szczędzi. Za twoim przykładem ścierpię może tę hańbę, którą bym ci chętnie odstąpiła, wiedząc, z jaką cierpliwością wszelkie szkalowania znosisz.

Król, dotychczas na wszystko głuchy i nieczuły, nagle jakby się z głębokiego snu ocknął. Przed wszystkim surowo ukarał tych, co krzywdę damie wyrządzili, a później ścigał nieubłaganie ludzi koronę jego znieważających”.

---

<sup>133</sup> przyrodzenie (daw.) – tu: natura. [przypis edytorski]

<sup>134</sup> rankor (daw.) – żal, złość. [przypis edytorski]

# Opowieść dziesiąta. Zakochany starzec

Mistrz Albert z Bolonii zawstydzona białogłową, która chciała sobie zeń zadrwić dlatego, że ją miłował.

Po Elizie miała głos zabrać jeszcze królowa, która z wielkim wdziękiem w te słowa jęła<sup>135</sup> mówić:

– Miłe białogłowy, podobnie jak gwiazdy w świetliste noce upiększają niebo, a kwiaty wiosną ziemię, tak wdzięczne słowa kraszają wesołą gawędę i dobre obyczaje. Krótkie słowa przystoją bardziej białogłomom niż mężom, nie powinny też one bez potrzeby wiele i długo mówić. Tym więcej, że teraz, ku wielkiemu sromowi wszystkich, niewiele zostało takich białogłów, co dowcipne słowo rozumiejąc, odpowiedzieć na nie są w stanie. Wielki to wstyd dla nas i dla wszystkich pań naszej doby. Co u dawnych niewiast ozdobą umysłu było, to dzisiejsze białogłowy tracą na ukraszenie ciała swego; ta, która się w najbardziej pstre suknie lamówką obramione przystroi, już się sobie wielkiej czci godną wydaje, a i nie pomyśli o tym, że na osła można by władować jeszcze więcej sukien niż na nią; osioł by je nosił, nie przestając być jednakowoż osłem. Wstyd mi to mówić, bowiem nie mogę prawić przeciwko innym tak, abym sama siebie oszczędzić mogła. Owe białogłowy, tak upstrzone, umalowane i przystrojone, stoją niby nieme

---

<sup>135</sup> *jęć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

i nieruchome posągi z marmuru; jeśli się je o co zapytać, odpowiadają tak, że lepiej by było, gdyby zmilczały. Starają się przy tym wmówić w nas, że ich niezdarność i nieumiejętność prowadzenia rozmowy w towarzystwie niewiast i zacnych mężów płynie tylko z niewinności i prostoty duszy; głupotę swoją cnotliwością zowią, tak jakby tylko ta białogłowa cnotliwą była, co umie gadać jeno<sup>136</sup> z praczką, służącą lub piekarką. Pragną, abyśmy uwierzyli, że takimi już je natura stworzyła, jednak natura przecie inny środek znaleźć by mogła, chcąc ich gadulstwo ograniczyć. We wszystkim trzeba znać miarę i w tym, jak w innych przypadkach, brać pod uwagę czas, miejsce oraz i to, z kim się mówi, inaczej bowiem, gdy zechcemy ostrym słówkiem kogoś w pomieszenie wprawić, łatwo zdarzyć się może, że przeliczywszy się z swymi siłami, sami pokraśniejemy od wstydu.

Abyście przeto ostrożności się nauczyły i aby na was nie sprawdziło się przysłowie, że kobiecie we wszystkim zawsze gorszy udział przypada, opowiem wam ostatnią na ten wieczór nowelę, jako że na mnie teraz kolej przychodzi. Niechże opowieść ta sprawi, – abyście nie tylko szlachetnością duszy od innych się odróżniały, ale i polerownością obyczajów.

„Przed niedawnymi czasy żył w Bolonii znakomity lekarz, którego imię sława prawie po całym świecie rozniosła. (Może być, że żyje on jeszcze po dziś dzień). Medyk ten zwał się mistrz Albert. Liczył sobie pod siedemdziesiąt lat życia i chocia

---

<sup>136</sup> jeno (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

już utracił przyrodzony żar ciała, przecie duch w nim był tak krzepki, że na miłosne płomienie nieczuły nie pozostawał. Ujrzawszy pewnego razu na uczcie urodziwą wdowę, która jak powiadają, zwała się Margarytą de'Ghisolieri, zapłonął do niej strzelistym afektem niby młodzieniaszek jaki. Zdało mu się, że nie uśnie nocą, jeśli w dzień nie obaczy świeżego i cudownego jej lica. Jął więc krążyć koło jej domu czasem pieszo, to znów konno, jak przypadło, tak iż po niejakiem czasie wdowa jako też i inne białogłowy odgadły powód tych przechadzek i nieraz bawiły się widokiem sędziwego człeka, wiekiem i rozumem górującego nad innymi, którym miłość owładła. Wierę<sup>137</sup>, mniemały zapewne, że namiętność miłosna tylko w piersiach głupich młodzieniaszków przemieszkować może.

Pewnego dnia świątecznego, gdy mistrz Albert koło domu się przechadzał, zdarzyło się, że wdowa w otoczeniu innych białogłów siedziała przed wrotami domu. Ujrzawszy z dala Alberta, postanowiły przyjąć go z oznakami wielkiej czci, a później jego afekt wyszydzić. Tak też i uczyniły. Poszły mu na spotkanie i zaprosiły go do cienistego chłodnika, gdzie znakomitymi winami i słodyczami ugoszczony został. Później wielce grzecznymi i subtelnymi słowy wypytywać go jęły<sup>138</sup>, jak mógł się zakochać w białogłowie, której tylu układnych i urodziwych młodzieńców hołduje? Doktor widząc,

---

<sup>137</sup> *wierę* (daw.) – doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

<sup>138</sup> *jąc* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

jak ogłędnie go ukłuto, roześmiał się wesoło i odparł:

– Nikt rozważny temu się dziwować nie może, madonno, że miłuję, a zwłaszcza was, bowiem w pełni na tę miłość zasługujecie. My, ludzie sędziwi, nie mamy oczywista tych sił, których trza do igr miłosnych, jednakoż nie brak nam dobrej woli ani rozumu, którym poznajemy, co jest miłości godne, a umiemy to czynić lepiej niż młodzieńcy, bo więcej od nich mamy rozeznania. Nadzieja, co pobudza mnie k'temu<sup>139</sup>, abym miłował was, uwielbianą od tych otroków<sup>140</sup>, na tym się zasada: często widywałem, jak białogłowy jadają łubin i pory, a chocia nie masz w tej roślinie nic dobrego i tylko w główce jest smak niejaki, przecie one, fałszywym apetytem znęcone, główkę w rękach trzymając, obgryzają liście, które nie tylko są nic warte, ale i posmak przykry zostawiają. Zaliż można wiedzieć, czy przy wyborze miłośników podobną modłą nie postąpiłyście? Jeśliby tak było, ja sam pozostałbym na placu, a inni zalotnicy byłiby precz przegnani.

Słowa te zawstydziły nieco układną damę i jej towarzyszki.

– Trafnie i dwornie ukaraliście, mistrzu, naszą pewnośc siebie i złośliwośc – rzekła. – Afekt, który dla mnie żywicie, jest mi drogi, jako afekt mądrego i czcigodnego człeka. Krom mojej cnoty, wszystko gotowam jest wam oddać, wedle upodobania waszego.

Mistrz Albert podniósł się z ławy, podziękował pięknej pani

---

<sup>139</sup> *k'temu* (daw.) – do tego. [przypis edytorski]

<sup>140</sup> *otrok* (daw.) – chłopiec. [przypis edytorski]

i śmiejąc się, pożegnał się z niewiastami. I tak owa dama, nie bacząc na to, z kogo dworuje, miast<sup>141</sup> zwyciężyć, sama zwyciężona została. Łacno się od takiej klęski ustrzeżecie, gdy roztropnymi będziecie”.

Już słońce chyliło się ku zachodowi i żar dzienny się zmniejszał, gdy skończyły się opowieści młodych dam i trzech młodzieńców. Królowa rzekła tedy<sup>142</sup> żartobliwie:

– Dzisiaj, gdy władzę piastuję, nic mi już innego uczynić nie pozostaje, jak przystąpić do wyboru nowej królowej, która według swej woli porządek na jutro ustanowi, tak aby życie nasze dalej gorliwej rozrywce podległe było. Do nocy wiele jeszcze czasu nam ostaje, ale kto w porę się nie przygotowi, tego przyszłość zaskoczy. Tedy, zgodnie z wolą nowej królowej, należy przygotować wszystko, co jutro potrzebne okazać się może. O tej też porze i dni następne zaczynać nam przyjdzie. Tak więc, w imię Tego, przez kogo wszystko na świecie dla naszej radości żyje, królewską władzę na dzień następny oddajemy rozumnej młódce, Filomenie.

To rzekłszy podniosła się z miejsca i laurową koronę z głowy zdjawszy oddała ją Filomenie, a potem pierwsza jej hołd złożyła. Za tym przykładem poszli wszyscy, pozdrawiając ją jako królową i jej władzy poddając się. Filomena widząc się ukoronowaną pokraśniała ze zmieszania, a wspomniawszy niedawne słowa Pampinei, która przed

---

<sup>141</sup> *miast* (daw.) – tu: zamiast. [przypis edytorski]

<sup>142</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

nieroztropnym poczynaniem przestrzegają, wszystkie jej rozrządzenia potwierdziła, a potem i ułożyła, co na jutrzejszy dzień i wieczrę uczynić należy, pozostając w dotychczasowym miejscu.

– Miłe towarzyski – rzecze następnie – aczkolwiek Pampinea, bardziej przyrodzoną sobie uprzejmością niż względem na moje przymioty powodowana, uczyniła mnie waszą królową, to w wyborze naszych rozrywek chcę iść nie tylko za moim mniemaniem, ale i z waszymi życzeniami się liczyć. Opowiem wam pokrótce, co według mnie przedsięwziąć by należało, abyście wszyscy mogli to i owo dopełnić i poprawić, zgodnie ze swym gustem a życzeniem. Dobrze zważyłam na rozrządzenia Pampinei; znalazłam je chwalebny i dobrze ku powszechnemu ukontentowaniu zmierzającymi, dlatego też zdawa mi się, że nic w nich zmieniać nie należy, dopóki niedostatków w nich się nie odkryje lub dopóki nudnymi nam się nie staną. Teraz zaś, gdyśmy już wszystko ustanowiły, wstańmy i zażyjmy przechadzki; o zachodzie słońca, ciesząc się chłodem, wieczrę spożyjemy, a potem kancony odśpiewawszy i zabawiwszy się udamy się na spoczynek. Wstaniemy rankiem przed jutrznią, każdy zażywając wczasów<sup>143</sup> będzie czynił, co zechce, później w oznaczonej porze, jako i dzisiaj, obiad zjemy, potańczymy i snem pokrzepieni, znów przystąpimy do opowiadań, które według mego zdania, wiele pożytku i uciechy nam sprawiają. Chciałabym tylko pewien porządek

---

<sup>143</sup> wczas (daw.) – odpoczynek, wypoczynek. [przypis edytorski]

do tych opowiadań wprowadzić, czego Pampinea uczynić nie zdołała, będąc późno królową obwołana. Mniemam, że dobrze by było, gdyby każda wiązanek opowieści jakimś wspólnym rodzajem objęta została, tak aby każdy miał czas przygotować piękną jakąś opowieść i obmyślić ją zgodnie z materią wprzód wybraną. Na początek tedy<sup>144</sup> taki grunt rzeczy podawam: jak wszystkim wiadome jest, od stworzenia świata ludzie wiecznemu niestatkowi fortuny podlegają, niechajże zatem każdy przygotuje opowieść o tych, co wbrew nadziei z przeciwnymi losami walcząc szczęśliwie cel osiągnęli.

Damy i młodzieńcy przyklasnęli temu ułożeniu. Gdy wszyscy umilkli, rzekł Dioneo:

– Zgadzam się, królowo, ze wszystkimi, że wasze ułożenie na pochwałę zasługuje, ale jako o łaskę osobną was proszę, abyście mi pozwolili, dopóki tu w kompanii jesteśmy, nie podlegać temu ogólnemu prawidłu i opowiadać to, co mi na myśl przyjdzie. Aby zasię<sup>145</sup> nikt nie pomyślał, że o łaskę tę proszę jako człek, któremu materii do nowel braknie, zgadzam się zawsze na końcu głoś zabierać.

Królowa wiedząc, że Dioneo jest zawołanym żartownisiem, domyśliła się snadnie, że idzie mu o tę wolność, aby w przypadku gdy towarzystwo już znużone będzie, rozweselić wszystkich nieoczekiwanie jakąś zabawną historią; dlatego też, naradziwszy się z innymi, na prośbę jego przystała.

---

<sup>144</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>145</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

Później wszyscy podnieśli się i skierowali kroki swoje ku przezroczej rzece, która wody swoje toczyła z pagórka w dolinę, gęsto zacienioną drzewami, płynąc pośród kamyków i traw zielonych. Tutaj buty zdjawszy i ramiona obnażywszy weszli do wody i igrali w niej wesoło. Gdy się godzina wieczery zbliżyła, wrócili do pałacu i pożywili się ze smakiem. Po wieczery przyniesiono instrumenty muzyczne. Królowa dała znak, aby rozpoczęto tańce, którym Laretta przewodzić miała. Emilia, pod dźwięk lutni Dionea, odśpiewała kanconę miłosną:

Tak jestem dumna z lic moich piękności,  
Że nigdy inne kochanie  
Mną nie owładnie ni w sercu zagości.  
Patrzę na siebie i w piękna odbiciu  
Znajduję wieczne źródło upojenia.  
Zdarzenia, myśli, sny o przyszłym życiu  
Nigdy mi mego nie zaćmią marzenia.  
Jakież to inne żądze czy pragnienia  
I jakież inne kochanie  
Mogłoby przybyć tu, do serca w gości?

Gdy kiedykolwiek je dla swej rozkoszy  
Przywołam – dąży już na me spotkanie,  
Cierpienie z serca, smutek z myśli płoszy.  
A tak jest piękne, że nie znajdzie na nie  
Stosownych pochwał ten, komu kochanie  
Z podobną siłą w duszy się zagości.

Gdy wzrok oderwę od swojej postaci,  
Tęsknota serce w piersiach rozplómienia  
I krew gorącej w żyłach mi szkarłaci.  
Snów najtajniejszych oglądam wcielenia,  
Bo czar piękności wszystko w krąg przemienia  
W szczęście i zachwyt, co przychodzi w gości  
Do ludzi własną miłujących krasę.

Pieśń dobiegła do kresu. Wszyscy wesoło jej wtórowali, aczkolwiek słowa niektórym dziwne wielce się wydały. Później płasali jeszcze z ochotą, ponieważ jednak większa część krótkiej nocy już upłynęła, królowa oznajmiła, że pierwszy dzień się skończył. Zapalono pochodnie i towarzystwo, jak przykazała, na spoczynek do komnat swoich się udało.

Kończy się pierwszy dzień Dekameronu i zaczyna drugi, w którym, pod przewodem Filomeny, mówi się o tych, co przeciwnym losom podlegając, przecie, wbrew nadziei, do pomyślnego skutku sprawy swoje przywiedli.

## Dzień drugi

Słońce promieniami swymi już nowy dzień ozłociło, a ptaszki na zielonych gałęziach miłe nucąc pienia świadectwo temu dawali, gdy młodzieńcy i damy, podniósłszy się z posłania, do ogrodu się udali. Cicho po rośnej stąpając trawie, tam i sam krążyli i piękne wieńce splatali, a później rozprószyli się w różne strony – uczynili to, co i poprzedniego dnia: posilili się w chłodzie, potańczyli nieco i wczasowi<sup>146</sup> się oddali.

O dziewiątej wstali i spełniając wolę królowej zebrali się na zielonej łączce, i wokół Filomeny zasiedli. Wielce urodziwa królowa, miły pozór<sup>147</sup> oblicza mająca, wawrzynowym wieńcem ozdobiona była. Siedząc, w milczeniu pilnie na wszystkich patrzyła, aż wreszcie poleciła Neifile, aby pierwsza opowiadać zaczęła.

Neifile, nie szukając wymówek, zaraz wesołym głosem mówić poczęła:

---

<sup>146</sup> *wczas* (daw.) – wypoczynek. [przypis edytorski]

<sup>147</sup> *pozór* (daw.) – tu: wygląd. [przypis edytorski]

# Opowieść pierwsza. Martellino-kaleka

*Martellino, rzekomy kaleka, udaje, że ozdrowiał, zbliżywszy się do szczątków świętego. Gdy oszustwo na jaw wychodzi, biją go i powiesić pragną; aliści<sup>148</sup> udaje mu się wyjść cało z opresji.*

– Często się zdarza, miłe damy, że ten, kto chce dworować lub szydzić z innych, a zwłaszcza z rzeczy na cześć zasługujących, sam wyszydzonego się widzi i wielką szkodę ponosi. Będąc posłuszna życzeniu królowej, zaczynam opowieść zgodnie z materia przed obroną. Z opowieści tej obaczycie, jakiemu to niefortunnemu przypadkowi podległ jeden z naszych rodaków, który wbrew swym nadziejom i oczekiwaniom ujrzał, jak jego sprawy następnie pomyślny obrót wzięły.

„Przed niedawnym czasem żył w Treviso<sup>149</sup> pewien Niemiec, zwany Henrykiem<sup>150</sup>. Wielką biedę cierpiąc, stał się nosicielem ciężarów i służył każdemu, kto mu płacił. Wszyscy jednakże w wielkim go mieli zachowaniu<sup>151</sup>, wiedząc, że jest człekiem

---

<sup>148</sup> *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>149</sup> *Treviso* – lokowane w XI wieku miasto położone na Nizinie Weneckiej. Przez długi czas było pod panowaniem weneckim. [przypis edytorski]

<sup>150</sup> *Henryk z Bolzano* (1250–1315) – zw. też Henrykiem z Treviso; drobny rzemieślnik, żył w skrajnym ubóstwie i bogobojności; został pochowany w katedrze w Treviso, gdzie rozwinął się jego kult. [przypis edytorski]

<sup>151</sup> *mieć w zachowaniu kogoś* (daw.) – szanować kogoś. [przypis edytorski]

świętobliwego żywota i zacnych obyczajów. Trevisanie twierdzili nawet (nie wiedzieć, czy to prawda, czy nie), że w godzinie jego śmierci dzwony największego w Treviso kościoła same dzwonić jęły<sup>152</sup>. Zdarzenie to za cud uznane zostało i odtąd Henryk już za świętego uchodził. Z całego miasta lud zbiegł się do domu, w którym ciało jego spoczywało, i odprowadził je do katedry, niby szczątki doczesne świętego. Do kościoła sprowadzono ślepych, chromych i garbatych, którzy ozdrowieć mieli, dotknąwszy się zwłok świętego.

Gdy taki tumult i zamieszanie panowało, przybyli do Treviso trzech nasi rodacy. Jeden z nich nazywał się Stecchi, drugi Martellino, a trzeci Marchese. Byli to franci wędrujący po wielkopańskich dworach, gdzie zabawiali widzów przedrzeźnianiem najrozmaitszych ludzi. Nigdy dotychczas nie byli w Treviso; zdziwili się przeto, ujrawszy takie zbiegowisko. Gdy się dowiedzieli o przyczynie, zapragnęli swoją ciekawość zaspokoić. Ostawili swoje toboły podrózne w gospodzie. Marchese rzekł do towarzyszy:

– Pójdziemy zobaczyć tego świętego, tylko, dalibóg, nie wiem, jak się do niego dostaniemy, gdyż słyszałem, że plac przed kościołem jest pełen Niemców i band zbrojnych, które pan tej ziemi zawsze w gotowości trzyma, aby nieporządkom zapobiegały. Zresztą, jak powiadają, kościół jest tak natłoczony, że ani jedna osoba więcej już się tam nie pomieści.

Aliści Martellino, który gwałtem pragnął ujrzeć święte

---

<sup>152</sup> *jać* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

szczałki rzekł:

– Już ja znajdę sposób, aby się przez ciżbę przedostać.

– Jakiż to sposób? – zapytał Marchese.

– Udam kalekę, ty zaś<sup>153</sup> z jednej strony, a Stecchi z drugiej będziecie mnie podtrzymywali tak, jakbym iść nie mógł i jakbyście mnie wiedli do szczałków świętego po to, abym zdrowie odzyskał. Wówczas wszyscy wolne przejście nam dadzą.

Obu towarzyszom Martellina wielce się podobała jego chytra sztuczka. Nie mieszkając<sup>154</sup> zatem, wyszli z gospody, a gdy w ustronne miejsce przybyli, Martellino powyginał sobie rękę, ramiona i nogi i tak gębę wykrzywił, a oczy przewrócił, że jego pozór stał się szpetny wielce. Każdy na pierwszym pojrzeniu musiałby go wziąć za człeka, którego na całym ciełe połamało. Marchese i Stecchi schwycili go pod ramiona i powlekli do kościoła. Udając wielce miłosiernych, błagali pokornie każdego stojącego na drodze, aby w imię miłości Boga przepuścił ich swobodnie. Ściągnęli na siebie uwagę przytomnych<sup>155</sup>, którzy wołać poczęli: »Miejsca, miejsca dla chorego!«. Wkrótce też dotarli do ciała Henryka. Ci, co blisko trumny stali, wzięli Martellina na rękę i położyli go na trupa, tak aby łaski cudu mógł dostąpić. Martellino, wiedząc, że wszyscy z zapartym tchem czekają na to, co się stać ma, poleżał przez chwilę spokojnie, a później, jako mistrz udawania, wyprostował jeden palec, rękę,

---

<sup>153</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>154</sup> *nie mieszkając* (daw.) – nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

<sup>155</sup> *przytomny* (daw.) – obecny (przy czymś). [przypis edytorski]

ramię i wreszcie całe ciało. Lud, widząc to, jął wznosić tak gromkie okrzyki na chwałę świętego Henryka, że przy nich trudno by było grzmoty nawet usłyszeć.

Tymczasem nieszczęsny traf zdarzył, że blisko trupa świętego znajdował się pewien Florentczyk, który dobrze znał Martellina. Nie poznał go był tak pokręconego, gdy go wlekli do grobu Henryka, teraz jednak, widząc go wyprostowanego, parsknął śmiechem i zawołał:

– A niech mu kat świeci! Któż z nas, widząc, jak go wloką, nie uwierzyłby, że istotnie jest kaleką?

Kilku Trevisańczyków, usłyszawszy te słowa, rzekło:

– Więc ten człek nie był połamany?

– Broń Boże! – odparł Florentczyk – zawsze był prosty, jak każdy z nas, jak to widzieć mogliście, umie tylko różne chytre sztuczki na schwał czynić i przybierać na się, jaki chce, pozór.

Ledwie słowa te wyrzekł, gdy tamci co sił runęli naprzód, wołając gromkim głosem:

– Chwytajcie tego zdrajcę, co drwi z Boga i świętych! Udaje kalekę, chcąc w pośmiewisko nas i naszego świętego podawać!

Tak krzycząc, rzucili się na niego, ściągnęli w dół, schwycili go za włosy, porwali w strzepy jego suknię i jęli go tego kopać i grzmocić pięściami; ten, co by go kułakiem nie poczęstował, nie uważałby się za męża.

Martellino wrzeszczał ze wszystkich sił, prosząc o zmiłowanie, i bronił się, jak mógł, ale wszystko to na nic się zdawało, gdyż razy coraz gęściej się na niego sypały. Stecchi

i Marchese, widząc to, pojęli, że sprawy nader zły obrót biorą, jednakże nie spieszyli mu na pomoc, o własną się obawiając skórę. Przeciwnie wcale, pospołu z innymi krzyczeli, że go zabić należy. Nie przestawali jednak głowić się nad tym, jak by go wydrzeć z rąk pospólstwa. Ani chybi, gdyby nie szczęśliwa myśl, która Marchesemu do głowy przyszła, nieborak życie by postradał. Cała straż miejska znajdowała się na mieście; Marchese podbiegł co tchu do zastępcy burmistrza i rzekł:

– Na miłosierdzie boskie, ów hultaj wyciągnął mi sakiewkę z setką złotych florenów, błagam was, każcie go przytrzymać, abym mógł pieniądze moje odzyskać.

Natychmiast dwunastu pachołków rzuciło się tam, gdzie nieboraka Martellina chesano bez grzebienia; z wielkim trudem precisnąwszy się przez ciżbę, wyrwali go, tego wymłóconego i podeptanego, z rąk pospólstwa i powiedli na ratusz, dokąd udało się za nimi wielu tych, co uważali, że Martellino z nich zakpił. Każdy, gdy usłyszał, że Martellina schwytano za to, iż sakiew ukradł, pomyślał, że jest to najlepsza sposobność do zalania mu sadła za skórę. Jeden przez drugiego jął<sup>156</sup> tedy<sup>157</sup> twierdzić, że Martellino jego mieszek zwędził.

Sędzia miejski, człek wielce surowy, wzięwszy go czym prędzej na stronę, do badania przystąpił. Aliści Martellino odpowiadał mu jeno<sup>158</sup> żarcikami, tak jakby niewiele sobie z tego

---

<sup>156</sup> *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>157</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>158</sup> *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

pochwycenia robił. Sędzia wpadł w gniew i kazał go wziąć na powróż i kilkakroć dobrze naciągnąć, aby zeznanie winy zeń wymusić, a potem posłać go na szubienicę. Gdy go już na ziemi postawili z powrotem, sędzia znów go zapytał, zali słusznie go obwiniają. Martellino, wiedząc, że zapieranie się nie zda się na nic, rzekł:

– Jestem gotów wyznać całą prawdę, Wasza Wielmożność, ale niechaj przedtem każdy, co mnie oskarża, powie, gdzie i kiedy mu sakiew ukradłem, później i ja opowiem wszystko, com uczynił i czego nie popełniłem.

Sędzia zgodził się na to ochotnie i kilku oskarżycieli przywołał. Jeden twierdził, że Martellino ukradł mu mieszek osiem dni temu, drugi, że przed sześciu dniami, trzeci, że od kradzieży cztery dni upłynęły; niektórzy zaś upewniali, że sakiew zginęła im dnia dzisiejszego.

Martellino, usłyszawszy to, rzekł:

– Ha, na mą duszę, wielmożny panie, wszyscy kłamią plugawie; łatwie<sup>159</sup> mi jest dowieść tego. Oby nigdy noga moja nie była postała w tym mieście, gdzie zaledwie od kilku godzin bawię. Na nieszczęście poszedłem zaraz do kościoła, aby obaczyć święte szczątki, i tam mnie oporzędzono na schwał, jako to sami widzicie. Prawdę słów moich może poświadczyć urzędnik grodzki, który zapisuje do księgi imiona tych, co do grodu przybywają, oraz mój gospodarz. Gdy się upewnicie, że jest tak, jak mówię, nie każecie mnie chyba męczyć i zabijać,

---

<sup>159</sup> *łatwie* – dziś popr. forma: *łatwo*. [przypis edytorski]

folgując tym hultajom.

Tymczasem Marchese i Stecchi, dowiedziawszy się, że sędzia podesty<sup>160</sup> okrutnie sobie z nim poczyna i już go na tortury bierze, drżąc o jego los, tak do siebie mówić jęli:

– Na ładnyśmy fortel wpadli, wyciągnęliśmy przyjaciela z patelni po to, aby go w ogień wrzucić!

Nie mieszkając pobiegli do gospodarza i opowiedzieli mu, jak się sprawa miała. Ów, pośmiawszy się należycie, powiódł ich do niejakiego Sandra Agolanti, który mieszkał w Treviso i wielkiego poważania u księcia zażywał. Opowiedziawszy mu wszystko szczegółowie<sup>161</sup>, prosili go, aby się nad nieborakiem Martellinem zmiłował. Agolanti, śmiejąc się z całego serca, udał się do księcia i tyle wskórał, że zaraz posłano po Martellina.

Wysłańcy znaleźli go stojącego w koszulinie przed sędzią i drżącego ze strachu. Sędzia był głuchy na wszystkie wywody; żywiąc zasię<sup>162</sup> przypadkiem jakiś wielki do Florentczyków rankor<sup>163</sup>, umyślił go powiesić i żadną modłą zgodzić się nie chciał na wydanie go księciu. W końcu jednak musiał ustąpić i oswobodzić Martellina.

Stanąwszy przed księciem, Martellino opowiedział mu swoje przypadki i jak o szczególną łaskę prosił, aby mu zezwolone

---

<sup>160</sup> *podesta* – w średniowiecznych włoskich miastach najwyższy urzędnik o uprawnieniach sądowniczych i wojskowych. [przypis edytorski]

<sup>161</sup> *szczegółowie* – dziś popr. forma: *szczegółowo*. [przypis edytorski]

<sup>162</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>163</sup> *rankor* (daw.) – żal, złość. [przypis edytorski]

zostało miasto opuścić, dopóki bowiem nie ujrzy się we Florencji, będzie czuł stryczek na gardle. Książę z przypadku tego uśmieł się serdecznie, a później obdarował wszystkich trzech pięknymi szatami i puścił ich swobodnie. Tak tedy<sup>164</sup>, wielkiego niebezpieczeństwa ponad spodziewanie uszedłszy, zdrowi i cali do domu powrócili”.

---

<sup>164</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

# Opowieść druga. Modlitwa do świętego Juliana

Rinaldo d'Esti, złupiony przez łotrzyków, przybywa do Castel Guiglielmo, gdzie go przyjmuje pewna wdowa. Wynagrodzony za swoje szkody, zdrów i cały do domu powraca.

Długo śmiały się damy z przypadków Martellina, o których Neifile opowiadała. Z młodych ludzi najbardziej weselił się Filostrato. Ponieważ siedział obok Neifile, więc królowa jemu dalej ciągnąć opowieść kazała. Nie mieszkając zaczął w te słowa:

– Pragnę wam, miłe damy, opowiedzieć historię, co się zarazem katolickiej wiary, nieszczęśliwych przypadków jak i miłości tyczy. Wysłuchanie jej będzie pożyteczną rzeczą, zwłaszcza dla tych, co po niebezpiecznych krainach Amora<sup>165</sup> wędrując, nie odmawiają modlitwy do świętego Juliana<sup>166</sup> i dlatego też nieraz złą znajdują gospodę, chociaż i dobre łoża im przypadnie.

---

<sup>165</sup> *Amor* (mit. rzym.) – bóg miłości i pożądania, przedstawiany jako chłopak z łukiem i strzałami. [przypis edytorski]

<sup>166</sup> *święty Julian* – zw. Gościnnym, patron miasta Macerata; opowieści mówią, że zabił on w gniewie własnych rodziców, którzy spali w jego łożu małżeńskim, ponieważ pomyślał, że jego żona go zdradza; w ramach pokuty swe życie poświęcił pielęgnacji pielgrzymów i trędowatych. [przypis edytorski]

„Działo się to jeszcze za życia markiza<sup>167</sup> Azzo z Ferrary; pewien kupiec, Rinaldo d'Esti zwany, bawił za swymi sprawami w Bolonii. W drodze powrotnej, gdy już z Ferrary wyjechał i ku Weronie się obrócił, napotkał jakichś ludzi, których za kupców wziął; byli to łotrzykowie i rozbójnicy. Rinaldo zawiązał z nimi rozmowę i nierozważnie przyłączył się do nich. Ci, uznawszy, że jest kupcem, wnieśli<sup>168</sup> z tego zaraz, że musi mieć pieniądze przy sobie, dlatego też postanowili napaść na niego, gdy tylko sposobność się zdarzy. Aby zaś żadnego podejrzenia co do nich żywić nie mógł, poczynali sobie jako ludzie skromni i zacni, rozprawiając z nim tylko o uczciwości i wierności danemu słowu, udając, że są wobec towarzysza pokorni i dobrotliwi, tak iż Rinaldo spotkanie z nimi za wielkie szczęście sobie poczytywał i był rad, że nie potrzebuje jechać jedynie w towarzystwie swego konnego sługi. Przechodząc z jednego przedmiotu na drugi, jako się to często w rozmowach zdarza, jęli wreszcie mówić o modlitwach, jakie ludzie do Boga zanoszą. Jeden z trzech hultajów zapytał Rinalda:

– Powiedzcie mi, panie, jaką modlitwę odmawiać zwykliście, bawiąc w drodze?

– Mówiąc po prawdzie – odparł Rinaldo – jestem w tych rzeczach człowiekiem nieuczonym i dobra doczesne lubiącym, dlatego też niewiele znam modlitw, żyję na dawną modłę

---

<sup>167</sup> *markiz* – tytuł arystokratyczny utożsamiany z tytułem margrabiego. [przypis edytorski]

<sup>168</sup> *wnieść* (daw.) – tu: wnioskować. [przypis edytorski]

i puszczam dwa soldy<sup>169</sup> za dwadzieścia cztery denary<sup>170</sup>. Wszakóż mam to w obyczaju, że rano, wychodząc z gospody, odmawiam *Pater noster*<sup>171</sup> i *Ave Maria*<sup>172</sup> za spokój dusz rodziców świętego Juliana. Później modłę się do Boga i do tego świętego, abym następnej nocy dobry schron mógł znaleźć. Nieraz już w życiu, w czasie podróży, wielkie niebezpieczeństwa mi zagrażały, przecieżem zawsze szczęśliwie ich unikał najdując zącą gościnę i nocleg bezpieczny. Mocno w to wierzę, że święty Julian, do którego z modlitwą się obracam, łaskę tę dla mnie u Boga wyprosił. Gdybym jej rano odmówić przepomniał<sup>173</sup>, uwierzyć bym nie zdołał, by dzień mógł upłynąć dla mnie szczęśliwie, a noc wytchnienie mi przynieść.

– Zaliście dzisiaj ją odmówili<sup>174</sup>? – zapytał łotrzyk.

– Oczywiście! – odparł Rinaldo.

Tamten wiedząc już, jakie jest ich ułożenie, rzekł do siebie: »Niechaj ci ta modlitwa będzie ku pomocy. Jeżeli jednak dzisiejszej nocy nic nam nie stanie na wstręcie<sup>175</sup>, zaiste nie najlepiej noclegować będziesz«. Później rzekł głośno:

---

<sup>169</sup> *sold* – dawna moneta włoska warta 12 denarów. [przypis edytorski]

<sup>170</sup> *puszczam dwa soldy za dwadzieścia cztery denary* – przen.: nie mam dużych wymagań. [przypis edytorski]

<sup>171</sup> *Pater noster* (łac.) – *Ojczy nasz*. [przypis edytorski]

<sup>172</sup> *Ave Maria* (łac.) – *Zdrowaś Mario*. [przypis edytorski]

<sup>173</sup> *przepomnieć* (daw.) – *zapomnieć*. [przypis edytorski]

<sup>174</sup> *zaliście (...) odmówili* – czy odmówiliście (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

<sup>175</sup> *stanąć na wstręcie* – *przeszkodzić*. [przypis edytorski]

– Ja także wiele po świecie jeździłem, jednakże chociaż wielu mi modlitwę tę zachwalało, przecieżem jej nie odmawiał. Mimo to nie zdarzyło mi się, abym zły schron znalazł. Dzisiejszego wieczora obaczmy, kto z nas lepszą gościnę znajdzie, czy wy, coście tę modlitwę odmówili, czy też ja, com jej nie odmawiał. Po prawdzie, to zamiast niej mam zwyczaj recytować *Dirupisti*<sup>176</sup>, *Intemerata*<sup>177</sup> i *De profundis*<sup>178</sup>, które jak moja babka powiadała, wielką skuteczność mają.

Taką rozmową się bawiąc, kęs drogi przebyli; łotrzykowie czekali tylko sposobnej pory, aby swój szkaradny zamysł skutecznić. Późną godziną podjechali do Castel Guiglielmo<sup>179</sup>, aby się przez rzekę w bród przeprawić. Trzej hultaje widząc, że znajdują się na pustkowiu, rzucili się na Rinalda, ograbili go całkiem i pozostawili go w jednej koszuli. Odjeżdżając zaś, rzekli doń:

– Idź i obacz, czy twój święty Julian ześle ci dzisiaj zacząć gościnę, taką, jaką my od naszego świętego otrzymamy. – Rzekłszy to przeprawili się przez rzekę i wkrótce z oczu mu zniknęli.

Strachliwy sługa Rinalda widząc, że rozbójnicy napadają na jego pana, nie pośpieszył mu z pomocą, lecz zawróciwszy konia,

---

<sup>176</sup> *Dirupisti* (łac.) – dosł. rozerwałeś; incipit Psalmu 116. [przypis edytorski]

<sup>177</sup> *Intemerata* (łac.) – dosł.: niepokalana; tytuł maryjnej pieśni średniowiecznej. [przypis edytorski]

<sup>178</sup> *De profundis* (łac.) – dosł.: z głębokości; incipit Psalmu 130. [przypis edytorski]

<sup>179</sup> *Castel Guiglielmo* – dziś: Castलगuglielmo; miejscowość oddalona 80 km od Wenecji i 20 km od Rovigo. [przypis edytorski]

puścił go na wysokok i zatrzymał się dopiero w Castel Guiglielmo. Nie kłopotząc się o nic, legł tam na spoczynek, bowiem noc już późna była.

Rinaldo ostał się w jednej tylko koszuli na ciele, a do tego bosi; tymczasem zimno było srogie i śnieg padał gęsty.

Nieborak widząc, że noc zapada, nie wiedział, co mu począć należy. Drżał całym ciałem, szcząkał zębami i rozglądał się wokół, szukając jakiegoś schronu na noc, aby nie umrzeć z zimna. Jednakże nic znaleźć nie mógł, bowiem niedawna wojna cały kraj spustoszyła. Nękany zimnem, powlókł się w stronę Castel Guiglielmo, chociaż nie wiedział, zali jego sługa tam właśnie uciekł. Miał nadzieję, że jeśli tylko zdoła dostać się do zamku, Bóg mu jakąś pomoc ześle. Aliści o milę drogi od zamku noc gęsta go zaskoczyła; stanął na miejscu tak późno, że bramy były już zamknięte, a mosty zwiedzione. Pełen rozpacz, jęcząc i płacząc, jał<sup>180</sup> się rozglądać, aby gdzieś przynajmniej przed śniegiem się ukryć. Nagle obaczył mały domek wychylający się nieco poza mur zamkowy. Umyślił schronić się pod tym występem i tam świtu się doczekać. Udał się tam zatem i natknął się na zamknięte drzwi. Rinaldo zgarnął trochę słomy w pobliżu i legł pod progiem, skarżąc się żałośnie i szemrząc na świętego Juliana, który tak zawiódł jego zaufanie. Aliści święty Julian zatroskał się o Rinalda i wkrótce dał mu znaczne schronienie.

W domku na wałach mieszkała młoda wdowa, mająca tak piękne ciało jak żadna inna białogłowa. Markiz Azzo miłował ją

---

<sup>180</sup> jać (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

nad życie i trzymał ją tutaj, aby mieć sposobność chuciom swym dogadzać. Zdarzyło się, że markiz przybył tam poprzedniego dnia i obiecał, że tę noc razem z nią spędzi. Wdowa kazała w tajemnicy przygotować kąpiel i wystawną wieczerzę. Gdy już wszystko przysposobione było, a dama tylko na kochanka czekała, do markiza przybył goniec z takimi wieściami, że markiz zaraz w drogę wyruszył, do wdowy zaś pchnął umyślnego, aby jej doniósł, że dziś przybyć nie może.

Wdowie nie bardzo to w smak poszło<sup>181</sup>; rada nierada, postanowiła sama zażyć kąpeli, później zjeść wieczerzę i na spoczynek się udać. Kąpała się obok drzwi, za którymi leżał na ziemi nieborak Rinaldo. Siedząc w wodzie, wdowa usłyszała nagle, jak ktoś jęczy i zębami klekota, niby bocian dziobem. Przywołaawszy tedy<sup>182</sup> służkę, rzekła do niej:

– Idź i obacz poprzez mur, kto tam leży u progu za drzwiami i czego tutaj chce.

Służka poszła, a że noc była jasna, obaczyła w półmroku Rinalda, który bosy, w jednej koszuli na ciele, drżał z zimna. Zapytała go, kim by był?

Rinaldo tak się trząsł okrutnie, że ledwie mógł kilka słów wymówić; opowiedział jej pokrótce, kim jest i w jaki sposób się tu dostał, później zaś<sup>183</sup> ją prosić żałośnie, aby mu tu z zimna umrzeć nie dozwoliła. Służka, litością zmiękczone, powróciła do

---

<sup>181</sup> *pójść w smak* (daw.) – spodobać się. [przypis edytorski]

<sup>182</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>183</sup> *zaś* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

swej pani i opowiedziała jej wszystko.

Dama, równie litością tknięta, przypomniała sobie, że ma klucz od tych drzwi, przez które markiz, nie chcąc, aby go widziano, niekiedy do domu wchodził, i rzekła:

– Idź i otwórz mu cichaczem; wieczerza jest przygotowana, tylko jeść jej nie ma komu, miejsca na nocleg także wystarczy.

Służka, wychwalając ludzkość swej pani, drzwi odparła i wpuściła Rinalda do środka. Wdowa, widząc go zmarzniętego na kość, kazała mu wejść do ciepłej jeszcze kąpieli. Ów, nie czekając, aż zaproszenie powtórzą, wszedł ochotnie do wody; gdy go ciepło przeniknęło, poczuł, że ze śmierci do życia powraca. Wdowa kazała dlań przysposobić szaty swojego męża, który zmarł był przed niedawnym czasem. A gdy je przywdziały wydawały się jakby na niego skrojone. Czekając, co mu rozkaże, począł dziękczynienia czynić Bogu i świętemu Julianowi, którzy ponad spodziewanie od tak złej nocy go uchronili i do dobrej gospody, jako się zdało, przywiedli. Wdowa, zażywszy wczasu po kąpieli, kazała rozpaścić wielki ogień w komnacie, a później spytała służki, co jej nieborak porabia.

– Gdy się w szaty przybrał – odparła służka – okazał się wielce urodziwym mężem. Wygląda przy tym na człeka obyczajnego i zanego stanu.

– Przywołaj go tu zatem – rzekła dama – i powiedz mu, że ogrzeje się przy ogniu i zje wieczerzę, wiem bowiem, że jeszcze z pewnością nie wieczerzał.

Rinaldo wszedł do sali, a obaczywszy białogłową, która

prawdziwą damą mu się wydała, pozdrowił ją dwornie i za okazane mu dobrodziejstwo podziękował, jak mógł najlepiej. Dama, upewniwszy się, że jej służka prawdę powiedziała, przyjęła go serdecznie i posadziła go koło ognia, obok siebie, prosząc, aby opowiedział jej o nieszczęściu, co go tu przywiodło. Rinaldo opowiedział wszystko szczegółowie<sup>184</sup>. Ponieważ wdowę doszły już o nim słuchy, gdy służący jego do zamku przybył, tedy uwierzyła bez trudu w jego słowa i oznajmiła mu, co wie o słudze, którego jutro łatwo będzie mógł odszukać. Gdy już stół zastawiono, Rinaldo na wezwanie wdowy ręce umył pospołu z nią i wieczerzać począł. Rinaldo był człkiem słusznego wzrostu, o wielce dwornym obejściu i o urodziwym obliczu, a przy tym młodzieńcem w kwiecie lat. Wdowa nie spuszczała zeń zachwyconych oczu, a że gdy na markiza czekała, chucie w niej rozgorzały, już widziała się z Rinaldem sparzoną. Po wieczerzy, wstawszy od stołu, jęła się naradzać ze służką, zali wolno jej skorzystać z dobra, przez fortunę zesłanego, skoro markiz zawód jej sprawił. Służka wiedząc, jakie jest życzenie jej pani, podwoziła ją jęła k'temu<sup>185</sup>, aby chętkom swym pofolgowała. Wdowa wróciwszy do kominka, przy którym siedział Rinaldo, spojrzała nań miłośnie i rzekła:

– Czemuście tak zamyśleni, Rinaldo? Zali mniemacie, że strata rumaka i szat jest niepowetowana? Pocieszcie się i rozweselcie, bowiem znajdujecie się u siebie w domu. Gdy

---

<sup>184</sup> *szczegółowie* – dziś popr. forma: *szczegółowo*. [przypis edytorski]

<sup>185</sup> *k'temu* (daw.) – do tego. [przypis edytorski]

patrzę na was, ubranego w strój mojego nieboszczyka męża, wydaje mi się, że to on we własnej osobie. Sto razy już mi przychodziła chętka pocałować was i uściskać. Gdyby nie obawa, że wam to nie będzie miłe, dawno bym to już uczyniła.

Rinaldo, usłyszawszy te słowa i widząc ogień w jej oczach, stanął przed nią, rozwarł ramiona i rzekł jak człek, którego nie w ciemność bito:

– Wszakże wam życie dłużny jestem; zawsze to powiem, wspomniawszy, od czegoście mnie wybawili. Szkaradną nikczemnością z mojej strony by było, gdybym nie starał się wszystkich waszych życzeń spełnić. Obejmijcie mnie zatem i całujcie mnie, ile tylko zapagniecie, ja jeszcze z większą chęcią wam odpowiem.

Więcej mówić nie było trza. Wdowa, miłosnymi płomieniami gorejąca, rzuciła mu się w ramiona i ciasno go obłapiwszy obsypała go gradem pocałunków, które Rinaldo z lichwą<sup>186</sup> jej oddał.

Później podnieśli się, udali się do jej komnaty i nie mieszkając położyli się do łóża. Nim dzień nastał, wiele razy do woli pragnienia swoje nasycili. Gdy jutrznia na niebie zajaśniała, Rinaldo, zgodnie z życzeniem wdowy, podniósł się z łóżnicy. Aby nikt nic podejrzewać nie mógł, dała mu mocno wyszarżane suknie i napełnioną złotem sakiew, prosząc, by ścisłą tajność zachował. Później wskazawszy mu, którądy ma wejść do grodu i gdzie swego sługi szukać, wypuściła go tymi samymi drzwiami,

---

<sup>186</sup> z *lichwą* – z procentem, z naddatkiem. [przypis edytorski]

którymi wszedł do niej.

Dzień się tymczasem zrobił zupełny. Rinaldo, udając, że przybywa z dala, wszedł do zamku, gdy tylko bramy otworzono, i swego sługę odszukał. Ubrawszy się w swoje szaty, które sługa miał w tłumoku, chciał już rumaka pachółka swego dosiadać, gdy wtem zdarzyło się jakby przez cud boski, że trzech hultaje, co go wczoraj ograbili, zostali na nowej swej niecnocie schwytani i do zamku pod strażą przywiezieni. Złodzieje przyznali się do wszystkiego. Rinaldo otrzymał z powrotem rumaka, odzież i pieniądze, nie odzyskał jeno<sup>187</sup> pary swych podwiązek, które lotrzyki gdzieś ztratili.

Rinaldo, stokrotne dzięki Bogu i świętemu Julianowi złożywszy, odjechał do domu zdrów i cały, zasię<sup>188</sup> trzech hultaje następnego dnia jęli się huścić na wietrze”.

---

<sup>187</sup> *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

<sup>188</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

## Opowieść trzecia. Dziwne małżeństwo

Trzej bracia trwonią swoje majątki, popadając w ubóstwo. Jeden z ich siostrzeńców, wracając zrujnowany do kraju, zaznajamia się z pewnym opatem, który okazuje się córką króla angielskiego. Młódka wychodzi za niego za mąż i wynagradza straty jego wujom, przywracając im dawną pomyślność.

Z podziwieniem wysłuchano opowieści o przypadkach Rinalda d'Esti; wszyscy wychwalali jego pobożność i dziękowali Bogu oraz świętemu Julianowi, który wyrwał go z tej srogiej opresji. Powszechnie się też na to zgodzono (choć cichaczem), że wdowa niegłupio postąpiła, nie gardząc dobrem, które jej niebo zesłało. Gdy rozprawiano, żartując o przyjemnej nocy, jaką spędziła, Pampinea, obok Filostrata siedząca, pojęła, że na nią teraz kolej przychodzi, zatem władze umysłu zebrawszy, obmyśliła historię, którą opowiedzieć miała. Zgodnie z rozkazem królowej, śmiało i wesoło jeła<sup>189</sup> mówić w te słowa:

– Im więcej się o zrzędzeniach fortuny mówi, tym więcej do rozpowiedzenia pozostawa temu, co w pamięci swej dobrze poszpera. Nikt temu nie winien się dziwować, zważywszy, że wszystkie rzeczy, które przez głupotę swoją własnością zowiemy, w rękach losu się znajdują i zgodnie z jego tajnym rozrządzeniem bezustannie od jednego człeka do drugiego kolejno przechodzą.

---

<sup>189</sup> *jać* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

Wszystko się zmienia z wyroku fortuny, jeno<sup>190</sup> my porządku tych przemian określić nie możemy. Chocia ta losu niestałość każdego dnia nam się na jasnie podaje i chociaż o niej już w poprzednich opowieściach rzecz szła, przecie zgodnie z wolą królowej, która pragnie, aby o tym właśnie przedmiocie mówić, do tamtych nowel i moją nowelę dołączam, może być, iż nie bez pożytku dla słuchaczy. Mniemam, że im ona do smaku przypadnie.

„Żył ongiś w naszym mieście pewien szlachcic, imieniem Tedaldo. Według jednych, wywodził się z rodu Lamberti, według drugich z rodu Agolanti. Ci ostatni, twierdząc tak, opierają się może na zajęciu bankierskim jego synów, któremu wszyscy Agolanti oddawali się i oddają. Aliści nie szerząc się<sup>191</sup> zbytnio nad tym, do którego z dwóch tych rodów należał, powiem jeno, że był jednym z najbogatszych w swoim czasie szlachciców i że miał trzech synów. Pierwszy z nich zwał się Lamberto, drugi Tedaldo, a trzeci Agolante. Byli to urodziwi i kształtowni młodzieńcy. Zaledwie najstarszy do osiemnastego roku życia doszedł, gdy ojciec umarł, ostawiwszy im w dziedzictwie wszystkie swoje dobra ruchome i nieruchome. Młodzieńcy, ocknąwszy się pośród takich posiadłości i bogactw, a krom<sup>192</sup> chęci własnej rozkoszy innego preceptora nie mając, zaczęli majątności bez opamiętania marnotrawić.

---

<sup>190</sup> *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

<sup>191</sup> *szerzyć się nad czymś* – tu: rozwodzić się nad czymś. [przypis edytorski]

<sup>192</sup> *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

Trzymali mnóstwo sług, mieli piękne rumaki, psy i sokoły, wyprawiali nieustanne uczyty i turnieje, czyniąc nie tylko to, co szlachcicowi przystoi, ale i folgując wszystkim swoim młodzieńczym zachceniom. Niedługo tą modłą żyli, gdyż skarb pozostawiony im przez rodzica stopniał szybko.

Ponieważ na wydatki dochodów im nie starczało, jęli więc sprzedawać i w zastaw majątności oddawać. I tak jednej po drugiej się pozbywając, spostrzegli wreszcie, że im prawie nic nie pozostało. Bieda otwarła im oczy, które bogactwo oślepiło. Wówczas najstarszy, Lamberto, przywołał pewnego dnia swoich dwóch braci i wspomniawszy, w jakim to poważaniu żył ich rodzic, ukazał im, w jak nędznym się teraz znajdują stanie, do którego przywiodła ich szaleńcza rozrzutność. Później ją<sup>193</sup> ich z wszystkich sił nakłaniać, aby, nim nędza ich całkiem nie przydusi, sprzedali pospołu z nim tę resztę niewielką, co im jeszcze pozostawa, i w świat wyruszyli. Tak też uczynili.

Nie żegnając się z nikim, cichaczem opuścili Florencję i nigdzie po drodze nie zatrzymując się odpłynęli do Anglii. Przybywszy do Londynu, wynajęli niewielki domek i jęli żyć wielce skromnie, wszystkie pieniądze na lichwę obracając. Fortuna tak im sprzyjała, że przez kilka lat wielką moc grosza zebrali. Wróciwszy jeden po drugim do Florencji, nie tylko znaczną część swoich majątności odkupili, ale nabyli także i mnogie nowe dobra. Później w stadła małżeńskie wstąpili.

A jako że w Anglii nadal na lichwę pożyczali, wyprawili

---

<sup>193</sup> *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

tam młodego swego siostrzeńca, Aleksandra, który miał mieć nadzór nad ich pieniędzmi. Sami zaś, żyjąc we Florencji, zapomnieli, do czego ich rozrzutność już raz przywiodła, i jęli znów pieniądze marnotrawić, bez myśli o tym, że przecież każdy z nich ma rodzinę. U kupców we Florencji takie mieli zaufanie, że mogli pożyczyć największą nawet sumę. W ciągu lat kilku żyli w podobny sposób dzięki pieniądзом, które im Aleksander przysyłał. Ów pożyczał bowiem baronom pod zastaw ich zamków i innych posiadłości, wielkie z tego ciągnąc korzyści. Gdy trzech bracia rozrutne życie prowadzili i skoro zabrakło im grosza, brnęli w długi, niezachwianą nadzieję w Anglii pokładając. Tam, wbrew wszelkim oczekiwaniom, rozgorzała wojna między królem a jego synem<sup>194</sup>. Cała ludność rozdzieliła się na dwa wrogie obozy. Wskutek wojny Aleksander utracił zamki baronów i znikąd już dochodów czerpać nie mógł. Mając nadzieję, że lada dzień między ojcem a synem do zgody przyjdzie, Aleksander nie opuszczał Anglii, jeno czekał, aż mu dobra jego z nawiązką zwrócone zostaną. Trzej bracia, żyjący we Florencji, nie ograniczali wcale swoich wydatków, ale przeciwnie, w coraz większe długi brnęli.

Aliści, jako że w ciągu lat kilku nic nie potwierdzało pokładanej w nich nadziei, trzech bracia nie tylko zaufanie u ludzi utracili, ale zostali wtrąceni do więzienia na żądanie tych, którym

---

<sup>194</sup> rozgorzała wojna między królem a jego synem – nawiązanie do sporu między Henrykiem II Andegaweńskim (Plantagenetem) a jego synem, zw. Henrykiem Młodym Królem popieranym przez królów Francji, rozpoczęty w 1173 r. i ostatecznie zakończony zwycięstwem Henryka II. [przypis edytorski]

dłużni byli. Ponieważ na pokrycie długów nie starczyły ich majątkości, tedy<sup>195</sup> zostali pod kluczem. Żony ich i maleńkie dzieciątka jeły się tułać to tu, to tam, także po okolicznych wsiach, ubrane w nędzną odzież i żadnej nadziei na przyszłość nie mające.

Aleksander jeszcze przez kilka lat na pokój czekał; widząc jednak, że wojna trwa ciągle i że jego pobyt w Anglii nie tylko jest bezużyteczny, ale i niebezpieczny dla niego, umyślił do Włoch powrócić. Wyruszył w drogę sam jeden. Wyjeżdżając z Brugge<sup>196</sup>, obaczył, że jakiś opat w białym habicie także miasto opuszcza. Towarzyszyło mu wielu mnichów i siła<sup>197</sup> służby z mnogim sprzętem podróżnym na przedzie. Orszak zamykali dwaj znakomici rycerze z królewskiego domu. Aleksander, który ich znał, wstąpił z nimi w rozmowę i do ich kompanii ochotnie dopuszczony został. Po drodze uprzejmie zapytał ich, co to są za mnisi, jadący przodem z tak wielkim pocztem sług, i dokąd zmierzają?

Na to odparł jeden z rycerzy:

– Młodzieniec, jadący na czele orszaku, jest naszym krewniakiem, który teraz właśnie otrzymał jedno z najbogatszych opactw w Anglii. Ponieważ jednak zbyt jest młody, aby móc prawnie tę godność sprawować, więc jedziemy

---

<sup>195</sup> tedy (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>196</sup> Brugge – Brugia, miasto położone dziś na terenie Belgii, w średniowieczu ważny hanzeatycki port handlowy. [przypis edytorski]

<sup>197</sup> siła (daw.) – dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

z nim do Rzymu, chcąc od Ojca świętego otrzymać dlań dyspensę i zatwierdzenie go na urzędzie. Proszę was jeno<sup>198</sup>, abyście tego nie rozgłaszali.

Młody opat, jadący na czele orszaku, to znów obok sług swoich, obyczajem panów będących w podróży, znalazł się trafunkiem koło Aleksandra. Ów, jako młodzieniec wielce urodziwy, obyczajny i pełen wdzięku, z pierwszego wejrzenia przypadł opatowi do serca. Opat, przyzwawszy go, jął<sup>199</sup> uprzejmie z nim rozmawiać pytając, kim jest, skąd i dokąd jedzie? Aleksander, chcąc jego ciekawość zaspokoić opowiedział mu szczerze o wszystkich swoich sprawach i chociaż niewiele mógł sprawić, cne usługi swoje mu ofiarował.

Opat, wysłuchawszy jego rozumnej i pięknej mowy i dworność jego zważywszy, pomyślał, że ten człek, mimo sprawianego przez się rzemiosła, musi być zanie urodzonym, i wielce sobie go upodobał. Pełen współczucia dla jego nieszczęść, jął go pocieszać, zachęcając, aby nadziei nie tracił. Jeśli tylko dzielny i wytrwałym będzie, Bóg nie tylko do poprzedniego go powróci stanu, ale jeszcze i wyżej go podniesie. A dowiedziawszy się, że Aleksander także do Toskanii zmierza, prosił go, aby razem drogę odbywali.

Aleksander podziękował mu za słowa pociechy i oświadczył, że gotów jest we wszystkim przyrzec mu posłuszeństwo.

Spotkanie z Aleksandrem wzbudziło w opacie nowe uczucia

---

<sup>198</sup> jeno (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

<sup>199</sup> jąć (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

i myśli. Podróżując razem, po kilku dniach przybyli do pewnego miasteczka, gdzie nie było zbyt wiele gospód. Ponieważ opat chciał się tam na nocleg zatrzymać, więc Aleksander umieścił go u pewnego oberżysty, którego znał dobrze, i kazał mu przygotować najlepszą w domu komnatę. A jakby był już jego marszałkiem, wielką mając biegłość w tych sprawach, zakrzętała się, jak mógł najlepiej, i sługom opata dał różne kwatery w mieście.

Gdy opat wieczerzę skończył i gdy już znaczna część nocy minęła, a wszyscy na spoczynek się udali, Aleksander zapytał gospodarza, gdzie ma nocować?

– Wierę<sup>200</sup>, nie wiem tego – odparł gospodarz. – Widzicie przecie, że cały dom jest pełen i że ja wraz z moją rodziną muszę spać na ławach. Jednakoż w komnacie opata znajduje się kilka worów z żytem, narychtuję wam z nich łoże; mniemam, że jakoś noc spędzicie.

– Jakże to? – odparł Aleksander – komnata opata jest tak mała, że z przyczyny jej ciasnoty nie mógł się w niej pomieścić ni jeden z jego mnichów. Gdybym sobie był wcześniej z tego sprawę zdał, wówczas gdy zasłony przybijano, kazałbym spać na worach jego mnichom, a sam udał się tam, gdzie oni noclegują.

– Już temu teraz zaradzić nie sposób – rzekł oberżysta – możecie wszakoż ułożyć się tam wygodnie. Opat śpi na łożu, którego zasłony są opuszczone. Przyniosę wam po cichu kołdrę i będziecie spali jak suseł.

---

<sup>200</sup> *wierę* (daw.) – tu: doprawdy. [przypis edytorski]

Aleksander, widząc, że niepokojowi opatowi nie przyczyni, zgodził się wreszcie i na palcach wszedł do komnaty. Aliści opat, który nie spał, na łup nowych swoich pragnień zdany, nie uronił ani słowa z rozmowy Aleksandra z oberżystą, a także spostrzegł, gdzie Aleksander legł na spoczynek. Wielce z tego ukontentowany, rzekł do siebie: »Oto sam Bóg daje mi sposobność do zaspokojenia mych pragnień. Jeśli jej w lot nie schwycę, lepsza może mi się nigdy nie nadarzyć«.

Postanowiwszy zatem ze sposobności skorzystać, poczekał chwilę, aby wszyscy w domu zasnęli, a później cichym głosem zawołał na Aleksandra, by legł koło niego na łożu. Aleksander wzbierał się długo, lecz wreszcie rozdział się i wszedł do łoża.

Opat położył mu rękę na piersiach i jął go macać, nie inaczej, jak to czynią młode dziewczęta ze swymi kochankami. Aleksander zadziwił się wielce, nie wątpiąc, że opat, występny pragnieniem powodowany, na niego dybie. Ów, żywszym poruszeniem Aleksandra na ślad podejrzeń jego naprowadzony, uśmiechnął się, a ściągawszy z ramion swoją koszulę, schwycił Aleksandra za rękę, położył ją na swoich piersiach i rzekł:

– Oddal od siebie głupie myśli, Aleksandrze, i przekonaj się, jaką prawdę tutaj ukrywam.

Aleksander poczuł pod dłonią dwa krągłe i miłe cycuszki, tak twarde, jakby z kości słoniowej uczynione były. Znalazłszy je pojął, że opat jest białogłową; nie czekając tedy<sup>201</sup> na zaproszenie, oblał ją ciasno i już chciał ją całować, gdy wtem

---

<sup>201</sup> tedy (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

ona rzekła:

– Nim bardziej jeszcze zbliżysz się do mnie, wysłuchaj, co ci powiedzieć pragnę. Jak to dowodnie widzisz, jestem nie mężem, lecz białogłową. Jako dziewica opuściłam dom rodzicielski; wybrałam się w drogę do papieża z prośbą, aby mnie za mąż wydał. Jednakże na twoje szczęście, czyli też na moją zgubę, ledwie cię ujrzała, rozgorzałam do ciebie taką miłością, jaką żadna białogłowa nigdy mężczyzny nie obdarzała. Umyśliłam zatem ciebie za małżonka sobie wybrać. Jeśli jednak zostać nim nie chcesz, idź precz z mego łóża i wracaj na swoje posłanie.

Aleksander, chociaż jej nie znał, wniósł przecie z jej orszaku, że musi być białogłową bogatą i wysoko urodzoną. Ujrzawszy zaś<sup>202</sup> jej piękność ani chwili się nie wahał, jeno<sup>203</sup> odparł, że jeśli taka jest jej wola, to i on innej nie ma.

Wówczas usiadła na łóżu i przed obrazem, na którym był wizerunek Pana naszego, włożywszy mu pierścień na palec, zaślubiła go. Po czym uścisnęli się i resztę nocy z wielkim obojga ukontentowaniem na przyjemnych igrach spędzili. Umówili się, co im dalej czynić należy. Przed świtem Aleksander wyszedł z komnaty równie cicho, jak i wszedł do niej. Nikt nie wiedział, gdzie tę noc przepędził. Na drugi dzień, pełen niewysłowionej szczęśliwości, pospołu z opatem i jego świtą w dalszą drogę ruszył. Po wielu dniach podróży przybyli do Rzymu. Odetchnąwszy nieco po trudach drogi, opat

---

<sup>202</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>203</sup> *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

w towarzystwie dwóch rycerzy i Aleksandra udał się do papieża i należną cześć mu złożywszy, w te słowa przemówił:

– Wiadomo Wam lepiej niż komukolwiek, Ojczye święty, iż ten, co zacie i szlachetnie żyć pragnie, winien, ile zdoła, unikać wszelakich sposobności, które by go od prawej drogi odstrychnąć mogły. Takoz i ja, iż do cnoty dążę, by móc temu zadośćuczynić, przebrałam się w ten strój, w jakim mnie widzicie, uciekłszy skrycie od mego ojca, króla Anglii, z częścią jego skarbów. Ojciec mój bowiem, nie zważając na mój młody wiek, chciał mnie oddać w stadło sędziwemu królowi Szkocji. Umyśliłam zatem wybrać się do Was, Ojczye święty, abyście mi męża wybrali. Nie tyle trwoga przed sędziwym królem Szkocji do uciezki mnie pobudziła, ile obawy, abym zostawszy jego małżonką nie pofolgowała mojej młodości i nie uczyniła czegoś wbrew prawom boskim i czci królewskiego rodu. Gdy z takimi zamysłami tu zdążałam, Bóg, który wie najlepiej, czego nam do szczęścia potrzeba, w swym niezmiernym miłosierdziu posłał mi na spotkanie tego, kogo na małżonka mi przeznaczył. Jest nim ten oto młodzieniec (tu na Aleksandra ukazała), obok mnie stojący.

Dla swych przymiotów i obyczajów godzien jest miłości każdej znamienitej damy, chocia jego krew nie jest tak zacna, jak krew królewska. Przeto jegom wybrała i jego tylko na męża pragnę, choćby wola mego rodzica i wszystkich ludzi przeciwna temu być miała. Tak tedy znikła główna przyczyna, dla której w drogę się wybrałam. Zdało mi się jednak rzeczą słuszną do

Rzymu dotrzeć, aby odwiedzić wszystkie miejsca święte, Was, Ojciec święty, obaczyć, a także, abym nasz związek, tylko przed Bogiem zawarty, Wam objawiła, a przeto i wszystkim innym do wiadomości podała. Pokornie tedy Was błagam, abyście raczyli przychylnie odnieść się do tego, co się podobało Bogu i mnie, i uszczęśliwili nas swoim błogosławieństwem. Otrzymawszy je, jeszcze bardziej wierzyć będziemy w życzliwość Tego, którym namiestnikiem jesteście. Będziemy żyli, wielbiąc Boga i Was do ostatniego dnia żywota naszego.

Aleksander osłupiał usłyszawszy, że jego żona jest córką króla angielskiego, i ucieszył się z tego wielce w głębi duszy. Aliści jeszcze więcej zdumieni się dwaj rycerze; pełni rankoru<sup>204</sup> i głębokiego nieukontentowania, ani chybi wyrządziliby krzywdę Aleksandrowi, a może i księżniczce, gdyby nie przytomność<sup>205</sup> papieża. Papież także nie mało się zadziwił tak z ubioru księżniczki, jako i z jej wyboru, jednakże wiedząc, że cofnąć się już nie lza<sup>206</sup>, nie chciał jej prośbie odmówić.

Przede wszystkim uspokoił obu rycerzy, widząc ich pomieszanie, pogodził ich z księżniczką i Aleksandrem i zarządził, co czynić należy. W dniu oznaczonym przez niego na uroczystość zaślubin, na której byli przytomni wszyscy kardynałowie i różne osoby znamienite, zjawiła się panna

---

<sup>204</sup> *rankor* (daw.) – żal, złość. [przypis edytorski]

<sup>205</sup> *przytomność* (daw.) – obecność (przy czymś). [przypis edytorski]

<sup>206</sup> *nie lza* – nie wolno; tu: nie można. [przypis edytorski]

młoda w królewskich szatach; piękność jej i wdzięk osobny<sup>207</sup> powszechny zachwyty wzbudziły. Aleksander przybył także wspaniale przyodziany; nikt z pozoru i ułożenia nie mógłby go wziąć za młodzieńca, który na lichwę pożyczał; raczej królewiczem być się zdawał. Dwaj rycerze osobną cześć mu teraz okazywali. Papież przykazał uroczyście zaślubiny odprawić, a później wspaniałe wesele im zgotował i udzielił im błogosławieństwa.

Aleksander z małżonką wyjechał z Rzymu do Florencji, dokąd już wieść o nich dotarła.

Mieszkańcy Florencji spotkali ich z oznakami czci i głębokiego hołdu. Księżniczka uwolniła z więzienia trzech braci, zapłaciwszy wszystkie ich długi i wprowadziwszy ich oraz ich żony z powrotem w posiadanie utraconych majątków. Później wraz z mężem i Agolantem wyjechała do Paryża, gdzie ją król francuski wielce uroczyście przyjął. Dwaj rycerze udali się do Anglii i tyle sprawili, że król angielski, uradowany wielce, przyjął z powrotem do swej łaski córkę i zięcia, Aleksandra niebawem do stanu szlacheckiego podniósł i hrabstwem go obdarzył. Aleksander zasię<sup>208</sup> tyle starań dołożył i tak umiał się wziąć do rzeczy, że udało mu się ojca z synem pogodzić. Siła pomyślności stąd na Anglię spłynęła, co Aleksandrowi zjednało miłość i wdzięczność wszystkich mieszkańców. Agolante otrzymał z powrotem pieniądze, które mu się u ludzi należały,

---

<sup>207</sup> *osobny* – tu: szczególny, osobliwy. [przypis edytorski]

<sup>208</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

i do Florencji jako bogacz wielki powrócił. Jeszcze przedtem hrabia Aleksander szlachcicem go uczynił.

Aleksander żył szczęśliwie z swoją małżonką. Niektórzy powiadają, że dzięki swemu rozumowi i męstwu, przy pomocy teścia, zdobył Szkocję, której królem miał rzekomo zostać ukoronowany”.

# Opowieść czwarta. Landolfo Rufolo

Zubożały Landolfo Rufolo staje się korsarzem. Genueńczycy biorą go w niewolę. Rozbiwszy się na morzu, ratuje się dzięki skrzyni pełnej klejnotów. Na Korfu gości w domu pewnej białogłowy, a później, bogaty, do kraju wraca.

Lauretta, siedząca obok Pampinei, postrzegłszy, że ta do szczęśliwego kresu opowieść swoją doprowadziła, bez zwłoki w te słowa mówić poczęła:

– Nie ma, miłe panie, według mego mniemania, większego fortuny dzieła, jak podniesienie kogoś z nędznej kondycji do królewskiego stanu; ukazała nam to Pampinea w swej opowieści o Aleksandrze. Jako że każdy z nas opowiadać winien zgodnie z materiałą wprzód określoną, nie będę się wzbraniała opowiedzieć noweli, która chociaż większe jeszcze niedole w sobie zamyka, przecie tak pomyślnego końca nie ma. Wiem dobrze, że nie będziecie mnie słuchali z równą ciekawością, aliści<sup>209</sup> nie stać mnie na nic innego i dlatego proszę, abyście mi wybaczyli.

„Powszechnie twierdzą, że wybrzeże między Reggio<sup>210</sup> a Gaetą<sup>211</sup> najpiękniejszą część Italii stanowi. Tutaj, opodal

---

<sup>209</sup> *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>210</sup> *Reggio* – dziś: Reggio di Calabria, miasto w płd. Włoszech, nad Cieśniną Mesyńską. [przypis edytorski]

<sup>211</sup> *Gaeta* – miasto portowe w środkowej części Włoch, na zach. wybrzeżu. [przypis

Salerno<sup>212</sup>, ku morzu obrócona, rozciąga się górzysta przestrzeń, którą mieszkańcy zwą wybrzeżem Amalfi, usiana miasteczkami, ogrodami i fontannami; tutaj mieszkają bogacze, głównie handlem się parający. Wśród tych miasteczek jest jedno, zwane Ravello<sup>213</sup>, gdzie i dziś nie brak ludzi bogatych; a gdzie podówczas mieszkał niezwykle bogaty kupiec, Landolfo Rufolo. Ów, chcąc majątność swoją podwoić (bowiem to, co miał, mu nie wystarczało), o mały włos nie zginął pospołu ze swymi skarbami. Landolfo, wszystko poprzednio dobrze zważywszy, jak to pospolicie kupcy czynią, nabył wielki statek, naładował go towarem kupionym za swoje pieniądze i popłynął do Cypru. Tutaj jednak obaczył, że do portu zawinęło wiele okrętów z takim samym ładunkiem; dla tej przyczyny nie tylko wypadło mu towar swój tanio sprzedać, ale nawet prawie darmo go oddać, dzięki czemu do ruiny został przywiedziony. Zrozpaczony tym wszystkim, nie wiedział, co począć, a widząc, że z bogatego człeka ma się stać w krótkim czasie nędzarzem, postanowił albo zginąć, albo też grabieżą straty swoje powetować, byleby tylko nie wracać ubogim tam, skąd bogatym wyjechał.

Znalazłszy kupca na swój wielki drewniany korab, za pieniądze stąd i za sprzedaż towarów otrzymane, nabył mały statek korsarski, opatrzył go we wszystko, w co należy,

---

edytorski]

<sup>212</sup> *Salerno* – miasto na zach. wybrzeżu w środkowej części Włoch, niedaleko Neapolu. [przypis edytorski]

<sup>213</sup> *Ravello* – miejscowość w pobliżu Salerno. [przypis edytorski]

uzbroił i jał<sup>214</sup> się trudnić grabieżą, napadając na wszystkich, osobliwie zasię na Turków. W tej profesji fortuna była mu przychylniejsza niżli w handlu. W ciągu może jednego roku tyle tureckich okrętów ograbił, że nie tylko wszystkie straty sobie powetował, ale i majątność podwoił. Nauczony już poprzednim niepowodzeniem, nie chcąc po raz wtóry podobnego nieszczęścia doświadczać, rzekł do siebie, że dość mu tego, co już posiada. Dlatego też umyślił z bogactwem swoim do domu powrócić. Nie mając już do handlu ufności, poniechał wszelkich zakupów za zyskane pieniądze, jeno<sup>215</sup> na tym samym statku, który mu do korsarstwa służył, puścił się w drogę powrotną.

Gdy się już do Archipelagu<sup>216</sup> zbliżał, podniósł się wiatr przeciwny, który morze poburzył. Jego mały statek nie mógł walczyć z falami, dlatego też Landolfo zawinął do zatoki na małej wysepce i skrywszy się od wiatru, jał czekać lepszej pogody. Do tej zatoki zawinęły niebawem dwa potężne genueńskie okręty. Płynąc z Konstantynopola i one schroniły się przed burzą, i z trudem do zatoki dotarły. Ludzie na tych okrętach, ujrawszy mały statek, zamknęli mu drogę i zapytali, skąd on płynie i do kogo należy. Znali już z wieści, że właściciel statku jest wielce bogatym człkiem, i dlatego umyślili okrętem zawładnąć. Byli to ludzie chytry i żądni rabunku. Wysadziwszy

---

<sup>214</sup> *jać* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>215</sup> *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

<sup>216</sup> *Archipelag* – prawdopodobnie: Archipelag Cyklad na Morzu Egejskim. [przypis edytorski]

na brzeg kilku ludzi z kuszami i inną bronią, tak ich rozmieścili, aby nikt nie mógł wysiąść ze statku, pod grozą, że strzałami przeszyty zostanie, sami zaś<sup>217</sup> na łodziach, wspomagani falą morską, zbliżyli się do statku Landolfa i zawładnęli nim bez trudu, wraz z całą załogą, nie straciwszy ani jednego człeka. Genueńczycy zabrali Landolfa na pokład jednej z barek, a później jego stateczek zatopili, wszystko z niego uniósłszy. Landolfo w jednym tylko kaftanie pozostał. Następnego dnia wiatr się odmienił i okręty podniósłszy żagle popłynęły na zachód. Tego dnia podróż szczęśliwą była, lecz wieczorem jął dąć silny wicher, który wielkimi bałwanami oba statki od siebie oddzielił. Wicher był tak potężny, że barka, na której znajdował się nieborak Landolfo, uderzywszy powyżej wyspy Kefalonia o mieliznę, uległa rozbiciu, niby szklanka o ścianę rzucona. Morze, jak to w podobnych wypadkach pospolicie bywa, upstrzyło się różnym sprzętem: towarami, skrzyniami i deskami. Noc była ciemna, morze wzburzone i groźne. Ci spośród nieszczęsnych rozbiteków, którzy umieli, pływali uczepiwszy się rzeczy, co trafunkiem im pod ręce podpadły. Wśród tych nieszczęśliwców był i Landolfo. Ów, chociaż poprzedniego dnia śmierć często przyzywał mówiąc, że raczej umrzeć woli niż do domu nędzarzem powracać, teraz śmierci w oczy zajrzawszy, przeraził się jej i czepił się deski, jaka wpadła mu w ręce, mając nadzieję, że jeśli od utonięcia się uchroni, Bóg pomoc jakąś mu zesśle. Usiadłszy na niej, czuł, jak morze i wicher miotają nim

---

<sup>217</sup> zaśię (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

na wsze strony; tak trwało do świtu. Przy świetle dnia ujrzał przed sobą tylko obłoki, morze i skrzynię unoszącą się na falach, ilekroć się zbliżała, obawiał się, że ta skrzynia, uderzywszy o deskę, spowoduje jego upadek i przyczyną zatonięcia się stanie. Ilekroć skrzynia się doń zbliżała, odpychał ją ręką, walcząc ostatkami sił. Wkrótce jednak wichur utworzył wir powietrzny, morze wzburzył i tak silnie uderzył skrzynią o deskę, na której Landolfo siedział, że ów, obawiając się, że sił mu zabraknie, by do niej dopłynąć, wypuściwszy ją z rąk, poszedł pod fale. Raczej strach niż siła na powierzchnię go wydobył; wówczas ujrzał, że deska płynie już na znacznej odeń odległości; zbliżył się zatem do skrzyni, która była bliżej, i oparłszy pierś na jej wieku ją rękami popychać. Rzucany falami to tu, to tam, nie wiedząc, gdzie się znajduje, i nie widząc nic wokół krom<sup>218</sup> morza, Landolfo męczył się tak przez cały dzień i noc następną. Nic nie jadł, jeno pił więcej, niżli miał chęć na to.

Następnego dnia był już podobny do gąbki; wpił się obiema rękoma w brzeg skrzyni, jak to pospolicie czynią tonący, gdy tylko coś pochwycą. Aliści z woli Boga czy też dzięki sile wiatru dopłynął do brzegu wyspy Korfu, gdzie właśnie pewna uboga białogłowa czyściła swoje naczynia piaskiem i myła wodą. Białogłowa ta, ujrzawszy zbliżającego się Landolfa, nie mogła rozemnać, co to jest, i dlatego przerażona się, i z krzykiem cofnęła się od brzegu. Landolfo nie mógł już mówić, niewiele także widział, przeto nic do niej nie rzekł. Gdy jednakże fale do brzegu

---

<sup>218</sup> *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

go zbliżyły, białogłowa baczniej spojrzawszy rozeznała najpierw kształt skrzyni, a następnie, wyteżywszy wzrok, ramiona leżące na wieku, a później oblicze, i zrozumiała, w czym rzecz. Powodowana litością, weszła do morza, które już uspokoiło się, i schwyciwszy Landolfa za włosy, wydobyła go na brzeg wraz ze skrzynią. Z trudem oderwała jego ręce od skrzyni, oddała ją córce, która była z nią razem, sama zaś wzięła Landolfa na ramiona niby małe dziecko i zaniosiła go do łaźni. Tam go tarła i gorącą wodą zlewała, że wróciło weń ciepło i zemdlone siły. Następnie, zabrawszy go stamtąd, pokrzepiła go winem i słodyczami i przez kilka dni miała nad nim staranie. Landolfo, wróciwszy do sił, poznał wreszcie, gdzie się znajduje. Zaczęła białogłowa postanowiła wówczas oddać mu skrzynię, która mu życie ocaliła, i powierzyć go jego losowi.

Tak też uczyniła. Landolfo zapomniał już o skrzyni, mimo to wziął ją z rąk białogłowy, myśląc, że chociaż jej szacunek wielki nie jest, przecie będzie mógł, sprzedawszy ją, kilka dni przeżyć. Jednakoż znalazłszy ją wielce letką<sup>219</sup> i tę nadzieję postradał. Gdy gospodyni z domu wyszła, oderwał wieko, chcąc się przekonać, co wewnątrz skrzyni się mieściło. Ujrzał wiele klejnotów w oprawie i bez oprawy. Znając się nieco na klejnotach, poznał ich wielką wartość. Złożywszy dzięki Bogu, który go raz jeszcze w potrzebie nie opuścił, pocieszył się znacznie i otuchy nabrał. Jako człek, który w krótkim czasie dwa razy przeciwnemu losowi podlegał, teraz trzeciego nieszczęścia

---

<sup>219</sup> *letki* (daw., gw.) – dziś popr.: lekki. [przypis edytorski]

wielce się obawiał. Postanowił tedy<sup>220</sup> bardzo ostrożnie sobie poczynać, aby te skarby móc do domu dowieźć szczęśliwie. Owinął klejnoty w strzępy łachmanów i oznajmił białogłowie, że mu już skrzynia potrzebna nie jest. Poprosił ją, aby mu dała worek, a skrzynię w zamian sobie zatrzymała. Białogłowa ochotnie się na to zgodziła. Landolfo, podziękowawszy jej za wyświadczony mu dobrodziejstwa, pożegnał się z nią, wziął worek na plecy, wsiadł na barkę i popłynął do Brindisi<sup>221</sup>. Stamtąd wzdłuż brzegu dotarł do Trani<sup>222</sup>, gdzie spotkał kilku rodaków, sukienników. Opowiedział im o wszystkich swoich przypadkach, zataiwszy tylko znalezienie skrzyni, oni zaś przydzielili go, pożyczili mu rumaka, dali przewodnika i odesłali do Ravello, dokąd udać się pragnął.

Tutaj bezpiecznym się poczytując, należny dank<sup>223</sup> Bogu złożył i rozwiązał worek; pilniej niż poprzednio każdy klejnot wiele razy obejrzał i przekonał się, że tyle szacownych skarbów posiada, iż sprzedawszy je za stosowną sumę, a nawet i taniej, będzie dwa razy bogatszy niżli wtedy, gdy wyjeżdżał. Znalazszy możliwość sprzedaży klejnotów, posłał znaczną kwotę tej cnej białogłowie, która go z wody wyciągnęła, a także i tym, co go w Trani przydzielili. Resztę pieniędzy zatrzymał dla siebie.

---

<sup>220</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>221</sup> *Brindisi* – miasto na Półwyspie Salentyńskim, na wsch. wybrzeżu Włoch. [przypis edytorski]

<sup>222</sup> *Trani* – miejscowość niedaleko Brindisi. [przypis edytorski]

<sup>223</sup> *dank* (daw., z niem.) – podziękowanie, wyrazy wdzięczności. [przypis edytorski]

Odrzekł się handlu i żył w dostatku do końca dni swoich”.

# Opowieść piąta. Andreuccio z Perugii

Andreuccio z Perugii przybywa do Neapolu, aby zakupić konie. W nocy spotykają go trzy niebezpieczne przygody, z których wychodzi szczęśliwie, wracając z rubinem do domu.

– Znalezione przez Landolfa kamienie – rzekła Fiammetta, na którą teraz kolej nadeszła – przywiodły mi na pamięć pewną opowieść, nie mniej niebezpieczeństw w sobie zawierającą niżli historia Lauretty, tym wszakoż od niej różną, że tam zdarzenia zapewne przez szereg lat trwały, tu zasię<sup>224</sup>, jak usłyszycie, wszystko się w ciągu jednej nocy stało.

„Żył ongiś w Perugii<sup>225</sup> pewien młodzieniec, handlarz końmi, Andreuccio di Pietro zwany. Zasłyszawszy, że w Neapolu jest dobry targ na rumaki, włożył do mieszka pięćset złotych florenów i ruszył w drogę w towarzystwie innych kupców, chociaż do tych pór nigdy za bramami swego miasta nie bywał. Do Neapolu przybył w niedzielę wieczorem; zasięgnawszy języka od oberżysty, nazajutrz rano na targ się udał. Wiele koni obejrzał; niektóre mu się podobały i wiele z nich targował, jednakoz przy kupnie nie mógł się na cenę zgodzić. Chcąc dać dowód, że o kupnie myśli, niezbyt chytrze sobie poczynął, bowiem kilka razy wyciągnął kiesę, pełną złota, na oczach

---

<sup>224</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>225</sup> *Perugia* – starożytne miasto w środkowych Włoszech. [przypis edytorski]

przechodniów. W takiej chwili właśnie, gdy się swoją sakiewką pysznił, przechodziła mimo pewna urodziwa Sycylijka, gotowa zawsze pierwszemu lepszemu za lada grosz wdzięki swoje ofiarować. Minęła Andreuccia, nie będąc przezeń spostrzeżona. Zajrzawszy w sakiewkę jego, zaraz rzekła do się: »Komuż lepiej by było na świecie niż mnie, gdyby pieniądze te do mnie należały?«. Z dziewczyną tą szła pospołu pewna starucha, także Sycylijka, która ujrzawszy Andreuccia opuściła natychmiast swoją towarzyszkę i pobiegła doń, aby go serdecznie uściskać. Młódka, ujrzawszy to, zatrzymała się na stronie i milcząc czekała na nią. Andreuccio obrócił się, a poznawszy staruchę, wielce się uradował. Ta obiecała, że go odwiedzi w oberży, i po krótkiej rozmowie odeszła. Andreuccio zasię znowu na targ się udał, ale nic tego ranka nie kupił. Dziewczyna, która widziała mieszek Andreuccia i jego powitanie ze staruchą, jeża<sup>226</sup> się głowić nad tym, jakim by sposobem wyciągnąć odeń pieniądze w całości albo choćby w części. Zapytała się przeto ostrożnie staruchy, jak go poznała, kim on jest, skąd pochodzi i co tutaj robi.

Starucha opowiedziała jej o Andreucciu z takimi szczegółami, że i on sam by lepiej nie potrafił, bowiem długo mieszkała na Sycylii, a potem w Perugii pospołu z jego ojcem. Powiadomiła ją także, po co Andreuccio tu przyjechał i gdzie się w tej chwili udał.

Młódka, zebrawszy wiadomości o jego rodzinie i krewniakach, postanowiła na tych wiadomościach swój zamiysł

---

<sup>226</sup> *jać* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

chyttrze osnować, aby tylko zaspokoić apetyt na jego pieniądze. Po powrocie do domu dała starusze robotę na cały dzień, tak aby z Andreucciem spotkać się nie mogła, i wzięwszy pewną młódkę, do podobnych posług zaprawioną, wysłała ją wieczorem do oberży Andreuccia. Ta zastała go trafunkiem samego u bramy oberży i zaraz ją rozpytywać, gdzie niejakiemu Andreuccia spotkać może. Usłyszawszy, że on właśnie jest tym Andreucciem, odwiodła go na stronę i rzekła:

– Pewna piękna i szlachetna dama z tego miasta pragnęłaby, jeśli można, widzieć się z wami.

Andreuccio, poczytujący siebie za urodziwego młodzieńca, zaraz wystawił sobie, że dama musi być w nim zakochana, tak jakby piękniejszego odeń mężczyzny w całym Neapolu naówczas nie było, i odparł, że jest gotów; potem zapytał, gdzie i kiedy zobaczyć się z nią może.

– Jeśli tylko przyjąć zechcecie, panie – odparła młódka – znajdziecie ją u siebie w domu.

Andreuccio podniósł się natychmiast i nikomu w oberży o zamiśle swoim nic nie powiedziawszy, rzekł:

– Idź naprzód, pójdę zaraz za tobą.

Filutka<sup>227</sup> zaprowadziła go do domu, który znajdował się w dzielnicy miasta, zwanej Malpertuggio<sup>228</sup>. Jak zacną była ta dzielnica, już sama nazwa wskazuje. Andreuccio, nic nie wiedząc

---

<sup>227</sup> *filutka* (daw.) – sprytna, swawolna kobieta. [przypis edytorski]

<sup>228</sup> *Malpertuggio* – nazwa neapolitańskiej dzielnicy portowej; *mal pertuggio* oznacza „zła dziura”. [przypis edytorski]

ani nic nie podejrzewając, przeciwnie, wierząc, że do szlachetnej białogłowy się udaje, swobodnie wszedł do domu, poprzedzany przez służkę. Gdy wstępował na schody, dziewczyna zawołała na swoją panią, że Andreuccio przybył. Wówczas Andreuccio ujrzał ją, stojącą w oczekiwaniu na najwyższym stopniu schodów. Była jeszcze białogłową młodą, słusznego wzrostu, o pięknym obliczu, a przy tym obyczajnie i strojnie ubraną. Gdy się Andreuccio do niej zbliżył, zeszła o trzy stopnie mu naprzeciw z rozwartymi ramionami i obłapiwszy go za szyję trwała tak w milczeniu, jak gdyby zbytek czułości mowę jej odjął. Później ze łzami w oczach ucałowała go w czoło i rzekła głosem od szlochów przerywanym:

– Bądź pozdrowiony, Andreuccio, w moim domu!

Andreuccio, zdumiony tymi czułościami i całkiem osłupiały, odparł:

– Witam was, szlachetna damo.

Wówczas zalotnica schwyciła go za rękę, wprowadziła na górę do sali, a stamtąd, nic nie mówiąc, do swojej komnaty pachnącej różami, kwiatem pomarańczowym i innymi wonnościami. Andreuccio ujrzał drogocenne zaścianie łoża pod baldachimem, wiele wspaniałych strojów rozwieszonych na drążkach, wedle tamtejszego obyczaju, a także siła<sup>229</sup> rozlicznych a bogatych sprzętów. Na ten widok Andreuccio uwierzył najmocniej, że z nader dostojną damą ma do czynienia. Usiedli pospołu na

---

<sup>229</sup> *siła* (daw.) – dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

skrzyni stojącej w nogach jej łoża, a wówczas dama ją<sup>230</sup> mówić w te słowa:

– Jestem pewna, Andreuccio, że dziwią cię zarówno łyzy moje, jak i pieszczoty, bowiem nie znasz mnie i zapewne nigdy o mnie nie słyszałeś. Aliści usłyszysz zaraz rzecz, która w jeszcze większe zadziwienie cię wprawi; wiedz bowiem, że jestem twoją siostrą. Bóg okazał mi wielką łaskę, pozwolewszy mi ujrzeć przed zgonem jednego z moich braci (o jakże bym chciała wszystkich ich oglądać), dlatego też, kiedy mi umrzeć przyjdzie, będę umierała pełna pociechy. Ponieważ, jak mniemam, nic o tym wszystkim nie słyszałeś, tedy<sup>231</sup> ci opowiem. Pietro, twój i mój rodzic, jak wiesz pewnie, długo w Palermo przebywał. Dla swojej dobroci i łaskawości cieszył się i cieszy jeszcze osobnymi względami wszystkich, którzy go znali. Z tych, co go kochali, moja matka, szlachetnego rodu niewiasta, podówczas będąca wdową, miłowała go najbardziej. Nie bacząc na strach przed ojcem swym i braćmi, a także na cześć swoją, w tak ścisłym związku z nim żyć poczęła, że ja na świat przyszłam i wyrosłam na taką, jaką mnie tu widzisz. Wkrótce potem Pietro musiał wyjechać z Sycylii i do Perugii się udać. Ostawił matkę moją i mnie, małą dziewczynkę, i odtąd, jakem słyszała, nie dał najmniejszego znaku swojej pamięci o nas. Gdyby nie był moim ojcem, silnie bym mu naganiała tę niewdzięczność wobec mojej matki (nie mówiąc już o miłości, jaką był winien dla

---

<sup>230</sup> *jać* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>231</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

mnie żywić, jako dla swej córki, urodzonej przecie nie z jakiejś służebnicy albo gamratki<sup>232</sup>!). Moja matka oddała mu samą siebie i wszystko, co posiadała, nie znając go nawet dostatecznie, wierną miłością jeno się powodując. Ale cóż? Dawne winy łatwiej jest naganiać niżli naprawiać. Rzecz się tak miała.

Ojciec pozostawił mnie w Palermo małym dziecięciem. Gdy wyrosłam już prawie na taką, jaką dzisiaj jestem, matka moja, kobieta bogata, wydała mnie za mąż za jednego mieszkańca Girgenti<sup>233</sup>, zacnego człeka, z dobrego rodu idącego. Ów dla miłości do mnie i do mojej matki przeniósł się na stały pobyt do Palermo. Będąc zagorzałym gwelfem<sup>234</sup>, wdał się w tajny spisek z naszym królem Karolem, aliści<sup>235</sup> król Fryderyk, o wszystkim powiadomiony, zamysły ich udaremnił<sup>236</sup>. Mąż mój musiał uciekać z Sycylii właśnie wówczas, gdy ja myślałam, że stanę

---

<sup>232</sup> *gamratka* (daw.) – prostytutka. [przypis edytorski]

<sup>233</sup> *Girgenti* – dziś: Agrigento; starożytne miasto sycylijskie. [przypis edytorski]

<sup>234</sup> *gwelf* – stronnik władzy papieskiej we Włoszech (nazwa od nazwiska popieranych przez to stronnictwo książąt bawarskich Welfów współpracujących z Państwem Kościelnym); gwelfowie i gibelini stanowili rywalizujące ze sobą wrogie obozy polit. we Włoszech w XII i XIII w., w okresie zmagania cesarza Fryderyka II z papieżem; gwelfowie byli związani gł. z mieszczanstwem, natomiast gibelini reprezentowali gł. interesy feudalnego rycerstwa i popierali Cesarstwo Rzymskie. [przypis edytorski]

<sup>235</sup> *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>236</sup> *tajny spisek z naszym królem Karolem, aliści król Fryderyk (...) zamysły ich udaremnił* – mowa o walce o władzę nad Sycylią, która wywiązała się między Fryderykiem II a Karolem II w latach 1295–1301; Karol pragnął zająć Sycylię, jednak mieszkańcy wyspy, sprzeciwiając się temu, koronowali swym królem Fryderyka, który zwyciężył i wypędził stronników Karola z wyspy. [przypis edytorski]

się tak znaczną damą, jakiej nigdy na tej wyspie jeszcze nie było. Unieśliśmy z sobą tylko tę małą część mienia, jaką wziąć w drogę mogliśmy (małą, powiadam, w odniesieniu do tego, cośmy posiadali), i pozostawiwszy ziemię i pałac udaliśmy się tam, gdzie król Karol przebywał. Ów, wielce dla nas łaskawy, wynagrodził nas w części za straty, poniesione z przyczyny naszych dla niego usług. Dał nam we władanie ziemię i domy: teraz zaś<sup>237</sup> opatruje ciągle we wszystko łaskawie mego męża, twego szwagra, jak to będziesz mógł sam obaczyć. Oto jak się znalazłam tutaj, gdzie dzięki łasce boskiej, a nie twojej woli, oglądać cię mogę, mój miły bracie!

Rzekłszy to, znów go obłapiła za szyję i rzewnie płacząc, pocałowała go w czoło.

Andreuccio, słysząc tę bajkę, tak misternie utkaną i opowiedzianą tak składnie (tej, co ją opowiadała, głos ani razu nie zadrżał i słowa jej w gardle nie uwięzły), przypomniał sobie, że w samej rzeczy ojciec jego długo w Palermo przebywał. Zresztą, według siebie sądząc, wiedział, że młodzi ludzie pochopni są do miłości, poruszony zaś będąc łzami, pocałunkami i oznakami wielkiej czułości, uwierzył, że wszystko to jest prawda, przeto odparł:

– Nie powinno się to wam wydawać niczym szczególnym, zem się tak zadziwił, bowiem ojciec mój, nie wiedzieć z jakiej przyczyny, nigdy o was ani o waszej matce nie wspominał, a jeśli i mówił, to do mnie te słowa nie doszły; w każdym razie

---

<sup>237</sup> *zasie* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

nic o was nie wiedziałem, tak jakbyście wcale na świecie nie istnieli. Tym więcej się cieszę ze znalezienia siostry, im mniej się tego spodziewałem, tutaj, gdzie jestem tak samotny. Każdemu człowiekowi, najwyższej nawet godności, sprawiłoby radość poznanie was, a co dopiero mnie, nędznemu kupcowi? Proszę was jeno, abyście mi zechcieli wyjaśnić, skąd dowiedzieliście się o moim pobycie w tym mieście.

– Powiadomiła mnie o tym dziś rano – odparła białogłowa – pewna uboga niewiasta, która często w domu moim przebywa. Mówi, że długo mieszkała pospołu z naszym rodzicem w Perugii i na Sycylii. Już bym była dawno pośpieszyła do was, gdyby nie wzgląd na to, że obyczajniej będzie gościć was w moim domu niżli was w zajeździe odwiedzać.

To rzekłszy, poczęła go wypytywać troskliwie o wszystkich jego krewniaków, wymieniając ich po imionach. Andreuccio na wszystko odpowiadał, utwierdzając się w wierze, w co niezbyt mu wierzyć należało. Ponieważ rozmowa się przeciągała, a żar doskwierał okrutnie, gospodyni kazała podać greckie wino i słodycze i poczęstowała nimi Andreuccia, który następnie do wyjścia się zbierał, bowiem już zbliżała się pora wieczerzy. Dama jednak przystać na jego odejście nie chciała; uczyniwszy pozór bardzo strapionej, objęła go i rzekła:

– Ach, ja nieszczęśliwa! Widzę teraz, jak mało dbasz o mnie. Nie myślisz wcale o tym, że znajdujesz się w przytomności<sup>238</sup> swojej siostry, nigdy dotychczas niewidzianej, że jesteś tu

---

<sup>238</sup> w przytomności (daw.) – w obecności. [przypis edytorski]

w moim domu, gdzie powinien był zaraz po przybyciu do miasta zajrzeć, a tylko śpieszysz się na wieczerzę do gospody. Będziesz jednak wieczerzał dzisiaj u mnie. Chocia męża mego nie ma w domu, co mi jest bardzo nie po myśli, przecież jako gospodyni będę cię umiała godnie przyjąć.

Andreuccio nie wiedząc, co odpowiedzieć, rzekł:

– Jesteście mi drodzy, tak jak tylko siostra drogą być mi może, jeśli jednak nie pójdę, postąpię nieobyczajnie wobec tych, co na mnie przez cały wieczór będą czekali za stołem.

– Ach, na miłość boską! – zawołała białogłowa – zali u mnie w domu nie ma nikogo, kogo bym mogła posłać z wieścią do gospody, aby nie czekali na was z wieczerzą? Lepiej by nawet było, gdybyście zaprosili swoich towarzyszy na wieczerzę do mnie, potem, gdybyście na noc odejść zapragnęli, mielibyście w powrotnej drodze kompanię.

Andreuccio odparł, że nie ma wielkiej ochoty widzieć się tego wieczora z towarzyszami, jednakże jeżeli taka jest jej wola, to on jej posłuszny będzie. Wówczas dama udała, że wysyła umyślnego do gospody z wiadomością, aby na Andreuccia nie czekali za stołem. Po wielu gawędach zasiedli wreszcie do wieczerzy, z wyśmienitych potraw złożonej. Gospodyni przeciągnęła chytrze tę ucztę aż do późnej nocy. Gdy wstali od stołu, Andreuccio chciał się oddalić, ale filutka rzekła, że nigdy na to nie przystanie.

– Neapol nie jest miastem stosownym do przechadzek nocnych, zwłaszcza zaś dla przybyszów.

I zapewniła go, że wysyłając wiadomość, by go nie czekano z wieczerzą, donieść kazała zarazem, iż na noc do gospody nie wróci.

Andreuccio, dając wiarę wszystkiemu i znajdując ukontentowanie w jej towarzystwie, przystał. Po wieczerzy znów długimi – nie bez powodu – rozmowami się zabawiali. Gdy już część nocy minęła, zostawiła Andreuccia w swojej komnacie, wraz z małym pacholęciem, które miało mu być pomocne, gdyby czegoś potrzebował, sama zaś<sup>239</sup> ze swymi służebnicami udała się do innej. Żar był okrutny, dlatego też Andreuccio, pozostawszy sam, zdjął kaftan i spodnie i położył szaty na wezglówiu swego łoża. Wkrótce poczuł przyrodzoną potrzebę uwolnienia żołądka od nadmiernego ciężaru; spytał zatem chłopca, gdzie by ją zaspokoić było można. Chłopiec pokazał mu drzwi znajdujące się w rogu komnaty i rzekł: »Idźcie tędy«. Andreuccio wszedł tam śmiało, lecz postawiwszy trafunkiem nogę na deskę, która z przeciwnej strony oderwana była od belki, zleciał z nią pospołu w dół. Bóg był mu na tyle miłościwy, że żadnych obrażeń przy upadku nie doznał, mimo że się z znacznej wysokości zwałił; ubabrał się za to cały nieczystościami, których to miejsce pełne było.

Dla lepszego rzeczy pojęcia opowiem szczegółowie<sup>240</sup>, jak owo miejsce wyglądało. Zajmowało ono wąską przestrzeń między dwoma domami. Na dwóch belkach, łączących w górze

---

<sup>239</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>240</sup> *szczególowie* – dziś popr. forma: *szczególowo*. [przypis edytorski]

jeden dom z drugim, ułożono kilka desek, a na nich umieszczono siedzenie. Andreuccio poleciał na dół z jedną z tych desek. Ocknąwszy się w jamie, srodze zmartwiony tym przytrafieniem, jął<sup>241</sup> wołać na chłopca, aliści<sup>242</sup> ów, usłyszawszy odgłos spadającego ciała, pobiegł zaraz opowiedzieć o wszystkim swojej pani. Ta wbiegła natychmiast do komnaty Andreuccia i jąła szukać szat. Znalazła je wraz z ukrytymi w nich pieniędzmi, które Andreuccio, nikomu nie dowierzając, zawsze jak głupiec, przy sobie nosił. Owładnąwszy skarbem, dla którego ona, mieszkanka Palermo, stała się siostrą Perugijczyka i tę pułapkę chytrą wymyśliła, nie dbała już o Andreuccia, jeno zamknęła co prędzej drzwi, przez które ów wyszedł przed chwilą.

Gdy chłopiec nie odpowiadał, Andreuccio jął głośniej wołać, ale wszystko było na próżno. Wtedy zbudziło się w nim podejrzenie i jął domyślać się zasadzki, niestety zbyt późno. Przeskoczył przez murek, oddzielający smrodliwą jamę od ulicy, i udał się wprost do bramy domu, którą doskonale rozpoznał. Długo tutaj wołał, stukał do drzwi i łomotał na próżno. Wreszcie zapłakał, upewniwszy się o swym nieszczęściu, i jął mówić:

– O ja nieszczęśliwy, w tak krótkim przeciągu czasu straciłem pięćset florenów i siostrę!

Po wielu takich skargach znów zaczął do drzwi kołatać i krzyżeć; tak się przy tym tłukł, że ten hałas wielu sąsiadów przebudził i z łóża wywabił. Jedna ze służebnic damy, udając

---

<sup>241</sup> *jać* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>242</sup> *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

srodze zaspaną, ukazała się w oknie i rzekła:

– Kto tam do drzwi łomota?

– Zali mnie nie znasz – odparł – jestem Andreuccio, brat madonny Fiordaliso.

– Mój pocziwcze – rzekła służka – jeżeliś zbyt wypił, idź się wyspać i wróć tutaj rano. Nie znam żadnego Andreuccia i nie rozumiem twoich bredni. Idź z Bogiem i pozwól nam spać spokojnie.

– Jak to? – odparł Andreuccio – nie rozumiesz, co mówię? Rozumiesz na pewno. Jeżeli jednak krewniacy z Sycylii są już tacy, że tak prędko o sobie zapominają, to oddaj mi przynajmniej moje szaty, które u was zostawiłem, a z radością odejdę.

Na to służebna zaśmiawszy się rzekła:

– Bredzisz widać coś przez sen, mój pocziwcze.

Powiedziawszy te słowa obróciła się i zatrzasnęła okno.

Wówczas Andreuccio, przekonany już całkiem o swojej szkodzie i prawie oszalały z rozpacz, wpadł z gniewu w wściekłość i postanowił siłą odzyskać to, czego prośbami zdobyć nie mógł. Schwycił wielki kamień i jął nim walić w drzwi silniej niż przedtem. Mnodzy sąsiedzi, ze snu już przedtem wyrwani, pomyśleli, że to łże jakiś hultaj, co usadza się na biedną niewiastę; poruszeni do żywego wszczętym przez Andreuccia hałasem, ukazali się w oknach i na podobieństwo psów z jednej dzielnicy, szczekających na psa-przybłądę, krzyczeć jęli:

– Wstyd to i nieobyczajność o podobnej porze przychodzić do domu pocziwych białogłów i takie brednie pleść! Idź z Bogiem,

pocziwcze, i pozwól nam spać. Jeżeli masz jakąś sprawę do tej damy, przyjdź jutro, a nocą tumultu nie wzniecaj!

Pewien miłośnik naszej filutki, w tym samym domu przebywający, ośmielony widać tymi słowami (Andreuccio ani go nie widział na oczy, ani o nim nie słyszał), pokazał się w oknie i grubym a dzikim głosem wrzasnął:

– Kto tam zacz?

Andreuccio podniósł głowę i o ile mógł dostrzec, ujrzał jakiegoś zbroja z czarną, zmierzwioną brodą, zakrywającą mu pół oblicza. Ów wyglądał, jakby przed chwilą z łoża się podniósł; ziewał, niby z głębokiego snu wyrwany, i przecierał sobie ręką oczy.

Andreuccio rzekł z trwogą w głosie:

– Jestem bratem damy, która tutaj mieszka.

Tamten nie czekał, aż Andreuccio mówić skończy, i wykrzyknął sroższym jeszcze głosem:

– Nie wiem, wierę<sup>243</sup>, co mnie wstrzymuje od tego, aby zejść na dół i wymierzyć ci tyle kijów, abyś więcej nie powstał. Idź precz, ośle naprzykrzony, pijaku, co nam w nocy spać nie pozwalasz!

To rzekłszy, cofnął się i okna z hukiem zatrzaskały.

Niektórzy z sąsiadów, lepiej znający naturę tego człowieka, jęli radzić Andreucciowi:

– Na miłość boską, oddal się, przyjacielu, a jeżeli nie chcesz, aby cię jeszcze tej nocy zabito, umykaj stąd, pókiś cały.

---

<sup>243</sup> *wierę* (daw.) – doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

Andreuccio, przerażony głosem i widokiem grubianina, zachęcony radami, które jak mu się zdało, z dobroci serca płynęły, i zrozpaczony stratą pieniędzy, udał się w stronę gospody tą samą drogą, którą niedawno wiodła go służka, nieświadomego, dokąd idzie. Nie mogąc znieść fetoru, którym całe jego ciało tchnęło, zapragnął wykąpać się i wymyć w morzu, dlatego też obrócił się na lewo i puścił się po drodze, Ruga Catalana zwanej. Dochodząc do górnej dzielnicy miasta, ujrzał nagle dwóch ludzi, idących mu naprzeciw z latarnią. Andreuccio przeraził się na myśl, że są to może zbiry albo jacyś łotrzykowie, i chcąc spotkania z nimi uniknąć, ukrył się, nie mieszka<sup>244</sup>, w jakiejś opuszczonej ruderze, stojącej w pobliżu. Aliści nieznajomi weszli tam także po chwili, jakby umyślnie do tego miejsca dążyli. Jeden z nich zdjął z pleców jakieś żelazne narzędzia i jął<sup>245</sup> je pospołu z towarzyszem uważnie oglądać, różne uwagi czyniąc. Nagle rzekł:

– Co to jest? Czuję zaduch tak obrzydliwy, jakiego w życiu nigdy nie zdarzyło mi się wachać.

Rzekłszy to, podniósł nieco latarnię i ujrzał nieboraka Andreuccia.

– Kto tu? – zawołali zdumieni.

Andreuccio milczał; nieznajomi podeszli z latarnią i zapytali się go, co tu czyni, taki zacuchnięty.

Andreuccio opowiedział im wówczas szczerze, co z nim

---

<sup>244</sup> *nie mieszka* (daw.) – tu: nie zwlekając. [przypis edytorski]

<sup>245</sup> *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

zaszło. Dwaj ludzie, odgadując, gdzie się podobna rzecz zdarzyć mogła, wymienili dom Karalucha-Podpalacza. Jeden z nich, zwróciwszy się do Andreuccia, rzekł:

– Chociaż straciłeś pieniądze, przyjacielu, winienesz błogosławić Boga za to, żeś wpadł w ową jamę i żeś nie mógł się dostać na powrót do tego domu. Bądź upewniony, że gdybyś nie spadł i zasnął w komnacie, zamordowano by cię bezlitośnie, tak iż razem z pieniędzmi i żywot byś utracił. Płacze i narzekania na nic się teraz nie zdadzą. Prędzej zdejmiesz gwiazdę z nieba, niżli pieniądze swoje otrzymasz. Jeśli piśniesz o tym choćby słowo, on cię zabić gotów.

Rzekłszy to, jęli się naradzać, a potem jeden z nich obrócił się do Andreuccia z tymi słowami:

– Mamy wiele litości dla cię. Jeśli zechcesz do nas przymknąć i pomóc nam w jednej robocie, to ci przyrzekniemy, że otrzymasz zdobycz, która pokryje z nawiązką twoje straty.

Andreuccio, obłąkany rozpaczą, odparł, że się zgadza. Owóż trzeba wiedzieć, że tego dnia pochowano neapolitańskiego arcybiskupa, zwanego Filippo Minutolo<sup>246</sup>. Złożono go do grobu w wspaniałych szatach i z pierścieniem rubinowym na palcu. Kamień w pierścieniu wart był więcej niż pięćset złotych florenów. Zamiarem hultajów było ograbić trupa i wyjawili to Andreucciowi. Chciwość przemogła w Andreucci u rozsądek, tak iż udał się z nimi w drogę. Gdy szli do katedry, Andreuccio tak

---

<sup>246</sup> *Filippo Minutolo* – arcybiskup neapolitański, zmarły 24 października 1301. [przypis edytorski]

szkaradną woń z siebie wyziewał, że jeden z łotrzyków rzekł:

– Zaliżby<sup>247</sup> nie można było obmyć go trochę, aby nie śmierdział tak okrutnie?

– Jesteśmy wszak blisko studni – odparł drugi – gdzie zwykle wisi powróż i znajduje się wiadro. Chodźmy tam i wymyjmy go co prędzej.

Doszedłszy do studni przekonali się, że powróż wisi, ale że wiadra nie ma ani śladu. Wówczas umyślili przewiązać go powrozem i spuścić do studni, aby się tam opłukał od stóp do głowy. Gdy już będzie czysty, pociągnie za powróż, a wówczas wydobędą go na wierzch. Tak też uczynili. Kiedy Andreuccio w studni siedział, zdarzyło się, że ludzie ze straży miejskiej podeszli do studni, aby wody zaczerpnąć. Widocznie goniąc za kimś albo na skutek upału poczuli pragnienie. Dwaj hultaje, obaczywszy ich, rzucili się do ucieczki i umknęli niepostrzeżenie. Andreuccio, siedzący w głębi studni i już obmyty, szarpał za sznur. Stróże porządku, nękani pragnieniem, złożonywszy na ziemi broń swoją, tarcze i zwierzchnie szaty, jęli ciągnąć za powróż, przekonani, że u jego końca znajduje się wiadro pełne wody po brzegi. Andreuccio, znalazłszy się u wylotu cembrowiny, puścił sznur i schwycił się rękoma brzegu studni, ci zaś ujrzawszy go, zdjęci trwogą, rzucili powróż i zemknęli co tchu. Andreuccio zadziwił się srodze i tak osłupiał, że gdyby się nie był dobrze trzymał krawędzi, spadłby znowu niewątpliwie na dno i albo się zabił, albo też poranił okrutnie.

---

<sup>247</sup> *zaliżby* – czyżby. [przypis edytorski]

Stanąwszy na ziemi i znalazłszy broń, której jego towarzysze nie mieli, jeszcze więcej się zadziwił. Stał tak chwilę jak wryty, nie wiedząc, co ma myśleć; złorzeczył swemu losowi, wreszcie postanowił oddalić się z tego miejsca i pójść, gdzie go oczy poniosą. Wkrótce jednak spotkał znowu dwóch nieznanym, którzy powracali, aby go ze studni wydobyć. Ujrawszy go, jeśli pytać ze zdziwieniem, kto go wyciągnął. Andreuccio odparł, że nie wie, i opowiedział im szczegółowie<sup>248</sup>, jak się rzecz miała i co znalazł koło studni. Ci odgadli, jak było, i ze śmiechem wytłumaczyli mu, jacy to ludzie go wydobyli.

Nie tracąc słów po próżnicy, bowiem już północ się zbliżała, udali się do katedry. Wszedłszy cichaczem do wnętrza, podkradli się do marmurowego wielkiego grobowca i żelaznym łomem podnieśli ciężką płytę tak, że jeden człowiek mógł się przez szparę wcisnąć do środka. Gdy płytę podparli, jeden z nich spytał:

– Kto z nas wejdzie?

– Ja nie – odparł drugi.

– Ani ja – rzekł pierwszy – niech włązi Andreuccio!

– Za nic na świecie! – zawołał Andreuccio.

Wówczas dwaj łotrzykowie obrócili się doń z tymi słowy:

– Co? Powiadasz, że nie wejdiesz? Do kroćset, jeżeli tego zaraz nie uczynisz, łupniemy cię przez łeb tym żelazem tak, iż na miejscu ducha wyzioniesz.

Andreuccio, zestraszony nie na żarty, spuścił się do grobowca,

---

<sup>248</sup> *szczególowie* – dziś popr. forma: *szczególowo*. [przypis edytorski]

a schodząc pomyślał sobie: »Kazali mi wleźć do grobowca, aby mnie później na hak przywieść, bo gdy im całą zdobycz oddam i będę się z grobowca dobywał, uciekną i pozostawią mnie z kwitkiem«.

Dlatego też postanowił najpierw o sobie pomyśleć. Wspomniawszy o drogocennym pierścieniu, który jak mówili, znajdował się na palcu arcybiskupa, ściągnął go z trupa i na swój palec go nałożył. Później wziął pastorał, infułę, rękawiczki i szaty, tak iż zwłoki w jednej tylko koszuli pozostały, i wręczył to wszystko towarzyszom, oświadczając, że nic więcej nie znalazł. Ci, twierdząc, że powinien być jeszcze pierścień, nastawali na niego, aby dobrze szukał, lecz Andreuccio, udając, że szuka, przecie nic nie znajdował i trzymał ich przez pewien czas w niepewności. Łotrzykowie byli nie mniej chytry od Andreuccia – powtarzając mu, aby dobrze szukał, w odpowiedniej chwili wyjęli podpórę spod płyty grobowca i uciekli. Andreuccio pozostał zamknięty w grobowcu. Łatwo sobie wystawić można, co czuć i myśleć musiał. Kilka razy próbował podnieść głaz barkami i głową, ale trzymał się po próżnicy. Przenikniony boleścią niezmierną, przytomność stracił i zwałił się na ciało arcybiskupa. Gdyby ich ktoś ujrzał w tej chwili, z trudem by odróżnił żywego od umarłego. Przyszedszy do zmysłów, jał<sup>249</sup> gorzko płakać, bowiem wiedział, że albo, jeśli nikt już grobowca nie otworzy, będzie tu musiał zginąć z głodu i z zaduchu, wśród robactwa

---

<sup>249</sup> jać (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

rozkładającego się ciała, albo też, gdy go tu ktoś zdybie, zawisnie jak złoczyńca na szubienicy. Ponurzony w takich rozpacznych myślach, usłyszał nagle w kościele kroki i rozmowę kilku osób, o których wniósł, że przyszli tutaj uczynić to, co on już z swymi towarzyszami uczynił. Strach jego wzrósł niepomiernie. Przybysze, otworzywszy grobowiec i płytę podparłszy, jęli się sprzeczać, kto pierwszy z nich wejdzie. Nikt się nie chciał zgodzić. Po długim sporze ksiądz, należący do bandy, rzekł:

– Czegóż się obawiacie? Zaliż sądzicie, że was umarły pokąsa? Trupy nie jadają ludzi; ja tam wleżę.

Rzekłszy te słowa, położył się na piersiach na skraju grobowca, głowę zwrócił na zewnątrz i spuścił już nogi, aby się do wnętrza dostać. Andreuccio podniósł się wówczas, chwycił księdza za jedną nogę, tak jakby go chciał na dół wciągnąć. Ksiądz poczuwszy dotknięcie wrzasnął strasznym głosem i jednym susem z grobowca wyskoczył. Pozostali jego towarzysze, zestrachani okrutnie, pognali, jakby ich sto tysięcy diabłów goniło, zostawiając grobowiec otwarty.

Andreuccio, wielce uradowany z tak niezwykłego obrotu sprawy, zaraz wylazł z grobowca i tą samą drogą, co wszedł, wyszedł z kościoła.

Już dzień świtać zaczynał; Andreuccio szedł z pierścieniem na palcu, gdzie go oczy poniosą, aż wreszcie stanął na brzegu morza i gospodę swoją odnalazł. Jego towarzysze i oberżysta całą noc czekali na niego, trwając się o jego losy.

Opowiedział im o swoich zdarzeniach i słuszną wydała im się

rada oberżysty, aby natychmiast Neapol opuścił. Andreuccio tak też czym prędzej uczynił i wrócił do Perugii, całe swoje mienie umieściwszy nie w zakupionych koniach, lecz w pierścieniu”.

# Opowieść szósta. Znalezione dzieci

Pani Beritola, odnaleziona wraz z dwoma kozłętami na wyspie, straciwszy dwóch swoich synów, udaje się do Lunigiany. Jeden z jej synów wstępuje tam na służbę do jej pana i za miłość do jego córki zostaje wtrącony do więzienia. Sycylia buntuje się przeciwko królowi Karolowi. Syn, przez matkę poznany, żeni się z córką swego pana i odnajduje brata. Za czym powracają do dawnej świetności.

Damy i młodzieńcy wielce się śmieli z przypadków Andreuccia, opowiedzianych przez Fiammettę. Gdy opowieść skończona została, zgodnie z rozkazem królowej głos zabrała Emilia.

– Ważkie i przykre zdarzenia są spowodowane różnymi obrotami fortuny, o których nieraz mówimy, nie zaprzatając sobie jednak nimi zbyt głowę. Umysły nasze łaskami fortuny *letko*<sup>250</sup> usypiać się pozwalają. Pamiętać o tym winni zarówno szczęśliwi, jak i strapieni. Pierwszych uczyni ta pamięć przezornymi, drugich pocieszy. Chocia o tej materii wiele już rozprawiano, przecie chcę wam o tym jeszcze opowiedzieć nowelę, równie prawdziwą, jak i wzruszającą. Kończy się ona pomyślnie, jednakże smutek i cierpienie były tak wielkie i długotrwałe, że nie wiem, czy późniejsza radość zatrzeć je zdołała.

---

<sup>250</sup> *letko* (daw., gw.) – lekko. [przypis edytorski]

„Musicie wiedzieć, miłe damy, że po śmierci Fryderyka II, cesarza, królem Sycylii ukoronowany został Manfred<sup>251</sup>, przy którym wysoką godność piastował pewien szlachcic z Neapolu, Arrighettem Capece zwany. Miał on za żonę cną i urodziwą białogłową, madonnę Beritolę Caracciola, również z Neapolu pochodzącą. Arrighetto był wielkorządcą wyspy. Ujrzawszy, że król Karol zwyciężył pod Benewentem Manfreda<sup>252</sup> i życia go pozbawił, a całe państwo zhołdował, niezbyt dowierzał już krótkotrwałej wierności Sycylijczyków. Nie chcąc zaśie przymknąć<sup>253</sup> do wrogów swego pana, gotował się do ucieczki. Sycylijczycy dowiedzieli się o tym i nagle Arrighetto pospołu z wielu przyjaciółmi, sługami króla Manfreda, został jako jeniec wydany królowi Karolowi, któremu też wkrótce wydano całą Sycylię.

Madonna Beritola, nie wiedząc, co wśród losów przeciwności z Arrighettem stać się mogło, pełna trwogi na myśl o tych wypadkach, przy tym o cześć własną lękając się, ostawiła całą majątność i z ośmioletnim synaczkiem, Giusfredi, ciężarna i nieszczęściem złamana, siadła na korab i odplynęła do

---

<sup>251</sup> *Manfred* (1232–1266) – król Sycylii w latach 1258–1266, książę Benewentu i Neapolu, syn (z pozamałżeńskiego związku z Bianką Lancią) cesarza Fryderyka II, króla Sycylii. [przypis edytorski]

<sup>252</sup> *król Karol zwyciężył pod Benewentem Manfreda* – mowa o bitwie pod Benewentem, która miała miejsce 26 lutego 1266 r.; w jej wyniku Karol Andegaweński przejął władzę nad Sycylią. [przypis edytorski]

<sup>253</sup> *przymknąć* – tu: przystać; przyłączyć się. [przypis edytorski]

Lipari<sup>254</sup>. Tu wydała na świat drugiego synka, którego nazwała Scacciato<sup>255</sup>. Przyjęła do niego mamkę i znów z wszystkimi pospołu na okręt wsiadła, aby dostać się do Neapolu, do swoich rodziców. Stało się jednak inaczej, niż myślała.

Galera, zmierzająca do Neapolu, siłą wichru zagnana została do wyspy Ponzo. Tam podróżni, ukrywszy się w morskiej buchcie, jęli czekać pomyślnej pogody. Beritola, wysiadłszy pospołu z innymi na ląd, znalazła odosobnione miejsce, gdzie mogła w samotności pofolgować łzom swym i żalom po stracie Arrighetta. Każdego dnia tak czyniła, ponurzona w ostatniej rozpacz; tymczasem pewnego poranku podpłynęła niepostrzeżenie do korabia galera korsarska i wszystkich pochwytiła w niewolę. Beritola po całodziennych rozmyślaniach wróciła jak zwykle na brzeg, aby ujrzeć swoje dzieci, aliści<sup>256</sup> nikogo nie znalazła. Z początku wielce się zadziwiła, później domyśliwszy się, co się stać mogło, wpiła wzrok w dal morską i ujrzała niedaleko jeszcze galereę ciągnącą za sobą korab. Wówczas pojęła, że w ślad za mężem i dziećmi swoje straciła. Samotna, biedna, przez wszystkich opuszczona, nie wiedząc, czy kogoś ze swoich kiedykolwiek jeszcze obaczy, upadła na piasek i przyzywała żalonym głosem męża i synaczków. Nie było nikogo, co by zimną wodą albo innym jakimś sposobem do utraconych zmysłów ją przywiódł. Duch jej mógł się nosić

---

<sup>254</sup> *Lipari* – sycylijska miejscowość w regionie Mesyna. [przypis edytorski]

<sup>255</sup> *Scacciato* – dosł.: wgnany. [przypis edytorski]

<sup>256</sup> *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

na swobodzie, gdzie chciał. Gdy utracona świadomość wraz ze łzami i skargami do słabego ciała wróciła, jeła<sup>257</sup> znów wołać na swoje dzieci, zaglądnąc do każdej pieczary. Ujrawszy, że trudy jej są daremne i że noc się zbliża, pomyślała o sobie i wróciła znad brzegu do jaskini, gdzie zwykle miała obyczaj płakać i żalić się. Minęła noc, pełna troski i śmiertelnej trwogi, nowy dzień nastąpił: była czwarta godzina nad ranem. Beritola, która poprzedniego wieczora nic w ustach nie miała, głodem nękana, jeła jeść korzonki. Nasyciwszy się, jak mogła, oddała się, gorzko płacząc, rozmyślaniom nad okropną przyszłością swoją. Gdy się tak żaliła, spostrzegła nagle łanię wchodzącą do sąsiedniej pieczary. Po chwili łania wyszła i powróciła do lasu. Beritola weszła do pieczary i ujrzała tam dwa kozłątka, tego samego dnia, widać, urodzone. Widok ten był jej miłszy i piękniejszy nad wszystko w świecie. Miała jeszcze mleko w piersiach po niedawnym rodzeniu, wzięła zatem kozłętą łagodnie na ręce i do piersi swych je przystawiła. Zwierzątka nie wzgardziły ofiarą i ssały Beritolę, niby własną matkę. Od tej pory nie odróżniały już Beritoli od łani. Stroskanej białogłowie zdało się, że znalazła sobie towarzystwo na tej pustyni. Jadła korzonki, piła wodę i płakała gorzko, ilekroć wspomniała przeszłe swoje życie, synaczków i męża. Postanowiła tu żyć i umierać; z łanią oraz z jej dziećmi wielce się zaprzyjaźniła. Żyjąc tą modłą<sup>258</sup>, Beritola całkiem zdziczała. Po kilku miesiącach zdarzyło się, że do tego

---

<sup>257</sup> *jać* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>258</sup> *tą modłą* – tym sposobem; w ten sposób. [przypis edytorski]

samego miejsca na wyspie, gdzie i ona wylądowała, przyplłynął okręt pizański, który przez kilka dni stał na kotwicy. Na okręcie tym znajdował się szlachcic pewien, zwany Currado, z markizów Malespini ród swój wiodący, wraz ze swą dzielną i cnotliwą żoną.

Wracali z pielgrzymki do miejsc świętych, które w królestwie Apulii się znajdują. Markiz, chcąc melankolię swoją rozproszyć, udał się pewnego dnia w głąb wyspy wraz z swoją żoną, sługami i psami. Opodał miejsca, gdzie znajdowała się Beritola, psy Currada zwęszyły dwa koźlątka, które, podrosłszy już, na trawie się pały. Koźlątka, uciekając przed psami, nie szukały schronienia gdzie indziej, tylko w grocie, w której Beritola miała mieszkanie. Na ów widok Beritola podniosła się, schwyciła kij i przegnała psy. Currado i jego żona, idący za psami, zbliżyli się i ujrzeli chudą, poczerniałą i włochatą białogłową. Wielce się zdziwili, ona zaś<sup>259</sup> jeszcze bardziej od nich. Gdy na jej prośbę Currado psy odwołał, wszyscy zaczęli ją błagać, aby powiedziała im, kim jest i co tutaj porabia. Beritola, nic wówczas nie zatajając, oznajmiła im imię swoje i opowiedziała o swych nieszczęsnych przypadkach, a także o twardym zamiśle pozostania tutaj na zawsze. Currado, który dobrze znał Arrighetta Capece, usłyszawszy to, zapłakał z litości i trafnymi słowy starał się ją odwrócić od okrutnego zamysłu; przyrzekał, że ją do jej domu odwiezie albo też w swoim domu zatrzyma, gdzie powszechną czią, niby jego siostra rodzona, cieszyć się będzie, aż do czasu, gdy Bóg

---

<sup>259</sup> *zasie* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

lepszej jej nie ześle doli. Beritola przystać na to nie chciała. Currado pozostawił przy niej swoją żonę i rzekł odchodząc, by żywność tu przynieść kazala i dała Beritoli jedną z swoich sukien, a później czyniła wszystko, by przywieźć ją z sobą. Markiza długo wraz z Beritolą nieszczęście jej opłakiwała. Gdy przyniesiono żywność i suknię, z wielkim trudem tego dopięła, że Beritola odziała się i kęs strawy zjadła. W końcu, po wielu prośbach i przełożeniach, Beritola oznajmiła, że nigdy nie powróci tam, gdzie ją przedtem znali. Markiza wymogła przeto na niej obietnicę udania się z nimi do Lunigiany wraz z koźlętami i łanią, która właśnie powróciła do legowiska i ku zdumieniu markizy tysiące przymilań Beritoli czyniła. Gdy powiał wiatr pomyślny, Beritola, Currado i jego żona wsiedli na okręt, zabierając z sobą łanię i koźlęta (od których Beritola nazwana została Cavriuolą<sup>260</sup>, aby nie wszyscy jej prawdziwe imię znali). Żegluga odbyła się pomyślnie, tak iż wkrótce przybyli do ujścia Magry, a tam wylądowawszy udali się do zamku markiza. Tutaj żona Currada dała Beritoli wdowie szaty. Beritola, jako dama dworu markizy, żyła odtąd skromnie, cnotliwie i cicho, troskliwą opieką otaczając łanię i nie zapominając o paszy dla zwierząt.

Korsarze, owładnąwszy w Ponzio okrętem, który Beritolę przywiózł, nie spostrzegli jej na wyspie i odpłynęli z jeńcami do Genui, gdzie podzielili się łupem. Mamka i dwoje dzieci przypadły w udziale niejakiemu Guasparrino d'Oria.

---

<sup>260</sup> *cavriuola* (wł.) – łania. [przypis edytorski]

Odesłał on jeńców do swego domu, przeznaczając ich do różnych niskich posług. Mamka, zrozpaczona stratą swojej pani, przeklinała okrutny los swój i los dzieci, nie przestając głośno szlochać. Wkrótce obaczyła jednak, że łzy nic nie pomogą i że pospołu z dziećmi służyć musi. Chocia była biedną białogłową, przecie na bystrym rozumie jej nie zbywało. Skrzepiła, jak mogła, swoje upadłe siły, a później rozejrzawszy się wokół i uznawszy, dokąd przybyli, do tej myśli przyszła, że jeśli pochodzenie dzieci się odkryje, wyniknąć stąd mogą dla nich znaczne niebezpieczeństwa. Żywiła przy tym nadzieję, że los ich się odmieni i że jeśli tylko przy życiu pozostaną, to do stanu sobie właściwego powrócą; dlatego też postanowiła przed nikim nie zdradzać nazwiska ich i rodu, aż do chwili gdy czas stosowny przyjdzie. Gdy się ktoś o nie pytał, odpowiadała, że to jej dzieci. Starszego chłopca zwała odtąd nie Giusfredi, lecz Giannotto di Procida, młodszemu imienia nie odmieniła. Z wielką pilnością wyjaśniła Giusfrediemu powody, które ją do przewrania go tak skłoniły, i wystawiła mu niebezpieczeństwo, na jakie by się naraził, dając się poznać – powtarzała mu to zaś siła<sup>261</sup> razy. Dzieciuk, rozumny nad podziw, postępował zgodnie z przestrogą. Dwaj chłopcy, nędznie odziani i jeszcze gorzej obuci, do wszelkich niskich posług używani, cierpliwie żyli pospołu z mamką przez wiele lat w domu pana Guasparrina. Giannotto już szesnasty rok życia ukończył; mając duszę szlachetniejszą, niż na niewolnika przystało, buntował się

---

<sup>261</sup> *siła* (daw.) – wiele, mnóstwo. [przypis edytorski]

przeciwko swemu podłemu stanowi. Pewnego dnia wsiadł na galere, która do Aleksandrii zmierzała, i w ten sposób porzucił służbę u Guasparrina. Wiele krajów zwędrował, aliści<sup>262</sup> na wierzch wypłynąć nijak nie mógł. Po trzech czy czterech latach, które upłynęły od ucieczki z domu Guasparrina, Giusfredi, będący już urodziwym, słusznego wzrostu młodzieńcem, usłyszał nagle, że rodzic jego, którego miał już za umarłego, żyje, znachodząc się<sup>263</sup> w więzieniu, jak niewolnik strzeżony przez króla Karola. Straciwszy wszelką nadzieję, jął<sup>264</sup> się błąkać po świecie, aż wreszcie przybył do Lunigiany, gdzie losu zrządzeniem służby swoje ofiarował Curradowi Malespina, spełniając je ku wielkiemu jego ukontentowaniu. Gdy więc Giannotto na służbie u markiza pozostawał, zdarzyło się, że córka Currada, zwana Spina, ostawszy wdową po niejakim Niccolo da Grignano, do domu swoich rodziców powróciła. Spina była nader urodziwa i młoda, gdyż zaledwie szesnasty rok jej minął. Gdy jej wzrok padł na Giannotta, a wzrok Giannotta na nią, oboje wielką miłością do siebie zapłonęli. Miłość ta niedługo bez zwykłych sobie skutków pozostawała, chocia przez kilka miesięcy nikt niczego się nie domyślał. Jednakoż kochankowie, poczuwszy się przez to bezpiecznymi, jęli poczynać sobie mniej ostrożnie, niżby w takich okolicznościach należało.

Przechadzając się pewnego dnia po pięknym gaju, pełnym

---

<sup>262</sup> *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>263</sup> *znachodzić się* – znajdować się. [przypis edytorski]

<sup>264</sup> *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

drzew cienistych, Spina wraz z Giannottem oddzieliła się od towarzystwa i w gąszcz się zasyła. Sądząc się być dosyć oddalonymi od ludzi, usiedli w ustroniu, pełnym kwiatów i ziół i otoczonym drzewami. Tam, radościom wzajemnej miłości folgując, dłuższy czas spędzili, który przez rozkosz odczuwaną jednej chwili mgnieniem im się zdawał, aż ich zaszła matka Spiny, a za nią w ślad i Currado.

Ów, pełen rozpacz i gniewu, kazał ich bez słów trzem swoim sługom pojmać i odprowadzić w dybach do jednego z swoich zamków, sam zaś<sup>265</sup>, drżąc z wściekłości, oddalił się z zamysłem skazania ich na śmierć niesławną.

Matka Spiny, chociaż równie poburzona i przekonana, że córka jej twardej kary jest godna, poznawszy ze słów Currada, z jakim zamiarem w stosunku do winowajców się nosi, przenieść tego po sobie nie mogła<sup>266</sup>. Pośpieszyła zatem do rozgniewanego męża i jęła go błagać, aby zapamiętałości unieść się nie dozwalał i nie starał się tak pochopnie stać się pod starość zabójcą swojej córki, brukając zarazem ręce krwią swego sługi. Znajdzie się przecie inny sposób, aby gniew jego słuszny zaspokoić; można wszak wtrącić ich do więzienia, gdzie będą cierpieli, opłakując grzech popełniony.

Zacna białogłowa tak długo mężowi to przekładała, aż wreszcie odwróciła go od zamysłu zabicia ich. Currado rozkazał,

---

<sup>265</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>266</sup> *nie móc przenieść czegoś* – nie móc znieść czegoś; nie móc się z czymś pogodzić. [przypis edytorski]

aby więziono ich oddzielnie i pilnie strzeżono. Mieli przy tym mało stawy otrzymywać i różnym prywatcom podlegać, aż do czasu, gdy Currado coś o ich dalszych losach postanowi. Tak się też stało. Nietrudno sobie wystawić, jak im musiało płynąć życie wśród łez, niewczasów<sup>267</sup> i nieskończonego postu, którego potrzeby nie uczuwali. Giannotto i Spina cały rok wśród takich mizeryj spędzili, a Currado ani razu nawet o nich nie wspomniał. W tym czasie zdarzyło się, że król Piotr Aragoński<sup>268</sup> pospołu z Gianem di Procida całą Sycylię poburzył i królowi Karolowi ją wydarł. Currado, jako gibelin<sup>269</sup>, wielce się z tego radował.

Giannotto, usłyszawszy o tym od jednego ze straży, westchnął głęboko i rzekł:

– O, ja nieszczęśliwy! Już od czternastu lat błąkam się po świecie i srogą biedę cierpię, niczego tak nie oczekując, jak tej chwili, która teraz nastąpiła. I cóż mi po niej, skoro już żadnej nadziei żywić nie mogę; jestem w więzieniu, skąd zapewne nie wyjdę żywym.

– Zaliż<sup>270</sup> – zapytał strażnik – dotyczyć ciebie może, co wielcy królowie czynią? Cóż byś ty robił na Sycylii?

– Zdawa mi się – odparł Giannotto – że serce mi pęka,

---

<sup>267</sup> *niewczas* (daw.) – niewygodna. [przypis edytorski]

<sup>268</sup> *Piotr Aragoński* – znany również jako Piotr III Wielki, król Sycylii w latach 1282–1285, władzę zdobył w wyniku powszechnego powstania ludności przeciwko Andegawenom, znanemu jako nieszpory sycylijskie. [przypis edytorski]

<sup>269</sup> *gibelini* – stronnicy władzy cesarskiej we Włoszech, przeciwnicy stronnictwa gwelfów. [przypis edytorski]

<sup>270</sup> *zaliż* (daw.) – czyż. [przypis edytorski]

ilekroć pomyśle, kim tam był niegdyś mój rodzic. Chocia byłem dzieckiem wówczas, gdyśmy ucieczką się salwowali<sup>271</sup>, przecie pamiętam, że za życia króla Manfreda ojciec mój wielki urząd sprawował.

– Kim był twój ojciec? – zapytał strażnik.

– Kim rodzic mój – odparł Giannotto – mogę już teraz jawnie to wyznać, popadłem już bowiem w to niebezpieczeństwo, którego lękałem się, gdybym był się zdradził. Zwał się on (i zwie się, jeśli jest jeszcze przy życiu) Arrighetto Capece, ja zaś jestem nie Giannottem, jeno<sup>272</sup> Giusfredim. Nie wątpię, że gdyby mnie z więzienia wypuszczono i gdybym na Sycylię się udał, na jakiś urząd znamienity zostałbym tam zaraz wysadzony.

Strażnik, o nic więcej się już nie rozpytując, doniósł o wszystkim Curradowi. Currado, chocia udał, że go nic losy więźnia nie obchodzą, przecie pośpieszył do Beritoli i zapytał ją, zali miała z Arrighettem syna, imieniem Giusfredi? Beritola odparła z płaczem, że jeśliby starszy z jej synów przy życiu się znajdował, zwałby się Giusfredi i miałby teraz dwadzieścia dwa lata.

Currado, usłyszawszy o tym, upewnił się, że więzień jest prawowitym Giusfredim, i rozważył, że skoro tak jest, może spełnić czyn wielkiego miłosierdzia, a zarazem zmazać plamę na czci swojej córki, dając ją w stadło Giannottowi. Dlatego też

---

<sup>271</sup> *salwować się* (z łac.) – ratować się. [przypis edytorski]

<sup>272</sup> *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

kazał go tajnie do siebie przywołać i szczegółowie<sup>273</sup> wypytywać się go począł o całą przeszłość jego. Mając już dostateczne dowody, rzekł:

– Wiesz, Giannotto, jak ciężką zniewagę mi uczyniłeś przez osławę córki mojej. Odnosiłem się do ciebie zawsze łaskawie i przyjaźnie, ty zaś, jak na sługę pocziwego przystało, winieneś być czci mojej i mego dobra strzec. Zaiste, wielu ludzi, gdybyś im podobne plugastwo wyrządził, na śmierć niesławną by cię skazało, ja jednakże, mając serce litosne, nie byłem zdolny uczynić tego. Otóż, ponieważ jesteś, jak twierdzisz, synem szlachetnych rodziców, pragnę utrapieniom twoim koniec położyć i jeśli ty też tego zechcesz, wydobyć cię z opresyj, wśród których pozostajesz, i w jednym oka mgnienu sobie i tobie honor powrócić. Spina, z którą niegodny jej ani ciebie związek miłosny cię łączył, jest wdową, mającą uczciwe wiano. Jakie są jej obyczaje i kto jest jej matką i ojcem, sam wiesz najlepiej. O twoim dzisiejszym stanie nie rzeknę nic. Jeśli zatem chcesz, Spina, która twoją miłośnicą była, stanie się twoją prawą małżonką, a ty pozostaniesz przy mnie, niby mój syn rodzony.

Siły Giannotta długie więzienie bardzo nadwątliło, aliści<sup>274</sup> duch jego, od urodzenia szlachetny, wcale nie osłabł, tak jak i gorąca miłość, którą dla córki markiza żywił. Chociaż z całej duszy pragnął tego, co mu Currado ofiarował, i widział, że jest w jego ręku, przecie ani na krok nie cofnął się przed

---

<sup>273</sup> *szczegółowie* – dziś popr. forma: *szczegółowo*. [przypis edytorski]

<sup>274</sup> *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

wypowiedzeniem tego, co wielkość jego ducha powiedzieć mu kazała.

– Currado – rzekł – ani chciwość władzy i pieniędzy, ani inna jakaś przyczyna nie skłoni mnie nigdy do tego, abym na życie i mienie twoje dybał zdradziecko. Pokochałem twoją córkę, kocham ją i zawsze ją miłować będę, bowiem poczytuję ją za godną miłości mojej. Jeśli, wedle pospolitego mniemania, niezbyt przystojnie sobie z nią poczynałem, to popełniłem jeno<sup>275</sup> grzech, który zwykle z młodością chadza w parze, tak iż aby go wykorzenić, trzeba by i młodość ze świata zgładzić. Gdyby ludzie sędziwi zechcieli przypomnieć sobie, że i oni niegdyś młodymi byli, i gdyby cudze błędy swoimi mierzyli, nie byłiby tak surowi i twardzi jak ty i inni. Popełniłem ten występki nie jako wróg, lecz jako przyjaciel. To, co mi teraz ofiarowujesz, zawsze było moim pragnieniem. Jeślibym na szczęśliwy skutek mych starań mógł liczyć, już dawno o rękę Spiny bym cię prosił. Szczęście jest mi dzisiaj tym droższe, im się mniej go spodziewałem. Jeśli jednak w duszy masz co innego, niż to w słowach okazujesz, proszę, nie oszukuj mnie nadzieją kłamliwą, pozwól mi wrócić do więzienia i rób tam ze mną, co chcesz. Tak miłuję Spinę, że przez miłość dla niej i ciebie miłować będę, a choćbyś mi największe katusze zadał, zawsze cię będę miał w zachowaniu i czci.

Currado, usłyszawszy te słowa, zadziwił się wielce, poznał godność i wielkoduszość młodzieńca, przekonał się o jego

---

<sup>275</sup> jeno (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

gorącej miłości do Spiny, tym bardziej więc go sobie upodobał. Zatem wstał, schwycił go w objęcia, ucałował i nie mieszkając<sup>276</sup> rozkazał przywołać Spinę. I ona w więzieniu wielce się zmieniała: wychudła, pobladła i opadła z sił tak, iż równie jak i Giannotto innym człowiekiem być się zdawała. W przytomności<sup>277</sup> Currada, z nieprzymuszonej woli zaręczyli się z sobą wedle miejscowego obyczaju. Potem w ciągu kilku dni, gdy jeszcze nikt o niczym nie wiedział, Currado rozkazał posyłać oblubieńcom wszystko, czego by potrzebowali lub co by im przyjemność sprawić mogło. Gdy zaś mu się zdawało, że nadeszła pora, aby i matkom pociechę sprawić, przyzwał do się żonę i Cavriuolę i z takimi słowy do nich się obrócił:

– Co byście rzekli, pani, gdybym wam powrócił starszego syna waszego, już jako męża jednej z moich córek?

Na to Cavriuola odparła:

– Mogłabym wam tylko rzec, że wdzięczna bym wam była przez całe życie jeszcze bardziej, niż jestem, jeśli to możliwe. Powrócilibyście mi to, co mi jest droższe nad życie własne, i moje zgasłe nadzieje na nowo ożywili.

Tu umilkła i zapłakała. Wówczas Currado do swojej żony się obrócił:

– Cóż byś rzekła, gdybym takim zięciem cię obdarzył?

– Nie tylko mąż z tak szlachetnego rodu – odparła markiza – ale i najniższej kondycji miłym mi będzie, jeżeli tylko tobie do

---

<sup>276</sup> *nie mieszkając* (daw.) – nie zwlekając. [przypis edytorski]

<sup>277</sup> *w przytomności* (daw.) – w obecności. [przypis edytorski]

serca przypadnie.

– Tedy – rzekł Currado – wkrótce wam wielką radość sprawię. Stwierdziwszy, że młodzi odzyskali już dawny wygląd, Currado zapytał Giusfrediego:

– Nieprawdaż, że do zupełnej szczęśliwości tylko ci matki twojej brakuje?

– Niestety – odparł Giusfredi – nie wierzę, żeby srogiego losu dopuścił do grobu wtrącić jej nie miały. Gdyby jednak przy życiu się znajdowała, byłbym nad wyraz szczęśliwy. Dzięki jej radom odzyskałbym też, jak sądzę, część znaczną moich majątkości na Sycylii.

Wówczas Currado obie białogłowy przywołał. Niemało też uradowały się na widok oblubienicy i nie mogły pojąć, jaki to dobry duch Currada do takiej łaskawości przywiódł, że zezwolił on na ślad córki z Giannottem.

Tymczasem Beritola, mając w pamięci słowa Currada, jęła<sup>278</sup> się baczniej młodzieńcowi przyglądać. Jakaś tajemnicza siła ożywiła w jej pamięci dziecinne rysy jej syna. Nie czekając na inne dowody, rzuciła się w ramiona Giusfrediego. Zbytek radości i czułości matczynej jednego słowa przemówić jej nie dozwolił, tak ją przy tym siły opuściły, że prawie jak martwa w ramionach syna leżała. Chociaż Giusfredi był całkiem osłupiały, przecie przypomniał sobie, że nieraz tę białogłową w zamku widywał, nie poznając jej wcale. Ale głos krwi niezwłocznie dał mu poznać matkę i teraz wyrzucał sobie to zaniedbanie, trzymając

---

<sup>278</sup> *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

ją zapłakaną w ramionach i całując gorąco jej ręce.

Gdy już Beritola, dzięki staraniom markizy i Spiny, które wodą jej twarz orzeźwiły, innych nie szczędząc zabiegów, do utraconych zmysłów przyszła, znowu schwyciła syna w ramiona, płacząc z radości i pieszczone słowa szepcząc. Pełna macierzyńskiej czułości, całowała go bez końca, a on pieszczotom tym się poddając patrzył na nią uszczęśliwiony. Powtórzyły się kilkakrotnie te uniesienia powitalne, a wszyscy przytomni, widząc to, wielką radość odnieśli.

Gdy syn i matka już sobie nawzajem o swoich przypadkach opowiedzieli, Currado oznajmił przyjaciółom o małżeństwie swojej córki i rozkazał przygotować wszystko do świetnej uczy.

– Currado – rzekł doń Giusfredi – wiele radości mi przysporzyliście i przez długi czas matkę moją mieliście w czci należnej: abyście zaś teraz nie poniechali niczego, co w waszej mocy leży, proszę was, uradujcie matkę moją i uświetnijcie uroczystość weselną przytomnością<sup>279</sup> brata mego, którego jako sługę niejaki Guasparrin d’Oria w domu swoim trzyma. Ów, jak wam już nadmieniałem, mnie i jego na morzu uprowadził. Krom<sup>280</sup> tego poślijcie kogoś na Sycylię, aby dowiedział się, co dzieje się w tym kraju, i zasięgnął języka o moim rodzicu Arrighetto: żyw on li czy też martwy, a jeśli żyw, to w jakim znajduje się stanie?

Ta prośba Giusfrediego wielce do serca Curradowi przypadła;

---

<sup>279</sup> *przytomność* (daw.) – obecność. [przypis edytorski]

<sup>280</sup> *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

nie mieszkając<sup>281</sup> wyprawił kilku rozumnych ludzi do Genui i na Sycylię. Ten, co do Genui się udał, odnalazłszy Guasparrina, jął go prosić w imieniu Currada, aby mu wydał Scacciata i jego mamkę. Opowiedział mu zarazem szczegółowie<sup>282</sup> o wszystkim, co Currado w stosunku do Giusfrediego i jego matki uczynił. Messer Guasparrin, to usłyszawszy, wielce się zadziwił i rzekł:

– Dla zadowolenia Currada gotów jestem uczynić wszystko, co mogę. W samej rzeczy w domu moim już od czternastu lat żyje chłopiec, o którym mówicie, a także jego mamka. Ochotnie odeślę ich Curradowi. Powiedzcie jednak swemu panu, żeby miał się na baczności i nie dawał wiary baśniom Giannotta, który twierdził, że się zowie Giusfredi. Jest to bowiem większy frant, niżby ktokolwiek myślał.

To rzekłszy, godnie przyjął wysłańca, a potem kazał przyzwać tajnie mamkę i o wszystko ją się wypytał. Mamka usłyszawszy, że na Sycylii wybuchło powstanie i że Arrighetto żyje, pozbyła się wszelkiej trwogi i opowiedziała mu po kolei wszystko, wyjaśniając zarazem przyczyny, dla których w ten, a nie inny sposób sobie poczyniała.

Messer Guasparrin poznawszy, że słowa mamki zgadzają się całkiem ze słowami wysłańca, począł niejaka wiarę do wszystkiego tego przykładać, jednakoż, jako człek wielce chytry, na wszelkie sposoby wypytał jeszcze o rozliczne szczegóły. Wszystko wszakże coraz bardziej prawdę tej

---

<sup>281</sup> *nie mieszkając* (daw.) – nie zwlekając, nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

<sup>282</sup> *szczególwie* – dziś popr. forma: *szczególwo*. [przypis edytorski]

historii potwierdzało. Wówczas, zawstydzony się swego złego obchodzenia się z chłopcem, w nagrodę dał mu za żonę jedną z pięknych córek swoich i obdarzył ją znacznym wianem, wiedział bowiem, kim był i jest Arrighetto. Dzieweczce dopiero jedenasty rok życia minął. Po świetnej uroczystości on sam z młodzieńcem, córką, mamką i wysłańcem Currada wsiadł na niewielką, lecz zbrojną galerę. Popłynęli do Lerici<sup>283</sup>, gdzie ich Currado przyjął. Później udali się do jego pobliskiego zamku, gdzie wspaniała uczta już na nich czekała. Nie można słowami wyrazić, jaka była radość matki oglądającej swego syna, szczęście obu braci i mamki, ich wesele na widok Guasparrina i jego córki, a także uciecha Guasparrina z ich przytomności<sup>284</sup> oraz powszechna szczęśliwość wszystkich pospołu z Curradem, jego żoną, synami i przyjaciółmi.

Dla dopełnienia tej radości podobało się jeszcze Bogu, hojnemu i szczodremu dawcy, przesłać im radosne wieści o pomyślnym stanie Arrighetta Capece. W czasie uczty, gdy liczni zaproszeni goście dopiero pierwszą potrawę spożywali, zjawił się poseł przybywający z Sycylii i oznajmił, że Arrighetto, do więzienia przez króla Karola wtrącony, uwolniony został przez lud, który po wybuchu powstania na wyspie rzucił się na więzienia, wyciął w pień straż i obwołał Arrighetta, jako głównego wroga króla Karola, swoim wodzem. Pod jego

---

<sup>283</sup> *Lerici* – miejscowość w regionie Liguria w północnych Włoszech. [przypis edytorski]

<sup>284</sup> *przytomność* (daw.) – obecność. [przypis edytorski]

rozkazami wyrżnięto i przegnano Francuzów. Za ten czyn król Piotr do największej swej łaski Arrighetta przypuścił, powracając mu wszystkie utracone dobra, tak iż nie zbywa mu na niczym<sup>285</sup>. Poślaniec dodał, że Arrighetto przyjął go godnie i że wielce się uradował z wieści o żonie i synach, o których nie wiedział nic od czasu swego uwięzienia; wysłał także w ślad za nim fregatę z gronem dworzan, którzy wkrótce tu przybędą. Słów wysłańca z wielką radością wysłuchano. Potem Currado w otoczeniu swych ludzi ruszył na spotkanie dworzan, posłanych po Beritolę i Giusfrediego, i przywiódł ich na ucztę, której jeszcze do końca daleko było. Beritola, Giusfredi i wszyscy pozostali przyjęli ich z taką radością, o jakiej dotychczas na świecie nie słyszano. Dworzanie, zanim za stołem zasiedli, pokłonili się Curradowi i jego małżonce i w najgorętszych słowach, w imieniu Arrighetta, za pomoc okazaną Beritoli i jego synowi dank<sup>286</sup> mu złożyli, wraz z zapewnieniem wszelkich służb swego pana. Później obróciwszy się do Guasparrina (dla którego było to niespodzianą łaskawością), rzekli, iż są upewnieni, że skoro Arrighetto uzna o dobrodziejstwie okazanym Scacciatowi, to odpowie mu równym albo i większym jeszcze dobrodziejstwem. Potem jęli wesoło ucztować, wznosząc okrzyki na cześć dwu par nowo poślubionych. Currado jeszcze przez wiele dni zięcia swego, krewniaków i przyjaciół gościł. Wreszcie Beritola, Giusfredi

---

<sup>285</sup> *nie zbywać na niczym* – nie brakować niczego. [przypis edytorski]

<sup>286</sup> *dank* (daw., z niem.) – podziękowanie, wyrazy wdzięczności. [przypis edytorski]

i inni postanowili odjechać. Żegnani łzami Currada i jego małżonki a także Guasparrina, wsiedli na fregatę pospołu ze Spina. Mając wiatr pomyślny, wkrótce do brzegów Sycylii przybyli, gdzie Arrighetto z taką świetnością powitał w Palermo i synów, i niewiasty, że tego wysławić nie lza<sup>287</sup>. Jak powiadają, długo jeszcze żyli wszyscy szczęśliwie, przyjaźnie, pomnąc o Bogu, który im tyle dobrodziejstw wyświadczył”.

---

<sup>287</sup> *nie lza* – nie można; tu: nie sposób. [przypis edytorski]

## Opowieść siódma. Alatiel, narzeczona króla Algarbii

Babiloński sułtan oddaje w zamęcie córkę królowi Algarbii. Wskutek różnych przypadków, w ciągu czterech lat przechodzi ona w różnych miejscach przez ręce dziewięciu mężczyzn. W końcu, zwrócona ojcu jako dziewica, znowu posłana zostaje królowi Algarbii, aby się stać jego żoną.

Gdyby opowieść Emilii była się jeszcze nieco przeciągnęła, litość, jaką młode damy dla nieszczęść Beritoli odczuwały, ani chybi, zapłakać by im kazała. Gdy jednak opowieść do kresu dowiedziona została, królowa wyraziła życzenie, aby Panfilo dalej opowiadał. Panfilo tedy<sup>288</sup> posłusznie zaczął w te słowa:

– Trudno odgadnąć, miłe damy, co nam pożytek przynosi. Wielu mniema, że wzbogaciwszy się mogliby żyć bez trosk i w szczęśliwości, dlatego też nie tylko proszą o to Boga w modlitwach, ale i uporczywie, trudów i wysiłków nie szczędząc, bogactwo to zdobyć się starają. Gdy jednak już cel swój osiągną, zaraz znajdują się ludzie, co z żądzy na wielkie dziedzictwo życia ich pozbawiają, które tak miłowali nawet wtedy, gdy nie byli jeszcze bogaci. Inni z podłego stanu idąc, przez tysiące niebezpieczeństw, krew braci i przyjaciół,

---

<sup>288</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

na stopnie tronu się wznoszą, mniemając, że tam największa szczęśliwość stanie się ich udziałem. Jednakoż spostrzegają, że życie możliwych tego świata pełne jest niezliczonych trosk i trwóg, a nieraz także dowodnie na sobie się upewniają, że z królewskiego pucharu truciznę wypić można. Siła<sup>289</sup> było na świecie tych, co gorąco pragnęli mocy i piękności ciała swego albo marzyli o zwierzchnich życia ozdobach, a upewnili się, że ich pragnienia złe były, dopiero wówczas, gdy stały się one przyczyną ich zguby lub mizeryj wszelakich. Nie będę tu mówił szczegółowie<sup>290</sup> o wszystkich ludzkich dążeniach, twierdząc jeno<sup>291</sup> i za pewne to trzymam, że nie masz ani jednego, o którym by powiedzieć można, że jest ono bezpieczne od losów niestatku<sup>292</sup> i że śmiertelni je wybrać powinni. Jeżeli chcemy trafnie postępować, musimy przyjmować i zachować to, co Bóg nam zsyła. Bóg jeden wie dobrze, czego nam trza, i On nam posłać to może. Gdy mężczyźni grzeszą pragnieniem o władnięcia wielu rzeczami, wy, białogłowy, grzeszycie przede wszystkim żądzą piękności. Nie wystarcza wam uroda, której natura wam udzieliła. Pragniecie ją jeszcze osobnymi kunszty podnosić.

Dlatego też chcę wam opowiedzieć o pewnej Saracence<sup>293</sup>,

---

<sup>289</sup> *siła* (daw.) – wiele, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>290</sup> *szczególwie* – dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

<sup>291</sup> *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

<sup>292</sup> *niestatek* – niestateczność, zmienność. [przypis edytorski]

<sup>293</sup> *Saraceni* – jedno z daw. plemion arabskich; w średniowieczu nazwa odnosiła

która na swe nieszczęście wielką pięknnością celowała. Dzięki tej urodzie przez cztery lata dziewięć razy na nowo wesele odprawiać musiała.

„W dawnych czasach sułtanem Babilonu<sup>294</sup> był Beminedab, któremu jak najlepiej wszystko się wiodło. Miał on wiele dzieci, a pomiędzy nimi jedną córkę, zwaną Alatiel. Piękność jej, wedle słów każdego, co ją widział, zaćmiewała urodę wszystkich białogłów żyjących wówczas na świecie. W wojnie, jaką sułtan toczył z Arabami, którzy tłumnie napadli na niego, wielką pomoc okazał mu król Algarbii<sup>295</sup>. Gdy ów w nagrodę za usługi swoje poprosił, aby sułtan dał mu Alatiel za żonę, Beminedab nie mógł mu tego odmówić. Wyprawił Alatiel do króla z odpowiednią świtą, z dam i mężów złożoną, z mnóstwem drogocennych sprzętów, na dobrze zbrojnym i we wszystko opatrzonym okręcie. Wprzód opiece boskiej ją polecił. Marynarze, widząc, że pogoda sprzyja, rozpięli żagle, opuścili port w Aleksandrii i przez kilka dni szczęśliwie płynęli. Minęli już Sardynię i sądzili się być bliskimi celu swej podróży, gdy nagle podniosły się gwałtowne i przeciwnie wiatry, które okrętem księżniczki tak miotać jeły<sup>296</sup>, że wszyscy nadzieję ratunku

---

się do wszystkich muzułmanów, a w szczególności do tych, którzy walczyli z chrześcijanami. [przypis edytorski]

<sup>294</sup> *Babilon* – największe miasto staroż. Mezopotamii; dzięki wzmiance o mieście pod panowaniem islamskim, możemy datować czas akcji na między VII. a X w. n.e. [przypis edytorski]

<sup>295</sup> *Algarbia* – dziś Algarvia, płd.-wsch. część Portugalii. [przypis edytorski]

<sup>296</sup> *jać* (daw.) – zaczać. [przypis edytorski]

stracili. Mimo to majtkowie, jako ludzie dzielni, walczyli bez przerwy z burzliwymi żywioły<sup>297</sup>. Dwie doby wichry szalały, na trzecią noc rozpętała się okrutna burza. Załoga okrętu nie wiedziała, gdzie się teraz znajduje, i nie mogła tego określić ani przyrządami morskimi, ani wzrokiem. Niebo pokryło się czarnymi chmurami, niby mrokiem północnym. W pobliżu Majorki postrzegli, że okręt wody nabiera. Nie widząc już żadnego ratunku, każdy myślał tylko o sobie. Spuszczono na wodę łódź, mniemając, że większe ona bezpieczeństwo przedstawia niżli dziurawy okręt. Do łódki wsiedli dowódcy załogi. Ich śladem rzucili się hurmem i inni, a chociaż ci, co przedtem miejsca zajęli, starali się ich odegnać nożami, przecież nikt na to nie zważał. Sądząc, że uchodzą przed śmiercią, ku niej właśnie śpieszyli. Łódź, nie mogąc wśród nawałnicy wytrzymać ciężaru tylu ludzi, poszła z wszystkimi na dno. Tymczasem okrętem dalej wichry miotaly, choć był on ze wszech stron dziurawy i wody pełen. Na pokładzie znajdowała się tylko Alatiel z sługami swymi. Leżały one jak martwe, przejęte trwogą i od zmysłów odchodzące. Okręt rzucony został wreszcie przez bałwany na mieliznę przy brzegach Majorki. Zarył się w piasek z wściekłą siłą, na rzut kamieniem od brzegu. Bałwany biły oń przez noc całą, jednakże z miejsca go już ruszyć nie mogły. Gdy dzień jasny nastał i burza ucichła, ledwie żywa Alatiel podniosła głowę i jęła słabym głosem sługi przyzywać. Na

---

<sup>297</sup> z burzliwymi żywioły – dziś popr. forma N.lm: z burzliwymi żywiołami. [przypis edytorski]

próżno jednak wołała, bowiem zbyt daleko były. Nie otrzymując żadnego responsu<sup>298</sup> i nikogo nie widząc, z początku zadziwiła się, a potem okrutnie zestrzała. Dźwignęła się ostatkiem sił i ujrzała, że wszystkie jej towarzyszki nieruchomie na pokładzie leżą. To jedną, to drugą wstrząsała, aliści<sup>299</sup> niewiele z nich się ocknęło; pozostałe umarły ze strachu lub też z okrutnych bólów żołądka. To jeszcze bardziej Alatiel zatrwożyło. Czując potrzebę rady, bowiem nie wiedziała całkiem, gdzie się znajduje, przez wszystkich opuszczona, jęła tak szarpać i wstrząsać pozostałe przy życiu służki swoje, że te wreszcie podniosły się na nogi. Alatiel usłyszała, że i one nie wiedzą, co się z mężczyznami stało, i ujrzawszy, że okręt pełen wody wrył się w ławicę piasku, wraz z nimi gorzko płakać jęła. Była już dziewiąta godzina rano, jednakże na brzegu ani gdzie indziej nie pokazywał się nikt, w kim litość i chęć pomocy wzbudzić by mogły.

Około godziny dziesiątej przejeżdżał tamtędy trafunkiem<sup>300</sup>, wracając z swojej majętności, pewien młody szlachcic, Pericone da Visalgo, w otoczeniu konnych sług swoich. Ów, ujrzawszy okręt, zaraz domyślił się, w czym rzecz, i kazał jednemu ze sług dostać się nań, a potem donieść, co się tam dzieje. Sługa z trudem przebrał się na okręt i znalazł na nim urodziwą dziewczeczkę kryjącą się bojaźliwie wraz z nielicznymi towarzyszkami u dzioba statku. Zaledwie wszedł na pokład,

---

<sup>298</sup> *respons* (z łac., daw.) – odpowiedź. [przypis edytorski]

<sup>299</sup> *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>300</sup> *trafunkiem* – przypadkiem. [przypis edytorski]

zaczęły go ze łzami o litość błagać, postrzegłszy jednak, że mowy ich nie pojmuje ani też one słów jego, starały się znakami wytłumaczyć mu nieszczęsne położenie swoje. Sługa, rozejrzawszy się dobrze we wszystkim, wrócił do Pericony z doniesieniem, co widział. Pericone rozkazał natychmiast sprowadzić na ląd niewiasty wraz ze wszystkim, co im jeszcze z drogocenniejszych rzeczy pozostało, i zabrał je z sobą do zamku. Tutaj białogłowy skrzepiły nieco swoje siły wczasem<sup>301</sup> i jadłem. Pericone poznał z wspaniałych szat Alatiel i z objawów czci, z jaką się inne do niej zwracały, że musi to być dziewczeczka znacznego rodu. Chocia Alatiel była blada i po przejściach na morzu wynędzniała, przecie rysy jej oblicza nad wszystko piękne mu się wydały. Postanowił tedy<sup>302</sup>, nie myśląc wiele, że ją w stadło pojmie, jeżeli jeszcze męża nie ma, jeśli zaś ożenić się z nią nie będzie mógł, to ją swoją miłośnicą uczyni. Pericone był człowiekiem wielkiej postury i śmiałego wejrzenia. Po kilku dniach, w ciągu których ugaszczwał troskliwie Alatiel, odzyskała ona całą świeżość swoją, tak iż nad podziw piękną mu się zdała. Pericone rozpaczał jeno<sup>303</sup>, że się porozumieć z nią nie może, aby uznać, kim ona jest. Trawiony żądzą, spojrzeniami, znakami i osobliwą grzecznością starał się ją przywieść do tego, aby była powolna jego zachceniom. Ale wszystko na próżno. Alatiel nieprzystępna po dawnemu była, przez co chucie

---

<sup>301</sup> *wczas* (daw.) – odpoczynek. [przypis edytorski]

<sup>302</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>303</sup> *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

Pericone jeszcze bardziej rozgorzały. Alatiel spostrzegła to. Po kilku dniach pobytu na zamku domyśliła się już, że znajduje się między chrześcijanami, sądziła zatem, że niebezpiecznie by było odkryć godność swoją bez względu na to, w jakim jest miejscu. Zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później będzie musiała ulec woli Pericony, który siłą albo miłością swego wreszcie dopnie. W wielkoduszności serca postanowiła walczyć przeciwko złym losom swoim. Towarzyszkom swoim, z których tylko trzy przy życiu pozostały, przykazała, aby nikomu nigdy nie wyjawiały, kim są, chyba że by znalazł się ktoś, od kogo nieoczekiwana pomoc przyjść by mogła. Zakłęła je, aby strzegły swego dziewictwa, przydając, że z jej wdzięków cieszyć się będzie jeno jej prawy małżonek. Towarzyszki pochwały jej cnotliwy zamiar i obiecały, że ze wszystkich sił starać się będą o wypełnienie jej rozkazów.

Pericone tym większą chucią z dnia na dzień gorzał, im bliżej widział przedmiot swoich pragnień, których nasycić nie mógł. Widząc, że zachody ani prośby nic nie wskórają, postanowił użyć chytrego podstępu, a gwałt na ostatek zachować.

Nieraz już spostrzegł, że Alatiel szczególny smak znajdowała w winie, którego przedtem nigdy nie piła, bowiem religia tego jej zabraniała. Pericone postanowił użyć wina, najlepszego pomocnika bogini Wenus, aby owładnąć wdziękami Alatiel. Udawszy, że niewiele sobie czyni z jej odmów, wydał z jakiejś okazji pewnego wieczora wspaniałą ucztę, w której Alatiel także udział wzięła. Uczta była wesoła i gwarna. Pericone przykazał

temu, kto Alatiel usługiwał, aby podawał jej napój, utworzony z wielu gatunków wina. Sługa wywiązał się z swego zadania na schwał.

Alatiel, nic nie podejrzewając, zasmakowała w tym przyjemnym trunku i wypła więcej niż zwyczajnie.

Zapomniawszy o poprzednich swoich niedolach, stała się wesołą, a widząc, że niektóre dziewczęta tańczą taniec z Majorki, sama według aleksandryjskiego obyczaju płaść zaczęła. Pericone, ujrawszy to, nie wąpił już, że dochodzi do celu pragnień swoich. Przeciągając ucztę do późna w noc, kazał podawać wciąż nowe potrawy i napoje. Na koniec, skoro biesiadnicy się oddalili, sam odprowadził Alatiel do komnaty. Dzieweczka, bardziej rozgrzana niżli przystojnością na wodzy trzymana, rzuciła bez żadnego wstydu w jego przytomności<sup>304</sup> szatki, tak jakby Pericone był jedną z jej służek, i położyła się do łoża. Pericone, nie mieszkając<sup>305</sup>, poszedł w jej ślady. Zgasiwszy światła legł obok niej, obłapił ją ciasno i nie napotykając żadnego oporu jął<sup>306</sup> z nią igrać miłośnie. Alatiel, poznawszy, jakim to rogiem mężczyźni bodą (o czym przedtem, jako żywo, nie wiedziała), nie mogła niemal odżałować, że już dawniej na prośby Periconona nie przystała. Nie czekając, aż ją na tak słodką ucztę zaproszą, sama się często zapraszała, nie słowami co prawda, gdyż nie mogła się nimi porozumieć, lecz znakami

---

<sup>304</sup> *w przytomności* (daw.) – w obecności. [przypis edytorski]

<sup>305</sup> *nie mieszkając* (daw.) – nie zwlekając, nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

<sup>306</sup> *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

i gestami. Gdy Pericone i Alatiel w takich rozkoszach smakowali, fortuna nie będąc ukontentowana z tego, że z żony króla nałożnicę wasała uczyniła, sposobila jej inny, bardziej grozą przejmujący związek.

Pericone miał brata, dwudziestopięcioletniego młodzieńca, pięknego i świeżego jak róża. Zwał się on Marato. Alatiel niezwykle mu do gustu przypadła. Zdało mu się z jej znaków, że i ona również upodobanie do niego żywi. Myśląc, że od zaspokojenia jego chuci nic nie wstrzymuje Alatiel krom<sup>307</sup> czujności, jaką ją otaczał Pericone, uknuł występny plan, który zaraz do zbrodniczego przywiódł skutku.

W porcie miasta stał podówczas okręt napełniony towarami, które miał zabrać do Chiarenzy<sup>308</sup> w Romanii<sup>309</sup>. Właścicielami jego byli dwaj młodzi Genuńczycy. Żagle już podniesiono, oczekując pomyślnego wiatru. Marato ułożył się z Genuńczykami, że zabiorą go następnej nocy na pokład wraz z damą, którą z sobą przywiedzie.

Wszystko to uładziwszy, udał się, gdy noc zapadła, do domu Pericona, który z jego strony niczego nie podejrzewał. Wszedł niepostrzeżenie do komnat, pospołu z najbardziej zaufanymi towarzyszami, którzy mieli mu pomóc w tym przedsięwzięciu,

---

<sup>307</sup> *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

<sup>308</sup> *Chiarenza* a. *Glarentza* – średniowieczne miasto w zach. części Peloponezu, założone w XIII w. przez krzyżowców, którzy zawładnęli Księstwem Achai; było prężnym ośrodkiem handlu, utrzymując ożywione kontakty z Wenecją, Genuą i in. miastami włoskimi. [przypis edytorski]

<sup>309</sup> *Romania* – tu: wschodnie obszary cesarstwa. [przypis edytorski]

i ukrył się zgodnie z planem poprzednio ustalonym. Gdy już większa część nocy minęła, otworzył swoim współcznikom, wiedząc ich, gdzie Pericone zwykle z swoją miłośnicą sypiał. Zbiry, wtargnąwszy do komnaty, zabili Periconę, we śnie spoczywającego, i pochwycili płaczącą białogłową, grożąc jej śmiercią, gdyby tumult podniosła. Później zabrali najcenniejsze rzeczy, które pod ręką znaleźli, nie zauważeni chyłkiem wypadli z domu i na morski brzeg się przebrali<sup>310</sup>. Marato nie mieszkając<sup>311</sup> wszedł z Alatiel na pokład, towarzysze jego zasię do miasta powrócili. Marynarze, mając wiatr pomyślny, wypłynęli na pełne morze. Alatiel żaliła się równie gorzko na wtóre swoje nieszczęście, jak ongiś na pierwsze, aliści<sup>312</sup> Marato tym wisiorkiem, co mu go Bóg dał, jął ją pocieszać tak żarliwie, że wkrótce o Pericone zapomniała i do nowego miłośnika przywykła.

Już miała się za zupełnie szczęśliwą, gdy los, uważając widać, że przeszłych doświadczeń było mało, nowe nieszczęście jej zgotował. Nieraz już mówiliśmy, że Alatiel była nad podziw piękną białogłową, a do tego wielce w objęciu miłą dworną. Dwaj młodzi Genuńczycy tak się w niej rozmiłowali, że o wszystkim zapominając, na usługach i zalotach cały czas spędzali. Strzegli się jedynie, aby tych przymileń Marato nie spostrzegł. Postrzegłszy nawzajem swoje upały

---

<sup>310</sup> *przebrać się* – tu: przedostać się. [przypis edytorski]

<sup>311</sup> *nie mieszkając* (daw.) – nie zwlekając. [przypis edytorski]

<sup>312</sup> *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

miłosne i naradziwszy się potajemnie, postanowili, że razem przedmiotem miłości cieszyć się będą, tak jak gdyby miłość dzielona być mogła na podobieństwo łupu lub towaru. Ujrzeni jednak, że Marato czujnie Alatiel strzeże, przeszkadzając ich zamysłom. Pewnego dnia, gdy okręt mknął chyżo pod pełnymi żaglami, Marato stał na rufie i patrzył na morze, nic nie podejrzewając. Genuieńscy podkradli się do niego i schwyciwszy go silnie z tyłu, wrzucili do morza. Gdy okręt już się na milę oddalił, spostrzeżono dopiero, że Marato wpadł do morza. Alatiel, usłyszawszy o tym i ujrawszy, że wszelki ratunek byłby daremny, jęła od nowa żale swoje rozwozić. Dwaj Genuieńscy pocieszali ją, jak mogli, miłymi słówkami i obietnicami, chocia Alatiel i niewiele z tego wszystkiego pojmowała. Opłakiwała nie tyle stratę Marato, ile nad swoją okrutną dolą rozpaczała. Po długich przełożeniach a prośbach zdało się im, że ją wreszcie pocieszyli. Udali się zatem na stronę, aby naradzić się, kto z nich ma ją pierwszy posiadać. Każdy chciał zaraz tych słodczy zaznać, tak iż mowy o zgodzie być nie mogło. Od grubych słów i wymysłów przyszło do bójki. Schwycili za noże i mnóstwo ciosów sobie zadali, bowiem ci, co na okręcie się znajdowali, rozdzielić ich nie mogli. Jeden z walczących padł wkrótce martwy, drugi, ciężkimi ranami pokryty, przy życiu pozostał. Alatiel wielce się tym zasmuciła. Czowała się samotna, pozbawiona pomocy i rady, a do tego obawiała się, aby się na nią nie obrócił gniew krewniaków i przyjaciół obu Genuieńczyków.

Aliści prośby rannego, jak i szybkie przybycie okrętu do Chiarenzy wybawiły ją z śmiertelnych niebezpieczeństw. Wyszła na ląd pospołu z rannym i zamieszkała z nim w jednej gospodzie. Wkrótce wieść o piękności Alatiel rozeszła się po całym mieście. Słuchy o niej doszły do księcia Morei, który podówczas w Chiarenzy bawił. Książę zapragnął ją widzieć. Alatiel zdała mu się piękniejsza nad wszelkie opowiadania. Rozkochał się w niej od razu tak gwałtownie, że o niczym innym myśleć nie mógł. Usłyszawszy zaś<sup>313</sup>, jakim sposobem tu przybyła, powziął nadzieję pozyskania jej łask. Gdy nad stosownymi środkami rozmyślał, krewniacy rannego, o pragnieniach księcia uwiadomieni, niewiele myśląc, posłali mu czym prędzej Alatiel. To napęliło wielką radością księcia, a także i Alatiel, która mniemała, że już jest bezpieczna od wszelkich niebezpieczeństw. Chocia książę nie wiedział, kto ona zacz, przecie obyczaje jej szlachetne, a także niepospolita piękność wnosić mu kazały, że ze znamienitego rodu pochodzić musi; zdwoiło to miłość jego. Cześć należną jej okazując, obchodził się z nią jak z małżonką, nie jak z nałożnicą. Alatiel, zapomniawszy w obecnej pomyślności o wszystkim, co było, powróciła do przyrodzonej sobie wesołości, a wdzięki jej tak odkwitły, że w całej Romanii mówiono jeno<sup>314</sup> o jej piękności. Dlatego też młody, urodziwy i dzielny książę ateński, przyjaciel i krewniak księcia Morei, wyraził życzenie obaczenia

---

<sup>313</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>314</sup> *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

Alatiel. Pod pokrywką, że chce odwiedzić księcia, jak to nieraz czynić miał w obyczaju, z świetnym pocztem do Chiarenzy zawitał, gdzie godnie i uroczyście go przyjęto. Po kilku dniach rozmawiać poczęli o piękności Alatiel. Książę spytał, zali naprawdę jest tak urodziwa, jak o tym powszechna fama głosi.

– Jeszcze urodziwsza – odparł książę Morei – i pragnę, abyś na własne oczy o tym się przekonał.

Książę ateński ochotnie przystał na to i obaj książęta udali się do komnat Alatiel. Ta, uprzedzona o ich odwiedzinach, przyjęła gości uprzejmie, z wesołym obliczem. Posadzili ją między sobą, ale nie mogli zażyć przyjemności z rozmowy z nią, bowiem niewiele, a raczej nic wcale z mowy ich nie pojmowała. Dlatego też każdy spoglądał na nią jak na dziw albo i cud jakowyś, osobliwie zaś książę ateński, ledwo zdolny pojąć, że jest ona istotą śmiertelną. Nie spostrzegł, że gdy patrzył na nią, oczy jego upiły się jadem namiętności. Myślał, że zachwycając się nią – sobie ukontentowanie sprawia, tymczasem zaplątał się w sidła i najżywszą miłością do Alatiel rozgorzał. Opuściwszy zasię pospołu z księciem Alatiel i znalazłszy stosowną do rozmyślań chwilę, do tej myśli przyszedł, że książę jest najszcześniejszym na ziemi człowiekiem, mogąc w takim skarbie smakować do upodobania. Tysiąc myśli w nim się ścierało, wreszcie gdy szął miłosny uczciwość przemógł, postanowił wydrzeć ten klejnot księciu Morei i sam nim owładnąć, choćby i do najgorszych rzeczy przy tym przyjść miało. Pobudzany pragnieniem, nie dbając na głos rozsądku i sprawiedliwości, zamysł swój na

zdradzie i podstępnie osnuł. Pewnego dnia, skumawszy się z zaufanym sługą księcia Morei, zwanym Ciuriaci, kazał cichaczem przygotować do podróży swoje konie oraz wszystko, co mu w drodze przydatne być mogło. Gdy noc nastała, księżę ateński wraz z swym towarzyszem weszli, uzbrojeni, cichaczem do komnaty księcia, dokąd ich wpuścił ów rzeczony Ciuriaci.

Napastnicy ujrzeli, że księżę z powodu upału stoi całkiem nagi przy oknie, obrócony twarzą ku morzu, i ochładza się lekkim wietrzykiem. Alatiel spała mocnym snem. Towarzysz księcia ateńskiego, uwiadomiony wcześniej, co mu czynić należy, podkraść się do okna na palcach i uderzył księcia tak silnie nożem między żebra, iż ostrze na wylot przeszło. Potem szybko pochwycając ciało, wyrzucił je przez okno. Zamek księcia stał wysoko nad powierzchnią morza; z okna zaś tego widać było tylko kilka lepianek, zburzonych w części przyplływem fal; nikt tu prawie nigdy nie zachodził, dlatego też, jak to przewidział księżę ateński, nikt nie mógł zauważyć upadku ciała. Towarzysz księcia, obaczywszy, że zadanie skutecznie zostało, schwycił co prędzej za sznur, przygotowany uprzednio, i pod pozorem żartu zarzucił stryczek na szyję Ciuriaciego. Później zacisnął węzeł tak silnie, że sługa nawet zipnąć nie zdołał. Ateńczyk pośpieszył na pomoc swemu towarzyszowi. Dodusiwszy Ciuriaciego, ciało jego także do morza wrzucili.

Spełniwszy to i upewniwszy się, że ani dama, ani nikt inny nic nie zauważył, księżę ateński ze świecą w ręku cicho podszedł do łóżnicy i odkrył całkiem wciąż jeszcze śpiącą głęboko Alatiel.

Obejrząwszy ją szczegółowie<sup>315</sup>, słów zachwytu i podziwu nie znajdował. Jeśli podobała mu się w ubraniu, to naga nad wszelki wyraz go zachwyciła. Na ten widok, nowymi żądzami zapalony i nie powstrzymywany wspomnieniem dokonanej przed chwilą zbrodni, ze skrwawionymi rękami legł obok niej. Półsenna Alatiel, myśląc, że to księżę Morei, pieszczot mu swoich nie szczędziła.

Siła rozkoszy zażywszy, powstał i przywołałwszy kilku z swoich ludzi kazał porwać Alatiel tak, aby najmniejszego tumultu słyszeć nie było, i wyprowadzić ją tajnymi drzwiami, przez które wszedł do zamku. Jak najciszej usadzili Alatiel na konia i popędzili drogą do Aten. Ponieważ jednak księżę był żonaty, więc nie wprowadził okrutnie zasmuconej Alatiel do miasta, jeno<sup>316</sup> umieścił ją w jednej z swoich nadmorskich posiadłości, w pobliżu Aten leżącej. Trzymał ją tam w tajności, przykazawszy, aby na niczym jej nie zbywało.

Następnego dnia dworzanie księcia Morei aż do dziewiątej czekali na jego obudzenie się, jednakoż, najmniejszego szmeru nie słysząc, pchnęli drzwi komnaty, które jeno przymknięte były, i do środka weszli. Nie znalazłszy nikogo pomyśleli, że księżę wyruszył gdzieś w tajemnicy wraz z swą damą, aby dni kilka na swobodzie i w radości spędzić; uspokoili się przeto i już się nie turbowali. Następnego dnia jednak zdarzyło się, że pewien człek na umyśle pomieszany wszedł między rudery,

---

<sup>315</sup> *szczegółowie* – dziś popr. forma: *szczegółowo*. [przypis edytorski]

<sup>316</sup> *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

gdzie leżały ciała księcia Morei i Ciuriaciego, wyciągnął zwłoki sługi i jął<sup>317</sup> je na stryczku wlec za sobą. Z wielkim zdziwieniem wiele osób rozpoznało trupa, a wówczas przymilaniem się skłoniono głuptaka, by wskazał miejsce, skąd zwłoki wydobył. Tam, ku boleści całego miasta, także i trupa księcia znaleziono. Pochowali go z należnymi honorami i jęli szukać winowajców tak zbrodniczego czynu. Spostrzegłszy nieobecność księcia ateńskiego, który w wielkiej tajności z miasta wyjechał, domyślili się, że on to zbrodnię tę popełnił i damę uprowadził. Szybko tedy<sup>318</sup> obwołali księciem brata zabitego i wezwali go najżywiej do pomsty. Ten, ugruntowawszy się w swoich podejrzeniach, dzięki różnym innym jeszcze dowodom co do winy ateńskiego księcia, wezwał swoich krewniaków, przyjaciół i poddanych, zgromadził silną armię i do wojny z ateńczykiem jął się gotować. Usłyszawszy o tym, książę ateński zebrał wszystkie siły swoje, aby wrogom dać odpór stosowny. Wielu znacznych władców przybyło na pomoc k'niemu<sup>319</sup>. Cesarz Konstantynopola posłał mu swego syna Konstantyna oraz siostrzeńca Emanuela ze znacznym wojskiem. Z należną czcią przyjął ich książę, a zwłaszcza księżna, która siostrą Konstantyna była.

Gdy tak wszyscy z dnia na dzień najścia nieprzyjaciół się spodziewali, księżna, stosowną chwilę ułowiwszy, przywołała

---

<sup>317</sup> *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>318</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>319</sup> *k'niemu* (daw.) – do niego. [przypis edytorski]

obu braci i ze łzami w oczach wyjaśniła im przyczynę wojny i całą historię szczegółowo opowiedziała przedstawiając zniewagę, jaką jej małżonek wyrządza przez związek miłosny z cudzoziemką, o czym jakoby nikt nie wie. Żaląc się wielce na to, prosiła ich, aby cześć księcia i jej pocieszenie na pieczy mieli, czyniąc, co wyda im się najbardziej stosowne. Młodzieńcy wiedzieli już o wszystkich tych zdarzeniach, dlatego też nie pytając wiele, pocieszyli, jak mogli, księżnę, napełnili jej serce nadzieją i odjechali dowiedziawszy się wprzód, gdzie Alatiel się znajduje.

Nieraz już dochodziły ich słuchy o zadziwiającej piękności Saracenki, zapragnęli tedy ją zobaczyć i poprosili księcia, aby im ją ukazał. Ów zapomniawszy, czym książę Morei za spełnienie podobnej prośby zapłacił, obiecał, że to uczyni. W samej rzeczy wydał wspaniałą ucztę w pięknym ogrodzie, znajdującym się koło domu, w którym Alatiel przebywała, i obu młodzieńców w nielicznej kompanii na nią zaprosił. Konstantyn, siedząc za stołem obok Alatiel, utkwiał w niej wzrok zachwycony i pomyślał, że podobnej piękności jeszcze nigdy na świecie nie widział. Jego zdaniem, należało rozgrzeszyć księcia, jak i każdego, kto by dla owdzięcia podobnym skarbem zdradę albo i inny plugawy czyn popełnił. Brnąc dalej, raz po raz na nią poglądał i podobał sobie w niej coraz bardziej, doświadczając tego, co i książę. Odjechał rozmiłowany w Alatiel i wszelką myśl o wojnie ostawiwszy, ją<sup>320</sup> się głowić tylko nad tym, jak by ją odjąć księciu; miał się

---

<sup>320</sup> *jać* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

jednak na baczności i niczym swojej namiętności nie zdradzał. Gdy tak chuciami gorzał, nadeszła pora wyruszenia w pole przeciwko wojskom nieprzyjacielskim, które już do dziedzin księcia się zbliżały. Książę bowiem, Konstantyn i pozostali, zgodnie z rozkazem, opuścili Ateny, aby umocnić granice i nie dopuścić, by wraża<sup>321</sup> armia w nie wtargnąć miała.

Stojąc przez kilka dni na granicy, Konstantyn ani przez chwilę o damie swej myśleć nie przestał. W przekonaniu, że teraz, gdy książę od niej się oddalił, łatwiej mu będzie zamiary swoje do skutku przywieść, postanowił do Aten powrócić pod pokrywką, że niedomaga na zdrowiu. Poruczywszy, za zgodą księcia, władzę nad wojskiem Emanuelowi, powrócił do Aten, do swej siostry. Po kilku dniach wszczął rozmowę o zniewadze, jaką jej mąż uczynił, inną mając przy sobie niewiastę, i oznajmił, że jeśli tylko zechce, on nieszczęściom jej kres postawi, wykradając Alatiel i uprowadzając ją za granice państwa. Księżna, myśląc, że Konstantyn chce to uczynić przez miłość do niej, a nie do Alatiel, odparła, że zgadza się na to ochętnie, pod tą jednak kondycją, aby książę nigdy o jej zgodzie nie uznał. Konstantyn przyrzekł jej to. Wówczas księżna rzekła, aby poczynął sobie tak, jak uważa, że będzie najlepiej. Konstantyn kazał cichaczem przysposobić lekką barcę i pewnego wieczoru podpłynął na niej pod ogród będący schronieniem Alatiel. Uświadomiwszy pozostałych na brzegu ludzi, co im działać należy, sam z kilku towarzyszami udał się do pałacu. Służba Alatiel, jako też i ona sama uprzejmie

---

<sup>321</sup> wraży – obcy. [przypis edytorski]

go powitała. Alatiel z Konstantynem w otoczeniu jej sług i jego towarzyszy wyszli do ogrodu. Tam, chcąc jakoby pomówić z damą w imieniu księcia, odwiódł ją na stronę i zaprowadził do bramy wychodzącej na morze. Jeden z jego towarzyszy już ją był otworzył; na dany znak barka się przybliżyła.

Wówczas pochwycili Alatiel i do barki ją zanieśli. Konstantyn rzekł do jej sług:

– Niech nikt się nie waży ruszyć z miejsca lub parę z gęby puścić, jeśli wam życie miłe. Nie chcę porywać kochanki księcia, jeno<sup>322</sup> uwolnić od hańby siostrę moją.

Nikt nie śmiał odpowiedzieć na to. Konstantyn z swymi towarzyszami wsiadł do barki i nie opuszczając ani na chwilę płaczącej Alatiel, kazał tęgo wiosłami robić. Barka zdawała się nie płynąć, ale lecieć, i następnego dnia o świcie przybyła do Eginy<sup>323</sup>. Wyszędłszy na ląd odpoczęli, a Konstantyn nacieszył się swą branką, która piękność swoją nieszczęsną gorzko opłakiwała. Później wsiedli z powrotem do barek i po upływie dni kilku przybyli do Chios. Obawiając się gniewu cesarza i utracenia Alatiel, Konstantyn tutaj, jako w miejscu bezpiecznym, zatrzymać się postanowił. Długo płakała Saracenka nad swą nieszczęsną dolą, aliści<sup>324</sup> gdy Konstantyn pocieszył ją niezawodnym sposobem, jęła znów znajdować upodobanie w tym, co los jej zesłał.

---

<sup>322</sup> *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

<sup>323</sup> *Egina* – gr. wyspa na Morzu Egejskim, w Zatoce Sariońskiej. [przypis edytorski]

<sup>324</sup> *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

Gdy rzeczy tym trybem szły, Osbech, podówczas królem Turków będący i w ciągłej wojnie pozostający z cesarzem, przyjechał trafunkiem do Smyrny<sup>325</sup>. Usłyszawszy, że Konstantyn wiedzie rozpustne życie z białogłową przez się pochwyconą i że przebywa w Chios bez żadnej ochrony, uzbroił kilka lekkich galer i zawinął nocą do portu. Wyszedłszy cicho z wojskiem na brzeg, wielu nieprzyjaciół w pościeli zdybał, jeszcze nim się spostrzegli, że wróg wdarł się do miasta, ci zasię<sup>326</sup>, nieliczni, co pobudzeni za broń schwycili, zaraz gardła dali. Osbech spalił całe miasto, naładował łupem okręty i z jeńcami do Smyrny powrócił.

Tam pośród niewolników spostrzegł urodziwą wielce białogłową. Uznawszy, że ją to właśnie wzięto, gdy spała z Konstantynem w jednym łożu, jako mąż młody wielce się uradował i bez zwłoki żoną ją swoją uczynił, ceremonię ślubu w łożnicy odprawiając. Później przez kilka miesięcy gorliwie jej wdzięków używał.

Nim te rzeczy się trafiły, cesarz sprzymierzył się z Basanem, królem Kapadocji, który miał z częścią swych wojsk na Osbecha uderzyć, podczas gdy on sam, cesarz, z drugiej strony na niego napadnie. Jednakoż zamysły te na niczym spełzły dla niedogodnych warunków przymierza, jakie mu Basan stawiał, a których cesarz przyjąć nie chciał. Gdy jednakże usłyszał, co

---

<sup>325</sup> *Smyrna* – duże miasto portowe u wsch. wybrzeży Morza Egejskiego; dziś: Izmir w zach. Turcji nad Zatoką Izmirską. [przypis edytorski]

<sup>326</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

się z jego synem stało, wpadł w taką turbację, że na wszystkie żądania króla Kapadocji bez zwłoki przystał, prosząc go jeno<sup>327</sup>, aby nieodwłocznie na Osbecha ruszył, sam zaś gotował się z tyłu na niego uderzyć. Osbech, o niebezpieczeństwie uwiadomiony, ściągnął wszystkie swoje wojska, zanim dwaj potężni sprzymierzeńcy mogli ująć go w kleszcze, i pośpieszył na spotkanie króla Kapadocji. Alatiel ostała w Smyrnie pod opieką a poruczeństwem wiernego sługi i przyjaciela. Osbech wnet zetknął się i starł z Basanem, kładąc głowę w bitwie. Wojsko jego zwyciężone i rozproszone zostało.

Zwycięski Basan, żadnego oporu nie spotykając, szedł na Smyrnę. Wszyscy go z wielką pokorą przyjmowali. Sługa Osbecha, Antiochem zwany, chociaż był człekiem szedziwym, przecie nie obronił się przed pięknością Alatiel, którą miał pod strażą. Rozmiałował się w niej, nie zdzierżywszy przysięgi na wierność swemu panu. Antioch znał język, jakim Alatiel mówiła. Wielce był rad z tego, a i ona nie mniej, bowiem już od lat kilku skazana była na życie głuchej i niemowy; ani ona nikogo nie pojmowała, ani jej nikt nie rozumiał. Antioch, chuciami swymi pobudzany, jał<sup>328</sup> poczynać sobie z Alatiel wielce poufale, a po kilku dniach, nie bacząc na swego pana, który wojnę toczył, wstąpił z nią nie tylko w przyjacielskie, ale i w miłosne związki. Sypiali pospołu pod jednym nakryciem i baraszkowali do woli. Usłyszawszy, że Osbech porażony i zabit i że Basan

---

<sup>327</sup> jeno (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

<sup>328</sup> jać (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

następuje, wszystko w perzynę obracając, postanowili nie czekać na niego. Zabrali z sobą drogocenne rzeczy, które Osbech zostawił, i umknęli chyłkiem na wyspę Rodos<sup>329</sup>. Tam jednakże niedługo żyli. Antioch zaniemógł i czuł się bliskim śmierci. W tym czasie przybył do Rodos pewien kupiec cypryjski, wielki przyjaciel Antiocha. Ten, widząc, że koniec jego już bliski, zaprzagnął pozostawić mu w dziedzictwie swoją majątność i umiłowaną białogłową. Odchodząc ku wieczności, przywołał ich oboje i rzekł:

– Wiem, że nadchodzi moja ostatnia godzina. Ciężko mi umierać, bowiem nigdy mi życie miłsze nie było jak teraz. Umieram jednak pełen pociechy, chociaż się bowiem z życiem rozstać muszę, konam na rękach tych ludzi, których najbardziej na świecie miłowałem, to jest na rękach twoich, miły przyjacielu, i na rękach tej białogłowej, co mi bliższa była niż życie własne, odkąd ją poznałem. Ciężko mi myśleć, że ostanie ona tutaj, na obczyźnie, sama bez pomocy i rady, aliści<sup>330</sup> wierzę, że opieką ją swoją otoczysz dla tej miłości, jaką dla mnie żywiłeś. Dlatego też zaklinam cię, abyś, skoro mi już umrzeć sądzono, wszedł w posiadanie majątności moich i aby Alatiel przy tobie pozostała. Postępuj później z nimi tak, jak to, zdaniem twoim, będzie trza dla spokojności duszy mojej. Ciebie zaś, najmilsza Alatiel,

---

<sup>329</sup> *Rodos* – wyspa na Morzu Egejskim, położona na granicy dwóch kontynentów: Europy i Azji, największa w archipelagu Dodekanezu (Sporadów Południowych). [przypis edytorski]

<sup>330</sup> *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

proszę, abyś mnie nie zapomniała po śmierci. Niechże i tam będę się mógł pochwalić, że miłuje mnie na ziemi najpiękniejsza białogłowa, jaką kiedykolwiek natura stworzyła. Jeśli mi twardo przyrzekiecie, że obie te prośby wypełnicie, zamknę oczy pełen pociechy.

Kupiec i Alatiel, słysząc te słowa, płakali gorzko. Później pocieszali go, jak mogli, i przysięgali uroczyście, że na wypadek jego śmierci postąpią zgodnie z jego wolą. Antioch umarł wkrótce i z należną czcią został przez nich pogrzebany.

Po upływie kilku dni kupiec cypryjski, załatwiwszy swoje sprawy na wyspie Rodos, zapragnął powrócić do domu na stojącym w porcie małym katalońskim korabiu. Obrócił się zatem do pięknej damy z zapytaniem, co czynić zamierza, gdyż on musi na Cypr powrócić. Alatiel odparła, że pojedzie z nim ochotnie, bowiem ma nadzieję, że przez miłość do Antiocha będzie ją uważał za siostrę i jak z siostrą z nią postępował.

Kupiec odparł, że każde jej życzenie wypełni. Chcąc zaś ochronić ją od jakiej bądź zniewagi lub krzywdy, która by ją w czasie podróży spotkać mogła, powiedział wszystkim na okręcie, że jest jego żoną. Dano im małą kajutę na tyle okrętu. Nie chcąc, aby słowa czynom się sprzeciwiały, kupiec spał z Alatiel w maleńkim łóżu. Z tego poszło – choć żadne z nich nie miało takich myśli przy opuszczaniu Rodos – że pobudzeni ciepłem łóża, zachęceni mrokiem i samotnością (a są to niemałe podniety), zapomniawszy o przyjaźni i miłości do zmarłego Antiocha, równą niemal po temu odczuwając

ochotę, jeśli się nawzajem trykać, nim jeszcze przybyli do Baffy, skąd Cypryjczyk był rodem. W Baffie Alatiel przez długi czas z kupcem żyła. Pewnego dnia przybył do Baffy za swymi sprawami pewien szlachcic, imieniem Antygon. Lat miał wiele, rozumu dużo, jeno<sup>331</sup> dostatków mało. Fortuna przeciwna mu była we wszystkim, w czym brał udział, ostając na służbie u cypryjskiego króla. Antygon, przechodząc pewnego razu koło domu, w którym Alatiel mieszkała (kupca cypryjskiego podówczas w mieście nie było, udał się bowiem z towarami do Armenii), ujrzał ją w oknie i jął przyglądać się jej uporczywie, bowiem uderzyła go jej piękność, a nie mógł przypomnieć sobie, gdzie ją już był widział. Urodziwa białogłowa, przez tak długi czas igraszką losów będąca, a teraz zbliżająca się już do nieszczęść swoich kresu, ujrawszy Antygona, poznała w nim od razu jednego ze znaczniejszych sług swego ojca w Aleksandrii. Dlatego też nagłą nadzieję powzięła, że przy pomocy tego człeka do utraconej swej królewskiej godności powrócić może. Wiedząc, że kupca w domu nie ma, kazała bez zwłoki przywołać Antygona. Gdy wszedł do komnaty, zapytała nieśmiało, zali nie jest Antygonem z Famagosty, jak się to jej zdawa? Odpowiedział, że tak, i przydał:

– Pewien jestem, pani, że was już nieraz widziałem, nie mogę jeno przypomnieć sobie, gdzie to było. Proszę was przeto, jeśli wam to przykrości nie sprawi, abyście raczyli mi odkryć, kim jesteście.

---

<sup>331</sup> jeno (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

Alatiel, usłyszawszy, że przybysz jest Antygonem, rzuciła mu się z płaczem na szyję i spytała go, zadziwionego mocno, zali jej przypadkiem w Aleksandrii nie widział? Na te słowa Antygon zaraz poznał w niej Alatiel, córkę sułtana, o której mniemano, że w morzu zginęła. Pragnął jej należną cześć oddać, ale Alatiel nie dopuściła do tego, prosząc go, aby na chwilę usiadł obok niej. Uczyniwszy zadość jej żądaniu, Antygon spytał ją z czcią w głosie, jak, kiedy, skąd do tego miejsca przybyła? Wszak w całym Egipcie za pewne to trzymają, że przed wielu już laty w morzu śmierć znalazła.

– Wolałabym, wierę<sup>332</sup>, żeby się tak stało – odparła Alatiel – nie potrzebowałabym bowiem wieść takiego życia, jakie wiodłam. I sądzę, że ojciec mój wolałby to również, o ile kiedykolwiek dowie się prawdy.

Rzekłszy to, znów gorzko płakać poczęła. Antygon rzekł:

– Nie dręczcie się i nie smućcie przed czasem, pani! Racście lepiej mi opowiedzieć wasze nieszczęścia i całe życie wasze. Ani chybi, przy pomocy bożej rzeczy pójdą tym trybem, że na wszystko zaradzenie skuteczne znajdziemy.

– Gdy ujrzałam ciebie, Antygonie – rzekła Alatiel – zdało mi się, że widzę mego ojca. Pod wpływem tego tkliwego uczucia, jakie do niego żywię, odsłoniłam ci się, chociaż mogłam się przecie ukryć przed tobą. Niewielu jest na świecie ludzi, co by mnie równie mili byli jak ty. Dlatego też, jak ojcu, wyznam ci to, co pośród największych nieszczęść moich zawsze taiłam

---

<sup>332</sup> *wierę* (daw.) – doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

przed światem. Jeżeli po wysłuchaniu mojej spowiedzi uznasz za stosowne dopomóc mi jakimkolwiek sposobem do odzyskania dawnych godności, proszę, uczynić to. Jeżeli jednak rzecz ta niemożliwa ci się wyda, zaklinam cię, abyś nikomu na świecie nie mówił, żeś mnie widział albo słyszał o mnie cokolwiek.

Rzekłszy to, opowiedziała mu z płaczem wszystkie przypadki swoje, od rozbicia się okrętu przy brzegach Majorki, aż do chwili ich spotkania. Antygon, tknięty współczuciem, zapłakał z nią razem, a po chwili namysłu rzekł w te słowa:

– Ponieważ pośród tych wszystkich przeciwności nikt nie znał prawdziwego waszego nazwiska, pani, przyrzekam wam więc, że powrócę was ojcu, jeszcze miłszą niż kiedykolwiek, a potem i żoną króla Algarbii uczynię.

Gdy Alatiel spytała, jak tego dokona, Antygon uwiadomił ją szczegółowie<sup>333</sup>, co zrobić należy. Aby zasię<sup>334</sup> z powodu zwłoki jakieś zawikłania nie wynikły, powrócił nie mieszkając<sup>335</sup> do Famagosty i stanąwszy przed królem rzekł:

– Możecie, jeżeli taka będzie wasza wola, panie, spełnić czyn wielce chlubny dla siebie, mnie zaś, co biedę w służbie waszej znoszę, bez nijakiej trudności korzyść wielką wyświadczyć.

– Jakim sposobem? – zapytał król.

– Do Baffy przybyła młoda i urodziwa córka sułtana, o której słuchy chodziły, że zginęła w morzu. Dla zachowania czci swojej

---

<sup>333</sup> *szczególowie* – dziś popr. forma: *szczególowo*. [przypis edytorski]

<sup>334</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>335</sup> *nie mieszkając* (daw.) – nie zwlekając, nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

wielu nieszczęściom podlegała, a dzisiaj w wielkim niedostatku się znajduje. Pragnęłaby ona gorąco powrócić do ojca swego. Jeżeli przystaniecie na to, aby pod moją opieką do ojca ją wyprawić, pewien jestem, że sułtan nigdy wam podobnej usługi nie zapomni, co wam cześć wielką, a mnie korzyść znaczną przyniesie.

Król, chcąc pokazać swoją naturę szlachetną, odparł, że przyzwala. Wyprawił godnie po Alatiel posłów i na dwór w Famagosta ją sprowadził, gdzie pospołu z królowną pełne wspaniałości przyjęcie jej zgotował. Gdy się jej pytano o jej zdarzenia, odpowiadała wedle wskazówek przez Antygona danych.

Po kilku dniach na jej życzenie król wysłał ją do ojca ze znaczną świtą, z mężczyzn i z białogłów złożoną, której Antygon przewodził.

Nie lza<sup>336</sup> wysławić, z jaką radością sułtan ją powitał i jakie przyjęcie zgotował Antygonowi oraz jego towarzyszom. Gdy Alatiel już nieco wczasu<sup>337</sup> zażyła, sułtan także zapragnął uznać, jak to się stało, że ocalała i że przez tak długi czas nie dała najmniejszego uwiadomienia o sobie. Alatiel, mając dobrze w pamięci pouczenia Antygona, zaczęła w te słowa:

– Dowiedz się, mój ojczy, że mniej więcej w dwadzieścia dni po moim stąd odjeździe burza strzaskała nasz okręt i wyrzuciła go nocą na brzeg zachodni w pobliżu Aiguesmortes. Co się

---

<sup>336</sup> *nie lza* – nie można; tu: nie sposób. [przypis edytorski]

<sup>337</sup> *wczas* (daw.) – odpoczynek. [przypis edytorski]

stało z ludźmi załogi znajdującymi się na pokładzie, nie wiem, przypominam sobie tylko, że za nadejściem dnia powróciłam do utraconych zmysłów. Tymczasem mieszkańcy okoliczni okręt rozbity spostrzegli. Zbiegli się ławą dla złupienia szczątków. Wyciągnęli mnie na brzeg pospołu z dwiema towarzyszkami. Biedne dziewice porwane zostały przez dwóch młodzieńców i uprowadzone, każda w inną stronę. Nie wiem, co się z nimi stało, bowiem nigdy już słuch o nich do mnie nie dotarł. I mnie także dwóch młodzieńców za włosy schwyciło; płakałam i broniłam się ze wszystkich sił. Zaciągnęli mnie do pobliskiego lasu. Nagle z lasu wynurzyło się czterech jeźdźców. Gdy prześladowcy moi ich ujrzeli, natychmiast puścili mnie, a sami rzucili się do ucieczki. Czterej konni, którzy ludźmi znacznymi mi się wydali, przybliżyli się do mnie i jęli mi mnóstwo pytań zadawać. Ja także wiele mówiłam, ale nie mogliśmy się pojąć nawzajem. Naradziwszy się z sobą, posadzili mnie na rumaka, i zawieźli do klasztoru mniszek wedle ich religii. Nie wiem, co przeoryszy powiedzieli, dość, że przyjęta zostałam nader uprzejmie. Uwielbiałam pospołu z nimi św. Stoisława w Wąwozie, do którego szczególne nabożeństwo żywią niewiasty tego kraju. Gdy już pewien czas z nimi pozostawałam i nauczyłam się trochę ich mowy, spytały mnie, kim jestem i skąd pochodzę. Wiedząc, gdzie się znajduję, i obawiając się, że gdy poznają prawdę, przegnać mnie mogą, jako że do ich religii nie należę, odparłam, że jestem córką pewnego znacznego człeka z Cypru, który mnie wysłał do przyszłego małżonka

na Krete. Na nieszczęście okręt tutaj uległ rozbiciu. Nie raz i nie dwa przy różnych okolicznościach ze strachu obyczajów ich przestrzegałam. Zapytana przez najstarszą z tych niewiast, którą nazywają przeoryszą, załibym na Cypr powrócić nie chciała, odparłam, że niczego tak nie pragnę, jak tego powrotu. Przeorysza, dbając o moją przystojność białogłowską, nie chciała mnie powierzyć nikomu z tych, co na Cypr jechali. Przed dwoma miesiącami dopiero przybyło do klasztoru kilku szlachciców Francji wraz ze swymi żonami. Jedna z nich była krewniaczką przeoryszy. Ta, usłyszawszy, że udają się do Jerozolimy, aby odwiedzić grób tego, kogo Bogiem swym zowią (zabit od Żydów, jest on tam pono pogrzebiony), poleciła mnie im, prosząc, aby mnie na Cypr do ojca odwieźli. Musiałabym długo w słowach się szerzyć<sup>338</sup>, chcąc opowiedzieć, jakimi staraniami i względami panowie ci i ich żony w czasie podróży mnie otaczali.

Wsiedliśmy na okręt i po kilku dniach przyплыliśmy do Baffy. Zatrudniło mnie to niemało, bowiem nie znałam nikogo w tym mieście i nie wiedziałam, co mam powiedzieć moim przewodnikom, którzy pragnęli mnie ojcu powrócić, jak im to poleciła czcigodna matrona. Bóg jednak, widać, ulitował się nade mną i w chwili gdyśmy do portu zawijali, posłał na brzeg Antygona. Poznałam go natychmiast i przyzwałam go, obracając się doń w naszym języku, ażeby nikt mnie zrozumieć nie mógł, i prosząc go, aby mnie tu jako córkę powitał. Pojął zaraz, w czym rzecz, wielce się z mego przybycia uradował, przyjął Francuzów,

---

<sup>338</sup> szerzyć się – tu: rozwodzić się; szeroko omawiać. [przypis edytorski]

jak mu tylko na to jego skromne środki pozwalały, a później zawiódł mnie na dwór króla Cypru. Ów przyjął mnie, a potem i do was wyprawił z taką okazałością, że tego i wysłowić nie można.

Jeśli coś jeszcze przydać trzeba, to niech dalej opowiada Antygon, który o mej historii nieraz słyszał.

– Panie mój – rzekł Antygon, obracając się do sułtana – to, coście słyszeli od księżniczki, zgadza się na wszem z jej dawniejszymi opowieściami, jako też ze słowami szlachciców i ich żon, co ją przywieźli na Cypr. O jednym tylko omieszkała wam powiedzieć, bowiem skromność przyrodzona zmilczeć jej kazała, a mianowicie o pochwałach, jakie z ust tych chrześcijan słyszałem, jej niepokalanego życia w klasztorze, szlachetnych i wzniosłych uczuć i przykładnych obyczajów. Nie uważała także za stosowne wspomnieć wam o żalu i łzach, jakie przewodnicy jej wylewali przy pożegnaniu. Gdybym chciał powtórzyć wszystko, co mówili, nie starczyłoby dzisiejszej nocy i dnia jutrzejszego. Poprzestanę jeno<sup>339</sup> na uwiadomieniu was, że pysnić się możecie z posiadania najzacniejszej i najcnotliwszej córki, jaką kiedykolwiek miał na ziemi władca, koronę na skroniach noszący (tak panowie francuscy powiadali i tak ja sam pomiarkowałem).

Sułtan, niezwykle uszczęśliwiony, wspaniałą ucztę wyprawił. Prosił także wielokroć razy Boga, aby dał mu możliwość odwdzięczenia się kiedykolwiek za usługi jego córce okazane.

---

<sup>339</sup> jeno (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

Obligowany był zwłaszcza królowi Cypru, który z wielką okazałością córkę mu odesłał. Po kilku dniach wyprawił Antygona z drogocennymi darami na Cypr. Wysłał też umyślnych z listami, w których osobną wdzięczność swoją mu wyrażał.

Następnie, pragnąc dokończyć tego, co rozpoczęte zostało, to jest połączyć córkę swoją z królem Algarbii, wyjaśnił mu wszystko i w liście napomknął, że jeśli ją chciał za żonę, to niechaj po nią przyśle.

Król wielce się z tego uradował, wyprawił po narzeczoną świetne poselstwo, a później wspaniale Alatiel na swym dworze przyjął.

Alatiel, która z ośmiu mężami może dziesięć tysięcy razy miłośnie figlowała, w łożnicę mężowską jako rzekoma dziewica wstąpiła i sprawiła, że król w to uwierzył. Żyła przy jego boku długo i szczęśliwie jako królowa. Nie darmo powiadają, że od pocałunków usta nie bledną, a raczej odnawiają się jak księżyc”.

# Opowieść ósma. Przypadki grabiego Antwerpii

Grabia Antwerpii, fałszywie oskarżony, idzie na wygnanie. Zostawia dwoje swoich dzieci w różnych miejscowościach w Anglii. Powraca ze Szkocji, nie będąc od nich poznany, i znajduje je w szczęściu i w pomyślności. Później służy jako prosty żołnierz pod rozkazami króla francuskiego. Gdy jego niewinność na jaw wychodzi, do pierwotnego swego stanu powraca.

Damy wzdychały często, słuchając opowieści o rozlicznych przypadkach pięknej Alatiel. Któż jednak mógł wiedzieć, co było tych westchnień przyczyną? Być może, poniektóre wzdychały tak nie z litości nad nieszczęściami Saracenki, lecz przez zazdrość dla jej częstych miłosnych igraszek. Ostawmy jednak na ten czas tę sprawę. Przy ostatnich słowach opowieści Panfila wszyscy śmiechem wybuchnęli. Królowa, widząc, że opowieść już skończona, obróciła się do Elizy i dalej jej ciągnąć kazała. Eliza z wesołym uśmiechem zaczęła w te słowa:

– Obszerne jest to pole, po którym się dziś przechadzamy. Każdy w szranki wychodząc mógłby nie jedną, lecz dziesięć opowieści do końca doprowadzić, tak wiele bowiem srogich i niespodziewanych zdarzeń fortuna na ludzi sprowadza. Wybrawszy jedno z nich, opowieść swoją zaczynam:

„Gdy cesarstwo rzymskie od Francuzów do Niemców

przeszło<sup>340</sup>, zrodziła się między tymi nacjami wielka nienawiść, której skutkiem uporczywa i długa wojna była. Król francuski, widząc konieczność obrony swego kraju i napaści na wroga, pospołu ze swym synem zebrał wszystkie siły swego państwa, do których dołączył jeszcze i te, co mu je krewniacy i przyjaciele przysłali, i z wielkim wojskiem na wroga wyruszył. Nim jednak to się stało, nie chcąc kraju bez rządcy ostawić, porучzył władzę nad Francją Gualtieriemu, grabiemu Antwerpii. Grabia był wielce rozumnym i szlachetnym człkiem, przyjacielem i wiernym sługą króla, a także rycerzem w sztuce wojennej zawołanym. Król i królewicz jednakowoż sądzili go sposobniejszym do trudów rządzenia niżli do czynów wojennych. Obaj ruszyli w drogę, a grabia jął<sup>341</sup> rządzić rozumnie i sprawiedliwie, nie gardząc radami królowej i jej synowej. Aczkolwiek obie te damy powierzono jego pieczy i władzy, on wszelako należną cześć im okazywał i jak do swych władczyń się do nich odnosił.

Gualtieri był mężczyzną czterdziestoletnim, wielce urodziwym i tak obyczajnym, jak tylko szlachcic i dworzanin być nim może, krom<sup>342</sup> tego był najpowabniejszym i najwdzięczniejszym rycerzem swego czasu, troskającym się

---

<sup>340</sup> *cesarstwo rzymskie od Francuzów do Niemców przeszło* – wraz z objęciem władzy w 962 r. przez Ottona I z dynastii saskiej. [przypis edytorski]

<sup>341</sup> *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>342</sup> *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

wciąż o swój urodziwy pozór<sup>343</sup> i stroje.

Gdy król wraz z synem na wojnie przebywał, grabiemu umarła żona, ostawiając mu dwoje małych dzieci: chłopca i dziewczynkę. W tym czasie Gualtieri ciągle na dworze bawił, odwiedzając królową i jej synową i rozprawiając z nimi o potrzebach państwa. Żona młodego królewicza obróciła nań swoje oczy i zważywszy jego urodę i polerowane obyczaje tkliwą miłość potajemnie do niego uczuła. Widząc się świeżą i młodą i wiedząc, że grabia bez żony ostał, sądziła, że nietrudno jej będzie miłość jego pozyskać. Nie było innych przeszkód jak wstyd, aliści<sup>344</sup> postanowiła go przemóc i odkryć Gualtieriemu szczerze tajemnicę serca swego. Pewnego dnia będąc sama, a myśląc, że czas nadszedł, posłała po grabiego, pod pokrywką, że chce się naradzić z nim nad sprawami państwa. Gualtieri, który nie podejrzewał wcale, jakie są zamysły księżniczki, przybył bez zwłoki. Jak chciała, usiadł obok niej w komnacie, gdzie byli sami, a później spytał się, dla jakiej przyczyny go przyzwała. Aliści księżniczka milczała. Wreszcie miłością pobudzona, czerwona od wstydu i cała drżąca, zaczęła mówić urywanym głosem i z płaczem na poły.

– Najmilszy mój przyjacielu i panie! Jako człek rozumny, bez trudu pojąć możecie, jak wielka jest skłonność i słabość zarówno mężczyzn, jak i białołów, zrozumiecie także, dlaczego u niewiast z większą siłą niedostatki te występują. Sprawiedliwy

---

<sup>343</sup> *pozór* – tu: wygląd. [przypis edytorski]

<sup>344</sup> *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

sędzia nie wymierzy jednakiej kary za ten sam grzech, popełniony przez różne osoby i w różnych okolicznościach. Któż nie zgodzi się na to, że biedny człek albo uboga białogłowa, którzy w pocie czoła na życie pracują, o wiele większej godni są nagany, gdy się urokom i powabom miłości poddają, niżli bogata dama, na próżnowaniu czas swój trawiąca i zwyczajna posiadać wszystko, czego zapagnie? Nikt, jak sędzę. Dlatego też mniemam, że dostatki i swoboda w znacznej mierze usprawiedliwiają kobietę, która, zbytciem otoczona, głosowi miłości ulega. Jeśli zaś wybierze nadto za przedmiot swego uczucia rozumnego i dzielnego kochanka, wydaje mi się nie tylko godną pobłażania, ale i całkiem usprawiedliwioną. Zdawa mi się, że we mnie oba te warunki się łączą, a przy tym do miłości przynaglają mnie jeszcze i inne przyczyny, jak moja młodość i nieobecność męża. Niechajże to wszystko w oczach waszych będzie wytłumaczeniem mojej gorącej miłości i niechaj was przekona, tak jak każdego rozumnego człeka przekonać winno. Gdy się tak stanie, proszę, abyście mi nie odmawiali pomocy swojej i rady. Powiem wam jeszcze, że w czasie nieobecności męża chuciom moim cielesnym ani sile miłości stosownego nie mogę dać odporu.

Jakże zresztą mogę przeciwiać się temu, czego zwalczyć nie jest w stanie nie tylko słaba białogłowa, ale i każdy z silnych mężów, których co dzień miłość zwycięża i hołduje. Pędząc życie swoje wśród dostatków i próżnowania, jako to sami widzicie, ulec namiętności musiałam. Wiem sama najlepiej, że

to rzecz sromotna, aliści, jeśli wszystko w tajności pozostanie, zaledwie mój postępek za nieobyczajny poczytać będzie można. Amor był dla mnie tak łaskawy, że nie tylko mi rozumu nie odjął przy wyborze kochanka, ale jeszcze wskazał na was, jako na człeka mojej miłości godnego. Mniemam, że się nie mylę, poczytując was za najurodziwszego, najdworniejszego i najmądrzejszego rycerza, jakiego w naszym królestwie spotkać można. Ja żywię – rzeć można – bez męża, wy bez żony ostaliście! Błagam was tedy<sup>345</sup>, w imię tak wielkiego afektu mego do was, ulitujcie się nad młodością moją, która zaiste z waszej przyczyny jak lód od ognia topnieje.

Gdy słowa te wyrzekła, łzy rzuciły się do jej oczu z taką siłą, że już nic powiedzieć nie mogła, chocia i chciała jeszcze wiele zakłęk i próśb do grabi obrócić. Skłoniła jeno<sup>346</sup> głowę, jakby zbytciem uczuć zwyciężona, i płacząc osunęła się na piersi Gualtieriego. Grabia, jako rycerz prawy, surowymi słowy zgromił tę jej namiętność bezrozumną, a widząc, że dama chce mu się rzucić na szyję, odepchnął ją i rzekł, iż prędzej da się poćwiartować lub kołem połamać, niż sobie albo komukolwiek na taką zakałę czci swego pana pozwoli.

Księżniczka, usłyszawszy to, zapomniała w jednej chwili o swojej miłości i w porywie pierwszego gniewu dumnie zawołała:

– Mniemasz, że pozwolę z podobną wzgardą moje pragnienia

---

<sup>345</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>346</sup> *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

odtrącać? Klnę się, niegodny rycerzu, który chcesz mojej śmierci, że ja ciebie pierwszej żywota pozbawię.

Rzekłszy te słowa, schwyciła się za włosy, potargała je, a później rozerwała na sobie szaty i jęła<sup>347</sup> krzyczeć z wszystkich sił:

– Na pomoc, na pomoc! Grabia Antwerpii gwałt mi zadać pragnie!

Grabia, obawiając się podłej zawiści dworaków więcej niżli czystego sumienia swego i wiedząc, że oskarżeniom księżniczki łatwiej uwierzą niż jego niewinności, opuścił co żywo komnatę i pałac i uciekł do swego domu. Tam, nie tracąc po próżnicy czasu, dziatki swoje na konia wsadził, sam na siodło wskoczył i pomknął jak wicher w stronę Calais.

Tymczasem na krzyki księżny zbiegła się siła<sup>348</sup> ludzi. Ci, ujrawszy ją w takim nieładzie, nie tylko słowom jej uwierzyli, ale krom<sup>349</sup> tego, przypomniawszy sobie układność, dworność i frantostwo grabi, ku tej myśli przyszli, że rycerz od dawna już do tego haniebnego celu zmierzał.

Rzucili się więc pełni gniewu na dom Gualtieriego, aby rycerza uwięzić. Nie znalazłszy go, ograbili całą jego majątność i dom z ziemią zrównali. Wieść o tym zdarzeniu doszła w końcu do króla i jego syna pośród wojska. Ci, zapaleni gniewem, skazali grabię wraz z jego potomstwem na wieczne wygnanie i wielką

---

<sup>347</sup> *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>348</sup> *siła* (daw.) – dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>349</sup> *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

naprawdę przyrzekli temu, kto go dostawi żywym lub umarłym.

Tymczasem Gualtieri, zrozpaczony tym, że z niewinnego, na skutek swej ucieczki, stał się przestępcą, zdażył przebrać się<sup>350</sup> wraz z dziećmi do Calais, nie będąc od nikogo poznany, a wkrótce potem dostał się do Anglii. Wdziawszy na się wielce nędzne szaty, przybył do Londynu. Nim wszedł do miasta, zalecił dzieciom swoim dwie rzeczy: cierpliwość w znoszeniu nędzy i nieszczęść, w które los wraz z nim niewinnie je wtrącił, i tajemnicę najściślejszą przed wszystkimi, skąd pochodzą i kto jest ich rodzicem, jeżeli tylko życie im jest miłe. Syn Gualtieriego liczył zaledwie dziewięć lat; córka, zwana Violantą, nie więcej jak siedem. Mimo tak młodego wieku dzieci pojęły wybornie pouczenie ojca i dowiodły tego później czynami. Gualtieri postanowił, że lepiej będzie, jeśli dzieciom zmieni imiona, dlatego też przezwał chłopca Perotto, a dziewczynę Giannetta. Przebrawszy się w łachmany podobne do tych, co je żebracy francuscy noszą, weszli do Londynu i o jałmużnę prosić jęli. Pewnego dnia, kiedy trafunkiem<sup>351</sup> znajdowali się w kościele, zdarzyło się, że pewna dama, żona jednego z marszałków króla angielskiego, wychodząc z głównej nawy, ujrzała grabiego i jego dzieci, proszących o wsparcie. Dama spytała go, skąd jest rodem i zali<sup>352</sup> to jego dzieci? Odparł, że pochodzi z Pikardii i że musiał porzucić kraj ojczysty pospołu

---

<sup>350</sup> *przebrać się* – tu: przedostać się. [przypis edytorski]

<sup>351</sup> *trafunkiem* – przypadkiem. [przypis edytorski]

<sup>352</sup> *zali* (daw.) – czy. [przypis edytorski]

z tymi drobnymi dziećmi z powodu pewnego występnego czynu, jaki popełnił jego najstarszy syn, hultaj niegodziwy. Szlachetna i tkliwa dama popatrzyła na dziewczeczkę, którą wielce wdzięczną i urodziwą znalazła, i rzekła w te słowa:

– Jeżeli się zgodzisz, przyjacielu, wezmę chętnie do siebie tę miłą dziewczeczkę, której dobrze z oczu patrzy. Gdy na uczciwą kobietę wyrośnie, zatroskam się o to, aby w stosownym czasie dobrze za mąż ją wydać i wianem obdarzyć.

Grabiemu bardzo te słowa do serca przypadły. Zaraz swą zgodę wyraził i ze łzami polecił córkę łaskom damy. Znalazłszy dobry schron dla Giannetty, postanowił nie pozostawać tu dłużej. Przeszedł całą wyspę o zebranych chlebie, pospołu z Perottem, i wreszcie przybył do księstwa Walii, srodze zmęczony, bowiem do chodzenia piechotą nie był nawykły. W księstwie Walii przemieszkiwał drugi marszałek króla, człek wielce bogaty i trzymający na swym dworze liczną służbę. Grabia ze swym synem często na dwór ten zachodził, bowiem nie skąpiono mu tam strawy. Na dziedzińcu zamku bawił się zwykle syn marszałka pospołu z synami szlachciców, biegając, skacząc i inne igraszki czyniąc. Perotto przyjmował<sup>353</sup> nieraz w tych igrach udział, taką zręczność po sobie pokazując, że w każdej sztuce innym był równy albo przed nimi brał przodek. Marszałek, przyglądający się igraszkom dzieci, wielce sobie w zręczności i zachowaniu się chłopca upodobał i zapytał, kim on by był? Odpowiedziano mu, że jest synem nędzarza, który nieraz do

---

<sup>353</sup> przyjmować udział (daw.) – brać udział. [przypis edytorski]

zamku po jałmużnę przychodzi.

Marszałek kazał żebrakowi powiedzieć, że rad by był zatrzymać jego syna przy sobie. Grabia, który o nic lepszego Boga prosić nie mógł, zgodził się na to chętnie, chocia ciężko mu było z synaczkim się rozstawać. Po czym, uspokojony o los syna i córki, opuścił Anglię i przebrał się<sup>354</sup> do Irlandii. Przybywszy do miasta Strangford, przystał na służbę do rycerza pewnego grabi za parobka i spełniał najniższe posługi, do jakich są obligowani masztalerze i inni słudzy. Nie będąc od nikogo uznany, w trudach i niewczasach<sup>355</sup> życie pędził. Tymczasem Violanta, Giannetta zwana, żyła u szlachetnej damy w Londynie, wyrastając na mądrą i wielce urodziwą panienkę. Dama, jej mąż i wszyscy, co ją znali, w osobliwym stopniu łaskami i przychylnością swoją ją darzyli. Nie było nikogo, co by pomiarkowawszy jej obyczaje, pozór i dworność nie rzekł, iż godna jest największej szczęśliwości i czci. Dama, która ją od ojca wzięła, wiedziała o nim tylko to, co on jej sam o sobie opowiedział, umyśliła więc wydać ją za mąż godziwie, lecz stosownie do jej niskiej, jak mniemała, kondycji. Aliści Bóg, sprawiedliwy sędzia dzieł ludzkich, wiedział, że szlachetna dziewczeczka niewinnie za cudzy grzech ponizona została, i dlatego całkiem inaczej ustanowił. Szlachetnej panience nie sądzone było wstąpić w stadło z człkiem podłego stanu; to, co się z nią stało, trzeba przypisać szczególnej łasce bożej. Marszałek i jego żona mieli tylko

---

<sup>354</sup> *przebrać się* – tu: przedostać się. [przypis edytorski]

<sup>355</sup> *niewczas* (daw.) – niewygody. [przypis edytorski]

jednego syna, którego czułą miłością darzyli, nie tylko dlatego, że był ich dzieckiem, ale także dla cnót jego, przymiotów, męstwa i urodzivej postaci. Ów młodzian, o sześć lat starszy od Giannetty, wdziękiem i pięknnością jej oczarowany, tak się w niej zakochał, że o żadnej innej myśleć już nie chciał. Ponieważ jednak mniemał, że jest to dziewczeczka niziuchnego stanu, nie miał śmiałości poprosić rodziców o przyzwolenie poślubienia jej, a nawet obawiał się zdradzić ze swym afektem, bowiem myślał, że go osądzą surowie za wybranie tak niegodnego przedmiotu miłości. Skryte płomienie tym większą udrękę mu sprawiały. Z tego poszło, że ciężko zachorzał. Zwołano co najtęższych medyków, aliści<sup>356</sup> ci, jakkolwiek uważnie za objawami niemocy śledzili, przecie żadną miarą wpaść nie mogli na jej właściwą przyczynę i poczęli już o uzdrowieniu wątpić. Rodzice otroka<sup>357</sup> w tak wielką boleść i melankolię popadli, że większej siły ludzkie przenieść by już nie mogły. Nie raz i nie dwa błagali go, aby im odkrył przyczynę swego cierpienia, on jednakże tylko im westchnieniami odpowiadał i mówił, iż czuje swój bliski koniec. Pewnego dnia przy łożu chorego siedział młody, wielce uczony lekarz, trzymając go za rękę i puls mierząc. W tym trakcie do komnaty weszła Giannetta, która o chorego miała troskliwe staranie przez cześć, jaką dla jego matki żywiła. Młodzieniec, ujrawszy ją, nie mówiąc ani słowa i nie zdradzając się żadnym poruszeniem, poczuł, że w sercu jego zwiększają się miłosne

---

<sup>356</sup> *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>357</sup> *otrok* (daw.) – chłopiec, młokos. [przypis edytorski]

płomienie, przez co i puls począł bić silniej niż zazwyczaj. Medyk to zaraz z wielkim zadziwieniem zauważył i w milczeniu ją<sup>358</sup> badać, jak długo trwać będzie to przyśpieszone bicie. Gdy Giannetta wyszła z komnaty, puls słabł. Wówczas zdało się medykowi, że odkrył prawdziwą przyczynę choroby. Trzymając po dawnemu chorego za rękę, kazał przywołać Giannettę, pod pozorem, że chce ją o coś zapytać. Giannetta zjawiała się nie mieszkając<sup>359</sup>; nim jeszcze przez próg komnaty przestąpiła, już puls z pierwszą mocą bić począł, a później znów po jej wyjściu osłabł. Wówczas medyk, upewniony już co do słuszności swoich podejrzeń, podniósł się i wzięwszy na stronę rodziców, rzekł do nich:

– Uzdrowienie waszego syna nie zależy od kunsztu lekarzy, spoczywa ono w rękach Giannetty, którą młodzieniec miłuje z całej duszy, jak to poznałem z różnych znaków. Ona zasię<sup>360</sup>, jak ze wszystkiego wnosić można, ani się nawet tego domyśla. Jeśli wam życie jego miłe, osądźcie sami, co wam czynić wypada.

Marszałek i jego żona ucieszyli się wielce, ponieważ wiedzieli już, jakiego środka trza użyć, aby syna ocalić. Nie było im jednak po myśli synowi za żonę Giannettę dawać. Po wyjściu lekarza udali się do komnaty chorego.

– Synu mój – rzekła matka – nigdy bym nie uwierzyła,

---

<sup>358</sup> *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>359</sup> *nie mieszkając* (daw.) – nie zwlekając. [przypis edytorski]

<sup>360</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

że będziesz mógł ukrywać przede mną jakiegokolwiek z swoich pragnień, a zwłaszcza to, które niespełnionym będąc, do takiego cię przywodzi stanu. Mogłeś być przecie pewien, że nie ma na świecie takiej rzeczy, której bym dla ciebie nie uczyniła jak dla siebie samej, choćby ona i niegodną była. Mimo żeś mi to zataił, Bóg okazał się bardziej litosny dla cię niż ty sam dla siebie, i aby cię od śmierci uchronić, ukazał mi przyczynę niemocy twojej. Wiem, że jest nią zbytek miłości, jaką żywisz do pewnej dziewczki. Nie trza ci się było wstydzić swego afektu, bez względu na to, kim by twoja wybranka była. Wiek twój miłości się domaga i powiem ci nawet, że gdybyś nie miłował, gorsze mniemanie bym o tobie miała. Zatem nie sromaj się przede mną, mój synu, jeno<sup>361</sup> szczerze wszystkie pragnienia swoje mi odkryj. Zbądź się melankolii i tej myśli przykrej, co niemoc twoją powoduje, nabierz otuchy i pamiętaj, że nie ma na świecie nic takiego, czego bym dla cię nie uczyniła, bowiem miłuję cię bardziej niż życie własne. Porzuć więc wstyd fałszywy i strach i rzeknij mi, jak i czym mogę ci w twojej miłości dopomóc? Jeżeli obaczysz, że nie uczynię wszystkiego, co w mojej mocy leży, i że do pomyślnego skutku rzeczy nie przywiode, będziesz mógł mnie nazwać najokrutniejszą matką, jaka kiedykolwiek dzieci na świat wydała.

Młodzieniec, usłyszawszy słowa matki, najpierw się ze wstydu zarumienił, lecz później pomyślawszy, że nikt skuteczniej od niej w tej sprawie mu nie dopomoże, przemógł wstyd i rzekł:

---

<sup>361</sup> jeno (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

– Jeśli, droga matko, do tych pór moją miłość skrywałem, to przyczyną tego było, iż patrząc na wielu ludzi to przeświadczenie wyniosłem, iż gdy człowiek do sędziwego wieku przychodzi, nie chce wspominać o tym, że i sam był kiedyś młodym. Aliści, widząc po waszych słowach, że jesteście pełni wyrozumienia, nie tylko nie będę przeczył temu, czego się domyślacie, lecz i szczerze wam wszystko wyznam pod warunkiem, że zdziałacie wszystko, aby swoją obietnicę, o ile to w mocy waszej, wypełnić tak, abym wrychle do zdrowia mógł powrócić.

Dama (która zamyśliwszy już coś, zbyt wierzyla w skutecznienie swoich zamysłów, chociaż niesądzone im było spełnić się w takiej właśnie postaci) ponowiła swoje zaręczenia, prosząc, aby uwiadomił ją o swoich pragnieniach, i przyrzekając, że bez odwłoki całą sprawę uładzi, zgodnie z jego życzeniem.

– Do tego stanu, w jakim mnie teraz widzicie – rzekł młodzieniec – dowiodła mnie nieszczęśliwa miłość do Giannetty. Jej piękność, obyczajność i nieśmiałość, co mi nie tylko liczyć na jej wzajemność, ale afektów swych wyznać nie dozwalała, a także obawa zdradzenia się z nią miłością przed kimkolwiek – oto co mnie w niemoc wtrąciło. Jeśli się wam nie uda dopełnić w tej czy innej postaci tego, coście mi obiecali, bądźcie pewni, że nie będę żył już długo.

Matka widząc, że teraz nie czas gromić syna, przeciwnie, że raczej otuchy dodawać mu należy, odparła z uśmiechem:

– Czyż trza było, mój synu, dla tej przyczyny aż w chorobę popadać? Bądź teraz cierpliwy, pozwól mi działać, a obaczysz,

że do zdrowia powrócisz.

Młodzieniec, pełen nadziei, zaczął wkrótce do się przychodzić; matka, wielce tym uradowana, myślała tylko nad tym, jak by spełnić daną mu obietnicę.

Pewnego dnia przywołała Giannettę i łaskawymi a żartobliwymi słowy wypytywać ją jeła, zali<sup>362</sup> ma jakiego miłośnika? Giannetta pokraśniała od wstydu i rzekła:

– Niestosowna to rzecz myśleć o miłości, gdy się jest biedną dziewczyną, wygnaną z domu i żyjącą z łaski obcych ludzi, tak jak ja.

– Jeśli kochanka nie masz – odparła dama – to my ci go znajdziemy. Będiesz z nim żyła szczęśliwie, ciesząc się swoją pięknnością. Nie przystoi przecie tak urodziwej dziewczeczce bez miłośnika ostawać.

– Szlachetna pani – rzecze Giannetta – wzięwszy mnie od ojca-nędzarza, wychowywaliście mnie jak córkę rodzoną; za to gotowa jestem być wam posłuszną we wszystkim, w tym tylko jednym nie mogę się przecie poddać waszej woli i mniemam, że dobrze tak czynię. Jeśli się wam podoba dać mi męża, jego tylko miłować będę. Z dziedzictwa przodków moich nic mi nie pozostało krom<sup>363</sup> czci, której strzec i chronić będę do końca dni moich.

Odpowiedź panienki była na wszem przeciwna życzeniom damy, która chciała dopełnić obietnicy, danej synowi, i choć

---

<sup>362</sup> *zali* (daw.) – czy. [przypis edytorski]

<sup>363</sup> *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

w głębi serca, jako wielce cnotliwa białogłowa, rację Giannetcie przyznać musiała, przecie jeszcze na niej próbowała zgodę wymóc.

– Jak to, Giannetto – rzekła – a gdyby tak sam król, który jest młodym rycerzem, pragnął się cieszyć twoją miłością, zaliżbyś<sup>364</sup> mu odmówiła?

– Król mógłby mi gwałt zadać – odparła Giannetta – ale mego przyzwolenia nigdy nie otrzymałby na nic, co by cnoście przeciwne było.

Dama, poznawszy jej niezachwiane przedsięwzięcie i wiedząc, że słowami nic nie wskóra, postanowiła ją wystawić na próbę. Rzekła synowi, że skoro do zdrowia powróci, pomieści z nim Giannettę w jednej komnacie, niechajże wówczas sam stara się ją k'temu<sup>365</sup> przywieść, aby powolna mu była, bowiem jej, matce, nie przystoi roli rajfurki odgrywać, namawiając i prosząc dziewczę, aby go względami swymi obdarzyło.

Syn jednak żadną miarą na to zgodzić się nie chciał. Stan jego zdrowia z dnia na dzień znów się pogarszać począł. Dama, spostrzegłszy to, jawnie i szczerze wszystko Giannetcie powiedziała, aliści<sup>366</sup> ta jeszcze bardziej nieustępliwą się okazała. Wówczas oznajmiła o wszystkim mężowi. Chocia im i ciężko to przyszło, postanowili dać synowi Giannettę za żonę, bowiem woleli widzieć syna żywego z nierówną mu stanem żoną niżli

---

<sup>364</sup> *zaliżbyś* (daw.) – czyżbyś. [przypis edytorski]

<sup>365</sup> *k'temu* (daw.) – do tego. [przypis edytorski]

<sup>366</sup> *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

go bez żony na marach oglądać. Tak też i uczynili. Giannetta, wielce uszczęśliwiona, gorące dzięki Bogu złożyła za to, że nie zapomniał o niej. Nie zdradziła jednakże prawdziwego pochodzenia swego i dalej za córkę Pikardczyka uchodziła.

Młodzieniec wkrótce do zdrowia przyszedł, a po zawarciu ślubu z radością najżywszą jął<sup>367</sup> używać bez przeszkód dozwolonych rozkoszy.

Perotto, który w księstwie Walii na dworze marszałka króla angielskiego pozostał, wyrósł na dzielnego młodzieńca. Z każdym dniem zyskiwał coraz większą łaskę u pana swego. Nie było na całej wyspie nikogo, co by mógł mu sprostać na turniejach, w robieniu bronią i w innych rycerskich ćwiczeniach. Dlatego też powszędy jako Perotto-Pikardczyk zasłynął. Bóg, który o jego siostrze nie zapomniał, i o nim także pomyślał. Gdy w Anglii wybuchł mór, niemal połowa mieszkańców życie utraciła, nie mówiąc już o tym, że wielu z tych, co przy życiu ostali, salwowało się<sup>368</sup> ze strachu ucieczką do innych krajów – dzięki czemu cała wyspa sprawiała wrażenie opustoszałej. W czasie zarazy umarł opiekun Perotta, marszałek, zeszli także z tego świata: jego syn, żona, bracia, siostrzeńcy i inni krewniacy. Ocalała tylko jedna córka marszałka, już dorosła, oraz Perotto. Gdy mór srożyć się przestał, dziewczeczka poszła za mąż za Perotta. Wiedziała, że jest on człowiekiem rozumnym i szlachetnym, i dlatego też, idąc za radą nielicznych

---

<sup>367</sup> *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>368</sup> *salwować się* (z łac.) – ratować się. [przypis edytorski]

sąsiadów, pozostałych przy życiu, wybrała go sobie na męża i uczyniła go panem majątności, które jej w dziedzictwie przypadły. Król angielski, uwiadomiony o śmierci marszałka i o szczególnych przymiotach Pikardczyka-Perotta, następcą zmarłego, czyli marszałkiem go mianował.

Taki był szczęśliwy los dwojga niewinnych dzieci grabiego Antwerpii, które był on porzucił jakby na pewną zgubę.

Minęło już osiemnaście lat od chwili, gdy grabia Antwerpii uszedł z Paryża. Gualtieri, żyjąc jak nędzarz przez ten cały czas w Irlandii i siła<sup>369</sup> przeciwności znosząc, wielce się zestarzał. Pragnął dowiedzieć się, co się z jego dziećmi stało, zwłaszcza że nie obawiał się już być poznanym; pozór jego był już całkiem od dawnego jego wyglądu odmienny, a dzięki nieustannym ciężkim trudom grabia czuł się krzepszym<sup>370</sup> niż dawniej, gdy to żył pośród wygod i wczasów<sup>371</sup>. Pożegnawszy się z Irlandczykiem, u którego przez tak długi czas przebywał, udał się, w nędzne przyodziany szaty, do tego miasta w Anglii, gdzie Perotta pozostawił. Dowiedziawszy się, że Perotto został marszałkiem i wielkim panem, i ujrawszy go w dobrym zdrowiu, pięknym i silnym, wielkiej radości doznał, aliści nie chciał dać się poznać synowi do tego czasu, póki nie uzna, gdzie się Giannetta znajduje. Znowu tedy<sup>372</sup> w drogę wyruszył i do Londynu przybył.

---

<sup>369</sup> *siła* (daw.) – dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>370</sup> *krzepszy* – silniejszy. [przypis edytorski]

<sup>371</sup> *wczas* (daw.) – odpoczynek. [przypis edytorski]

<sup>372</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

Tutaj, zasięgnąwszy ostrożnie wiadomości o damie, której córkę swą powierzył, zasłyszał, że Giannetta wyszła za mąż za jej syna. Na wieść o tym tak niewymowną pociechę uczuł, że wszystkie dawne przeciwności małymi mu się być wydały; znalazł bowiem swoje dzieci przy życiu, zdrowe i szczęśliwe. Żadny obaczenia córki, jał krążyć jako żebrak w pobliżu jej domu. Pewnego dnia Giachetto Lamiens (tak się zwał mąż Giannetty), ujrawszy starca-nędzarza, wielką litość do niego poczuł, i dlatego przykazał słudze do domu go sprowadzić i nakarmić go w imię miłości Chrystusa. Sługa chętnie wołę swego pana wypełnił. Giannetta obdarzyła już męża kilkorgiem dzieci, z których najstarsze ósmy rok życia liczyło. Były to najpiękniejsze i najmilsze dziatki na świecie. Obaczywszy starego grabię, w czasie gdy ten jadł wieczerzę, okrążyły go i jeły się z nim witać czule, tak jakby tajnym przeczuciem wiedzione odgadły, że jest on ich dziadem. Grabia, wiedząc, że dziatki są jego wnuczętami, hołubił je i tulił, w czym dzieci tak sobie upodobały, że mimo wołania swego preceptora odejść od niego nie chciały.

Giannetta, wołania te usłyszawszy, wyszła z komnaty i zagroziła dzieciom, że je ukarze, jeśli swego preceptora słuchać nie będą. Działki rzekły z płaczem, że chcą ostać ze staruszką, który ich bardziej miłuje niż preceptor, co usłyszawszy Giannetta i grabia serdecznie się uśmieli.

Grabia podniósł się i pozdrowił panią domu, nie jak ojciec swoją córkę rodzoną, lecz jak żebrak bogatą damę. Na widok

Giannetty wielką radość z głębi serca uczuł, aliści<sup>373</sup> ona nie poznała go wcale, bowiem do tego stopnia pozór jego się odmienił. Ów brodaty, chudy, siwy, o ciemnej barwie oblicza starzec podobniejszy był do każdego innego na świecie człowieka niżli do grabiego Antwerpii.

Giannetta, widząc, że dzieci nie chcą odejść od starca i że uderzają w płacz, gdy się je chce siłą zabrać, rzekła preceptorowi, aby je na chwilę w spokoju zostawił. Wkrótce potem wszedł do komnaty ojciec Giachetta, któremu preceptor całą historię opowiedział.

Rodzic Giachetta, będący niechętny Giannecie, rzekł:

– Ostawcie ich złemu losowi, jaki Bóg im przeznaczył. Są takimi, jakimi być powinny, zgodnie ze swym pochodzeniem. Matka ich jest córką włóczęgi i nędzarza, cóż zatem dziwnego, że lgną do żebraka?

Słowa te boleśnie zraniły grabiego. Jednakże, zważywszy ramiona, uniósł w milczeniu tę obelgę, jako i wiele innych zniewag w przeszłości znosił.

Mąż Giannetty, Giachetto, obaczył, z jaką przychylnością dzieci starca przyjmują; chociaż niezbyt mu to miłym było, przecie tak je miłował, że chcąc im łez oszczędzić rozkazał, aby starzec w jego domu pozostał, jeśli tylko do jakiej roboty się nadać będzie mógł. Starzec odparł, że pozostałby chętnie, jednakże nie zna się na niczym, jak tylko na obejściu z końmi, czym przez całe życie swoje się zajmował. Oddano mu zatem

---

<sup>373</sup> aliści (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

pod dozór jednego konia; cały wolny czas na zabawach z dziećmi spędzał. W czasie gdy los takimi drogami wiódł grabiego Antwerpii i jego dzieci, król francuski, który długi rozejm z Niemcami ustanowił, zszedł z tego świata. Na tron wstąpił jego syn, przez którego małżonkę grabia wygnany został. Gdy czas zawieszenia broni upłynął, król francuski okrutną wojnę z Niemcami rozpoczął. Angielski król, będący od niedawna jego krewniakiem, przysłał mu na pomoc liczne swoje wojska pod dowództwem marszałka Perotta i syna marszałka, Giachetta Lamien. Pospołu z tym ostatnim ruszył na wojnę dzielny starzec, to jest grabia Antwerpii. Służył on przez długi czas przy armii jako masztalerz, nie będąc od nikogo poznany. Jako człek mądry i wielką eksperyencję<sup>374</sup> w rzeczach wojennych mający, radami swymi i czynami więcej pożytku przynosił, niżby się tego po nim ktokolwiek spodziewać mógł. Zdarzyło się, że w czasie wojny królowa Francji ciężko zaniemogła. Widząc się bliską zgonu, wyrzutami sumienia nękana, wypowiedziała się szczerze ze wszystkich grzechów arcybiskupowi z Rouen, znanemu powszechnie z pobożności i zacności. Wyznała mu także ciężką krzywdę, jaką wyrządziła grabiemu Antwerpii. Cały przebieg tej sprawy opowiedziała nie tylko jemu, ale i wielu przytomnym, prosząc ich, aby wymogli na królu, by przywrócił grabiego, jeśli ten jeszcze żyje, do dawnych praw i godności, jeżeli zaś umarł, to aby dziedzictwo na jego dzieci przeszło.

Wkrótce potem królowa zesza z tego świata i z należną czią

---

<sup>374</sup> *eksperyencja* – doświadczenie. [przypis edytorski]

pogrzebana została.

Gdy król o tej spowiedzi żony swojej usłyszał, srogi żal uczuł z powodu krzywdy wyrządzonej tak szlachetnemu człowiekowi i rozkazał natychmiast w całej armii i po całym kraju obwołać, że kto mu da najmniejsze uwiadomienie o grabi lub o jego dzieciach, sowitą nagrodą obdarzony zostanie, bowiem, jak to królowa na łożu śmierci wyznała, Gualtieri nie winien jest występku, za który na wygnanie skazany został. Król postanowił zatem do pierwotnego stanu go przywrócić. Grabia, służący za prostego masztalerza, usłyszawszy o obwieszczeniu i wiedząc, że zgodne to jest z prawdą, udał się zaraz do Giachetta i poprosił go, aby z nim razem do Perotta się udał, chce im bowiem pokazać to, czego król szuka.

Gdy się zeszli we trzech, grabia, który już pragnął prawdziwe imię swe odkryć, rzekł:

– Perotto, przytomny tutaj Giachetto pojął za żoną twoją siostrę, aczkolwiek żadnego wiana nie miała. Aby jednak siostra twoja nie była bez wiana, pragnę, by on, a nie kto inny, otrzymał tę znaczną nagrodę, jaką król obiecał za otrzymane o tobie wieści. Niechaj oznajmi, że jesteś synem grabiego Antwerpii, że jego żoną jest twoja siostra, Violanta, i że ja wreszcie jestem waszym ojcem, grabią Antwerpii.

Perotto, usłyszawszy to i baczenie na starca spojrzawszy, poznał w nim swego rodzica. Rzucił mu się do nóg z płaczem, a potem objąwszy go rzekł:

– Niech będzie po tysiąc razy błogosławiona ta chwila,

w której powróciłeś do nas, mój ojciec!

Giachetto na słowa grabi i na postępek Perotta tak osłupiał i tak się uradował, że w pierwszej chwili nie wiedział, co mu uczynić należy. Jednakże nie wątpiąc, że wszystko jest prawdą rzetelną, zawstydził się za swe słowa niesprawiedliwe, z jakimi nieraz do swego masztalerza się obracał, i padł mu również ze łzami do stóp, błagając go o przebaczenie za wszelkie urazy.

Grabia, podniósłszy go, dobrotliwie mu wybaczył. Długo we trzech gawędzili, ze łzami przeszłość wspominając i z terażniejszego szczęścia się ciesząc. Giachetto i Perotto pragnęli, aby grabia zaraz w stosowne szaty się przebrał, ale Gualtieri żadną miarą na to przystać nie chciał. Domagał się, aby Giachetto pierwiej obiecaną nagrodę otrzymał i aby zaprowadził go przed króla w tym samym nędznym odzieniu, dla tym większego zawstyżenia władcy. Giachetto w towarzystwie grabi i Perotta stanął przed obliczem króla i oznajmił, że przedstawi mu grabiego i jego dzieci, jeśli tylko nagroda naznaczona go nie minie. Król natychmiast kazał przynieść podarki, których świetność zdumieniem obecnych przejęła, i polecił wręczyć mu je, gdy tylko upragnionej wiadomości udzieli. Wówczas Giachetto obrócił się i wysunąwszy przed króla swego masztalerza i Perotta rzekł:

– Oto, Wasza Królewska Mość, ojciec i syn; córki, która jest moją małżonką, nie masz tutaj, ale jeśli Bóg pozwoli, i ją wkrótce obaczycie.

Król, słowa te usłyszawszy, spojrział na Gualtieriego, a chocia

ten wielce się zmienił, przecie poznał go wreszcie. Ze łzami w oczach podniósł grabiego z klęczek, ucałował go i uściskał, Perotta zaś<sup>375</sup> z równą łaskawością przyjął.

Później rozkazał, aby grabiemu dano przystojne szaty, zbroję, rumaka i poczet sług. Rozkaz ten w mgnieniu oka wypełniono. Krom tego wiele uprzejmości Giachettowi okazał i wypytał się go o całą jego przeszłość.

Gdy Giachetto otrzymał podarki za wskazanie grabiego i jego dzieci, grabia rzekł:

– Weź te dary od szczodrego króla naszego i nie zapomnij rzec swemu ojcu, że dzieci twoje, moje i jego wnuczęta, nie pochodzą ze strony matki od żebraków i włóczęgów.

Giachetto wziął dary i wezwał do Paryża żonę swoją i matkę. Przybyła tam także żona Perotta. Dłuższy czas przebywali w Paryżu, ciesząc się wielce ze swego szczęścia razem z grabią, którego król do dawnych majątności przywrócił i do znaczniejszych jeszcze godności niż dawniej go podniósł.

Później wszyscy do domów swoich powrócili. Grabia żył w Paryżu aż do dnia swojej śmierci powszechną czcią otoczony”.

---

<sup>375</sup> *zasię* (daw.) – *zaś*, natomiast. [przypis edytorski]

# Opowieść dziewiąta. Nieszczęścia pocziwej białogłowy

*Bernabo z Genui, przez Ambrogiuola oszukany, traci fortunę i rozkazuje zabić niewinną żonę swoją. Ta salwuje się ucieczką i przebrana za mężczyznę, służy u sułtana. Znajduje wreszcie oszusta i Bernaba do Aleksandrii sprowadza, gdzie Ambrogiuolo stosowną karę ponosi, a potem wraz z mężem, ubiór kobiecy znów przybrawszy, do Genui z bogactwy<sup>376</sup> powraca.*

Skoro Eliza tą wzruszającą opowieścią z obowiązku swego się wywiązała, podniosła się królowa Filomena, piękna i słusznego wzrostu białogłowa, mająca w rysach oblicza osobliwego wdzięku wyraz, i po chwili milczenia rzekła wesołym głosem:

– Należy przestrzegać umowy z Dioneo; tylko my dwoje mamy jeszcze opowiadać. Najpierw ja swoją historię opowiem, a Dioneo niech na koniec swoją ostawi. Sam o to bowiem, jak o szczególną łaskę, prosił.

Nieraz lud powtarza to przysłowie, że kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Trudno by było dowieść, że te słowa są prawdą rzetelną, gdyby nie potwierdzały jej zdarzenia i przypadki życiowe. Owóż, idąc za postanowieniem naszym, mam możność pokazać wam, miłe damy, że ludzie prawdę

---

<sup>376</sup> z bogactwy – dziś popr. forma N.lm: z bogactwami. [przypis edytorski]

powiadają, chcę także opowieścią tą nauczyć was ostrożności wobec oszustów.

„W pewnej gospodzie w Paryżu zebrało się kilku zamożnych kupców włoskich, przybyłych do tego miasta dla różnych spraw.

Pewnego dnia, po wesoło spożytej wieszery, gawędzili o tym i o owym. Z jednego przedmiotu rozmowy na drugi przechodząc, jęli wreszcie mówić o swoich żonach, które w domu pozostały. Jeden z nich rzekł:

– Nie wiem, wierę<sup>377</sup>, co moja żona teraz robi, to jeno<sup>378</sup> wiem dobrze, że ja, gdy mi wpada w ręce jakaś urodziwa dziewczeczka, pozostawiam na stronie miłość, jaką żonie winienem, i używam rozkoszy z tą, która mi ją daje.

– Ja także tak czynię – rzekł drugi. – Czy będę, czyli też nie będę myślał o tym, czy moja żona przyjemności zażywa, czy jej będę ufał, czy też nie, na jedno to wyjdzie, bowiem, jeśli zechce, i tak jej na wodzy nie utrzymam. Lepiej tedy<sup>379</sup> z góry pięknym za nadobne odpłacić.

Trzeci był podobnego zdania. Słowem, wszyscy przytomni<sup>380</sup> zgodzili się na to, że ich żony nie marnują po próżnicy pięknej pory, kiedy same w domu pozostają. Tylko jeden z biesiadników, Bernabo Lomellin z Genui, inaczej twierdził, zaręczając, że z łaski boskiej ma żonę uraczoną wszystkimi zaletami, jakie

---

<sup>377</sup> *wierę* (daw.) – doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

<sup>378</sup> *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

<sup>379</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>380</sup> *przytomny* – obecny (przy czymś). [przypis edytorski]

nie tylko białogłowie, ale i rycerzowi albo giermkowi przystoją. Drugiej takiej białogłowy w całych Włoszech nie znaleźć!

Nie tylko bowiem młoda jest jeszcze, piękna, silna i zręczna, ale i bieglejsza we wszystkich robotach białogłowskich, jak w wyszywaniu jedwabiem i innych zajęciach, od wszystkich swoich towarzyszek. Twierdził przy tym, że żaden giermek ani inny sługa lepiej od niej przy stole nie usłuży, jest bowiem wielce obyczajną, przezorną i roztropną. Wychwalał w niej także i to, że umie konia dosiadać i sokoła pięknie trzymać; pisać, czytać i rachować zasię potrafi lepiej niż niejeden kupiec. Po złożeniu jej tych pochwał powrócił do przedmiotu poprzedniej rozmowy i przysiągł, że nie masz bardziej cnotliwej i obyczajniejszej od niej białogłowy. Dodał, że jest upewniony, iż gdyby nawet przez dziesięć lat albo i dłużej poza domem przebywał, ona nigdy by sobie na żadne plugastwo z obcym mężczyzną nie pozwoliła.

Pośród biesiadników znajdował się także młody kupiec, zwany Ambrogiuolo z Piacenzy, który usłyszawszy ostatnią pochwałę, jaką Lomellin żonie swej oddał, wybuchnął głośnym śmiechem i drwiąco go zapytał, zali od cesarza otrzymał ten przywilej, którym na świecie nikt krom niego cieszyć się nie może. Na to Bernabo odparł z niejakim pomieszaniem, że łaski tej udzielił mu nie cesarz, lecz Bóg, którego moc trochę jest większa.

– Nie wątpię, Bernabo – odparł Ambrogiuolo – że wierzysz w to, co mówisz, jednakóż, według mego mniemania, niewiele

się znasz na prawdziwym rzeczy przyrodzeniu<sup>381</sup>. Gdybyś się był bowiem w te sprawy lepiej zagłębił, to nie będąc człkiem głupim wiele byś ważkich spostrzeżeń uczynił, które by ci kazały z większą ostrożnością o tej materii mówić. Abyś zaś<sup>382</sup> nie pomyślał, że my, cośmy tak długo tutaj rozprawiali, jakieś osobne żonki mamy, nie takiej jak twoja natury, i że gadamy tak, nie wiedząc nic o przyrodzeniu rzeczy, chcę pomówić z tobą o tym szczegółowie<sup>383</sup>. Zawždy się słyszy, że mężczyzna jest najszlachetniejszym ze stworzeń boskich, po nim zaś zaraz kobieta idzie. Mężczyzna, wedle powszechnego zdania, potwierdzonego biegiem rzeczy, jest doskonalszy od białogłowy, a zatem winien niechybnie posiadać więcej charakteru i stałości. Kobiety są bardziej zmienne, jak tego dowodzą różne przykłady, których teraz wyliczać nie będę. Jeżeli zaś mężczyzna, o wiele od kobiety silniejszy, nie może oprzeć się białogłowie nie tylko wówczas, gdy ona go kusi, ale i wtedy gdy sam jej pragnie i gdy czyni wszystko, co w jego mocy leży, aby przedmiotem swych pragnień owładnąć (wierę<sup>384</sup>, zdarza mu się to nie raz na miesiąc, lecz tysiąc razy na dzień), to zali sądzisz, że kobieta, z przyrodzenia swego od mężczyzny słabsza, nie ulegnie prośbom, pochlebstwu, podarkom i stu innym pokusom, do

---

<sup>381</sup> *przyrodzenie* (daw.) – tu: natura. [przypis edytorski]

<sup>382</sup> *zaś* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>383</sup> *szczególwie* – dziś popr. forma: szczegółowo. [przypis edytorski]

<sup>384</sup> *wierę* (daw.) – doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

których pomocy przymyka<sup>385</sup> miłujący ją a mądry mężczyzna? Myślisz, że oprzeć się zdoła? Nie wierzę, wbrew twemu twierdzeniu, aby twoje przekonanie takie właśnie być miało. Sam rzekłeś przecie, że twoja żona jest kobietą z krwi i ciała, tak jak i inne białogłowy. Jeśli tak jest, to winna mieć te same pragnienia i równie mało siły, aby się im oprzeć. Choćby i była cnotliwszą od innych, jednak jest rzeczą możliwą, że uczyni to, co inne czynią. Żadnej zaś rzeczy możliwej nie należy przeczyć tak stanowczo, jak ty to czynisz, twierdząc coś wręcz przeciwnego.

Na to Bernabo odparł:

– Jestem kupcem, a nie filozofem, i dlatego odpowiem ci po kupiecku. Wszystko to, o czym mówisz, przydarzyć się może białogłowom głupim, które ani wstydu, ani sumienia nie mają. Kobiety mądre bacznie czci swojej strzegą i w większej mają ją cenie niżli mężczyźni, którzy o nią mało się troskają. Do takich właśnie białogłów moja żona się zalicza.

– Zaiste – odparł Ambrogiuolo – gdyby za każdym pofolgowaniem swej chuci wyrastał białogłowie róg na czole, na świadectwo tego, co uczyniła, to wówczas zgodziłbym się z tobą, że niewiele by ich grzeszyło. Nie tylko im jednak rogi nie wyrastają, lecz i wszystkie ślady występku giną, gdy tylko kobiety mądrze biorą się do rzeczy. Wstyd i honoru szwanki powstają zaś tylko wówczas, gdy sprawa jawną się staje. Dlatego też czynią wszystko w ukryciu, a tylko głupie o tajemnicę nie dbają. Miej to za pewne, że tylko ta jest nieskalana, której nikt nie zapragnął,

---

<sup>385</sup> *przymykać* – tu: uciekać się. [przypis edytorski]

albo też ta, która pragnąc, wzgardą nakarmiona została. Chociaż wszystko to jest prawdą wynikającą z przyrodzonego rzeczy porządku, przecie bym sądu mego o tym tak twardo nie wyrażał, gdybym sam już wielu kobiet na próbę nie wystawiał. Powiem ci wprost, że gdybym się znalazł w bliskości twojej świętej małżonki, w krótkim czasie, jak mniemam, przywiódłbym ją do tego, do czego już siła<sup>386</sup> innych doprowadziłem.

– Wszystkie te spory i dysputy – odparł rozdrażniony Bernabo – tylko czas po próznicy nam zabierają. Ja będę mówił jedno, ty – drugie i nic z tego nie wyjdzie. Skoro jednak przekonany jesteś, że wszystkie białogłowy są tak ustępliwe, i skoro tak się chełpisz umiejętnością poczynania sobie z nimi, to ażeby cię wywieść z błędu co do mojej żony, oświadczam, iż dam sobie głowę uciąć, jeśli ci się uda ją do swojej woli nagiąć. Jeśli zaś<sup>387</sup> porażkę poniesiesz, zadowolę się tym, że mi zapłacisz tysiąc złotych florenów.

– Bernabo – rzekł Ambrogiuolo, już sporem zapalony – gdy zakład wygram, nic mi po krwi twojej. Jeśli jednak masz ochotę obaczyć dowód prawdziwości twierdzeń moich, to postaw przeciwko memu tysiącowi pięć tysięcy. To przecie mniej, niżeli warta twoja głowa. Chociaż mi żadnego czasu nie oznaczasz, obowiązuję się pojechać do Genui i w ciągu trzech miesięcy od dnia wyjazdu z Paryża uwieść twoją żonę. Na dowód, że mi się to udało, przywiozę z sobą jej ulubione

---

<sup>386</sup> *siła* (daw.) – dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>387</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

przedmioty i tyle okoliczności przytoczę, że nijakiej wątpliwości już nie będziesz mógł żywić. Musisz mi tylko dać przyrzeczenie, że przez te trzy miesiące nie pokażesz się w Genui i że o tej sprawie jednego słowa do żony swej nie napiszesz.

Bernabo zgodził się ochotnie, chociaż inni kupcy, w gospodzie przytomni, chcieli do zakładu tego nie dopuścić, przeczuwając, że wielkie zło z tego wyniknąć może. Obaj przeciwnicy tak się zapalili, że wbrew przełożeniom i radom towarzyszy spisali własnoręcznie umowę, co ich wzajemnie obligowała. Gdy umowa już zawarta została, Bernabo pozostał w Paryżu, a Ambrogiuolo, nie tracąc czasu, nieodwłocznie do Genui się udał. Przebywszy tam kilka dni i sięgnąwszy języka o obyczajach żony Bernaba i o tym, gdzie przemieszkuje, usłyszał o niej jeszcze więcej dobrego niż z ust samego męża. Wówczas pojął, że wdał się w trudną sprawę. Jednakże, spotkawszy pewną ubogą kobietę, odwiedzającą często dom żony Bernaba i dobrze od niej widzianą, postanowił nie ustępować z placu.

Przekupił kobietę, ale tylko tego się dobił, że służka zgodziła się wnieść go w skrzyni umyślnie sporządzonej nie tylko do domu, lecz i do sypialnej komnaty cnotliwej damy. Służka uprosiła żonę Bernaba o przechowanie tej skrzyni przez kilka dni, dopóki z rzekomej podróży nie wróci. Skrzynia ostała w komnacie.

Okolo północy Ambrogiuolo, przekonany, że dama śpi już twardym snem, otworzył wieko wziętymi uprzednio narzędziami i chyłkiem wyszedł ze skrzyni do komnaty, w której ogarek

płonął. Zważył dobrze wielkość komnaty, malowania na ścianach i różne przedmioty, wbijając sobie w pamięć wszystko, co było godniejsze uwagi. Potem zbliżył się do łoża, a obaczywszy, że dama wraz z małą dziewczką, którą miała przy sobie, śpi krzepkim snem, ostrożnie odkrył ją całą i ujrzał, że naga równie jest piękna jak i w ubraniu. Nie mógł jednak dostrzec jakiegoś osobnego znaku krom znamienia pod lewą piersią, otoczonego złotymi włoskami. Później nakrył ją znów ostrożnie, hamując w sobie żądzę, którą rozgorzał na widok jej pięknego ciała. Niewiele już brakowało, aby legł obok niej, życiem swoim azardując<sup>388</sup>. Nie odważył się jednak uczynić tego, wiedział bowiem, że jest sroga i nieprzystępna. Większą część nocy na myszkowaniu po komnacie spędził. Z otwartej szafy wziął sakiewkę, pierścionki, kilka pasów i szatkę zwierzchnią i wszystko to w skrzyni swojej umieścił. Później zamknął szczelnie wieko i przebył w skrzyni jeszcze dwie noce, nie wzbudzając najmniejszego podejrzenia w damie.

Trzeciego dnia, zgodnie z ustanowieniem, niewiasta powróciła po swoją skrzynię i zaniosiła ją tam, skąd ją wzięła. Ambrogiuolo wylazł ze skrzyni i zapłaciwszy kobiecie umówioną sumę powrócił pośpiesznie do Paryża ze zrabowanymi przedmiotami, nim jeszcze czas naznaczony upłynął. Zwołał wszystkich kupców, którzy byli świadkami zakładu, i w ich oraz Bernaba przytomności<sup>389</sup> oznajmił, że zakład wygrał,

---

<sup>388</sup> *azardując* (daw.) – ryzykując. [przypis edytorski]

<sup>389</sup> *w przytomności* (daw.) – w obecności. [przypis edytorski]

bowiem dokonał tego, co obiecał. Na dowód, że prawdę gada, opisał najpierw wygląd komnaty i malowania w niej się znajdujące, a później pokazał przedmioty, które rzekomo od lady w podarunku otrzymał. Bernabo musiał przyznać, że opis komnaty zupełnie z prawdą się zgadza i że przedstawione przedmioty w istocie własność jego żony stanowiły; zauważył jednak, że Ambrogiuolo mógł się dowiedzieć o wyglądzie komnaty od sług, a także w podobny sposób rzeczy te otrzymać. Jeśli zatem innych dowodów nie przedłoży, to jeszcze nie jest rzeczona, aby zakład wygrał. Na to Ambrogiuolo odparł:

– Powinno, dalibóg, ci to wystarczyć, aliście<sup>390</sup> jeśli chcesz więcej się jeszcze dowiedzieć, to ci rzeknę, że pani Ginevra, twoja żona, ma pod lewą piersią dość duże przyrodzone znamię, pokryte sześcioma jasnymi jak złoto włoskami.

Słowa te ugodziły jak nóż w serce Bernaba. Zmienił się na obliczu i chocia ani jednego słowa nie pisał, przecie wszyscy poznali, że Ambrogiuolo prawdę powiedział. Po chwili milczenia rzekł:

– Prawdą jest wszystko, co Ambrogiuolo powiedział. Ponieważ zakład wygrał, niechaj jutro tutaj się zjawi, aby pieniądze otrzymać.

Nazajutrz Bernabo wypłacił Ambrogiuolowi całą należność.

Bernabo, pełen gniewu i złości na żonę, wyjechał z Paryża i do Genui się udał. Nie dojechał jednak do miasta, lecz zatrzymawszy się w jednej ze swych majątności o dwadzieścia

---

<sup>390</sup> *aliście* a. *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

mił od grodu, wyprawił tam swego zaufanego sługę z dwoma końmi i listem do żony, w którym donosił o swoim przybyciu i prosił ją, aby wraz ze sługą do niego się udała. Słudze zaś wydał sekretny rozkaz, aby po drodze, w miejscu, które mu się najbardziej stosowne wyda, bez żadnej litości madonnę Ginevrę zamordował, a potem do niego powrócił. Wysłaniec przybył do Genui, wywiązał się ze swych zleceń, oddał pismo i został przyjęty z wielką radością przez damę, która nazajutrz siadła na koń i razem z sługą wyprawiła się w drogę. Jechali, zabawiając się rozmową o różnych rzeczach i w końcu przybyli do głębokiej, odludnej doliny, otoczonej skałami i drzewami. Sługa, uważając, że jest to miejsce najstosowniejsze do wypełnienia rozkazu jego pana, wydobył sztylet, chwycił damę za rękę i rzekł:

– Polećcie Bogu duszę swoją, pani! Tutaj bowiem umrzeć musicie!

Dama, ujrawszy sztylet i słowa te usłyszawszy, zawołała wielce zestrachana:

– Wielki Boże! Powiedz, za co mnie chcesz życia pozbawić? Cóż złego ci uczyniłam?

– Pani – rzekł sługa – nie wyrządziliście mi najmniejszej krzywdy, musieliście jednak srodze obrazić waszego męża, skoro polecił mi on, abym was na tej drodze bezlitośnie zamordował. Zagroził mi, że jeśli tego nie uczynię, każe mnie powiesić. Wiem przecie, ile mu winienem; nie mogę przeto nie wypełnić jego woli. Bóg widzi, że mi was żal, ale nic innego uczynić mi nie pozostaje.

– Ulitujcie się nade mną w imię miłości Boga – zawołała dama, płacząc rzewliwie – chcąc dogodzić swemu panu, nie staraj się być zabójcą człowieka, który nic złego ci nie uczynił. Bóg wszechmocny wie, że przeciw małżonkowi swemu w niczym nie zgrzeszyłam i że ta kara ciężka bez winy mojej na mnie spada. Ale nie mówmy o tym teraz. W twojej mocy leży, jeśli tylko będziesz tego chciał, zadowolnić twego pana, a Bogu i mnie jednocześnie dobro wyświadczyć. Weź moje suknie, daj mi tylko swój kaftan i płaszcz, a potem powróć do swego pana i powiedz mu żeś mnie zabił. Przysięgam ci na to życie, które mi ocalisz, że oddalę się stąd na zawsze i że o mnie nigdy wieści do tych stron nie dotrą.

Sługa, który wcale nie miał chęci zabijać, łatwo dał się zmiękczyć. Wziął od Ginevry szaty, wręczył jej swój kaftan i płaszcz, ostawił jej pieniądze, które przy sobie miała, zaklinając ją kilkakrotnie, aby jak najprędzej z tych stron się oddaliła. Potem, zostawiwszy ją w wąwozie, powrócił do swego pana i rzekł mu, że nie tylko rozkaz jego wypełnił, ale sam na własne oczy widział, jak wilki ciało Ginevry rozszarpały.

Po jakimś czasie Bernabo powrócił do Genui. Gdy sprawa jawną się stała, wszyscy złożyli mu jęli.

Tymczasem pani Ginevra ostała sama ze swym nieszczęściem. Gdy noc nastawała, odmieniwszy, jak mogła najlepiej swój pozór<sup>391</sup>, schroniła się do chaty, znajdującej się w pobliżu. Otrzymała tutaj od pewnej staruszki wszystko, co

---

<sup>391</sup> *pozór* – tu: wygląd. [przypis edytorski]

jej potrzebne było, skróciła kaftan sługi stosownie do swej postaci, z koszuli swojej uczyniła spodnie, ostrzygła włosy i przemieniwszy się tym sposobem w marynarza, skierowała się ku morzu. Na brzegu spotkała przypadkiem pewnego katalońskiego szlachcica, zwanego Encararch, który wysiadł z swego sudna, stojącego na kotwicy w Albenga, aby orzeźwić się nieco u źródła. Wstąpiła z nim w rozmowę i zgodziła się doń na służbę, przewawszy się Sicuranem z Finale. Gdy weszli na pokład, Encararch dał jej lepsze szatki. Odtąd jeła<sup>392</sup> swemu panu usługiwać z taką starannością, iż ten, z nowego sługi wielce zadowolony, osobnym faworem darzyć go począł. Zdarzyło się, że po kilku miesiącach Katalończyk zawiął z ładunkiem do portu w Aleksandrii. Przywiózł z sobą kilka rzadkich sokołów, przeznaczonych na podarek dla sułtana. Sułtan, wdzięczny za ten dar, nieraz zapraszał Katalończyka do swojego stołu, Encararchowi towarzyszył zawsze Sicurano, który do stołu usługiwał. Sułtan upodobał go sobie i poprosił Katalończyka, aby mu go odstąpił. Encararch, acz niechętnie, na prośbę przystał. Sicurano w krótkim czasie pozyskał łaskę sułtana, nie mniejszą od tej, jaką się u Katalończyka cieszył.

W owych czasach w mieście Aciri<sup>393</sup>, podwładnym sułtanowi, odbywał się corocznie jarmark, na który ze wszech stron zjeżdżali się chrześcijańscy i saraceńscy kupcy. Dla ich

---

<sup>392</sup> *jać* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>393</sup> *Aciri* – miasto portowe, obecnie w Izraelu; także: wł. San Giovanni d'Aciri, arab. Akka. [przypis edytorski]

bezpieczeństwa sułtan zwykł był posyłać do Aciri, krom wielu urzędników, także i straż zbrojną, pozostającą pod rozkazami zaufanego człeka. Tym razem zamyślił wyprawić do Aciri Sicurana, znającego już dobrze język miejscowy. Tak się też i stało. Sicurano przybył do Aciri jako dowódca straży, przeznaczonej dla ochrony towarów i kupców. Sprawując swoje obowiązki starannie i sam nad wszystkim mając dozór, spotkał Sicurano wielu kupców z Sycylii, Wenecji, Pizy i z Genui. Wspominając miłą ojczyznę, ochotnie z nimi w dyskursy wstępował.

Pewnego dnia stanął obok kramu kupców weneckich i pośród rozlicznych przedmiotów ujrzał sakiewkę i pas, które kiedyś doń należały. Zdziwił się wielce, ale nie dawszy po sobie najmniejszej poznaki, zapytał, czyje są to rzeczy i zali na sprzedaż są tu wystawione. Do Aciri przybył właśnie na weneckim statku, wiozącym ładunek różnych towarów, Ambrogiuolo z Piacenzy. Usłyszawszy, że kapitan straży zapytuje, do kogo przedmioty te należą, wystąpił naprzód i rzekł ze śmiechem:

– Rzeczy te są moją własnością i sprzedawać ich nie chcę. Skoro się jednak wam tak spodobały, dam wam je chętnie w upominku.

Sicurano, widząc, że kupiec się śmieje, zatrwożył się na myśl, że to może ktoś, co go rozpoznał, jednakże nie tracąc rezonu rzekł:

– Śmiejesz się zapewne z tego, że człek wojskowy pyta się

o takie niewieście szmatki?

– Nie, panie – odparł Ambrogiuolo – śmieję się jeno<sup>394</sup>, przypominając sobie, jakim sposobem do posiadania tych przedmiotów przyszedłem.

– Powiedz mi więc – rzekł Sicurano – jeśli w tym żadnej tajności nie ma, jak je zdobyłeś?

– Dała mi je, panie, wraz z innymi przedmiotami pewna piękna białogłowa z Genui, zwana madonna Ginevra, żona Bernaba Lomellin, owej nocy, gdy z nią spałem, prosząc, abym je na pamiątkę zachował.

Śmieję się zaś, wspominając głupotę Bernaba, który wstąpił w zakład ze mną, stawiając pięć tysięcy florenów przeciwko memu tysiącowi, że jego żona nie da mi się do żadnego plugastwa nakłonić. Udało mi się jednak opór jej przełamać, przez co zakład wygrałem. On zasię<sup>395</sup>, miast<sup>396</sup> sam siebie raczej za swoją głupotę ukarać niż ją za to, co wszystkie kobiety czynią, udał się z Paryża do Genui i jak słyszałem, zabić ją kazał.

Sicurano usłyszawszy to, poznał od razu, jaka była przyczyna gniewu Bernaba i zrozumiał, że ów człek był powodem wszystkich jego nieszczęść. Postanowił więc zbrodni tej płazem nie puścić i udał, że cała ta historia wielce go ciekawi. W krótkim czasie zawiązał z Ambrogiuolem tak ciasną przyjaźń, że ów za jego radą, gdy się już jarmark skończył, z nim

---

<sup>394</sup> *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

<sup>395</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

<sup>396</sup> *miast* (daw.) – tu: zamiast. [przypis edytorski]

i z całym dobytkiem do Aleksandrii się udał. Sicurano urządził mu sklep i dał mu wiele pieniędzy do ręki, tak iż Ambrogiuolo, widząc znaczne dla siebie korzyści, ohotnie tam się osiedlił. Tymczasem Sicurano, zajęty jedynie myślą przekonania Bernaba o niewinności swojej, nie spoczął, dopóki przy pomocy kilku genueńskich kupców, którzy w Aleksandrii bawili, pod odpowiednim pozorem do tego miasta go nie ściągnął. Bernabo żył wówczas w dosyć nędznym stanie.

Sicurano zatroskał się o to, aby pomieścić go w domu pewnego swego przyjaciela, gdzie miał przebywać aż do czasu skutecznienia się jego zamysłów. Powiódł rzeczy tym trybem, że Ambrogiuolo powtórzył swoją opowieść przed sułtanem, któremu ona wielce do smaku przypadła. Mając jednak Bernaba pod ręką, Sicurano uznał, że nie trza już sprawy w odwłokę podawać; wybrawszy przeto stosowną godzinę, poprosił sułtana, aby w przytomności Bernaba rozkazał Ambrogiuolowi opowiedzieć, jak się miała rzecz z żoną Bernaba, która, wedle jego słów, woli jego uległa. Gdyby po dobrej woli wyznać wszystkiego nie chciał, groźbami się go do tego przymusi. Bernabo i Ambrogiuolo stanęli przed sułtanem. Ów wobec wielu zebranych spytał surowo Ambrogiuola, jakim sposobem wygrał był od Bernaba pięć tysięcy florenów złotych, i prawdę mu mówić przykazał. Rozmowie tej przytomny był Sicurano, w którym Ambrogiuolo z początku wielkie nadzieje pokładał. Aliści ten ze zmienionym obliczem zagroził mu najsroźszymi katuszami, jeżeli nie zechce wyznać prawdy.

Ambrogiuolo, zatrwożony i do muru przyparty, mniemając, że w najgorszym razie będzie musiał oddać pięć tysięcy florenów, opowiedział w przytomności Bernaba i innych istotny przebieg zdarzenia.

Gdy opowieść swoją zakończył, Sicurano, jako pełnomocnik sułtana, obrócił się do Bernaba i spytał:

– A ty, na skutek tego oszustwa, co uczyniłeś ze swoją żoną?

– Zaślepiiony gniewem z powodu straty pieniędzy i hańby, którą jak sądziłem, mojemu imieniu wyrządziła, kazałem ją śludze zamordować. Według jego słów, ciało jej zaraz wilcy rozszarpali.

Wszystko to rzeczono zostało w przytomności<sup>397</sup> sułtana; sułtan nie pojmował jeszcze, ku czemu zmierza Sicurano, który to wszystko urządził, aż wreszcie ów, obróciwszy się doń rzekł:

Teraz widzicie, panie mój a władco, jakim to miłośnikiem i jakim mężem ta biedna kobieta szczyścić się mogła. Kochanek kłamliwym oskarżeniem obdziera ją ze czci, a jednocześnie do nędzy męża jej przywodzi. Mąż zaś, dając więcej wiary oszczerstwu niżli prawdzie, którą mógł w ciągu długiego pożycia poznać dowodnie, każe ją zabić i na pastwę wilkom rzucić. Krom tego obaj, kochanek i mąż, tak wielką do niej miłość żywią, że nawet nie poznają jej, chocia znaczny kęs czasu z nią pospołu przebywali. Abyście lepiej pojęli, na co każdy z nich zasłużył, przywiodę ją tutaj, was zaś, panie mój, proszę, abyście dla tej łaskawości, jaką dla mnie żywicie, ukarali tylko winnego,

---

<sup>397</sup> w przytomności (daw.) – w obecności. [przypis edytorski]

a oszukanemu przebaczyli.

Sułtan, gotów uczynić wszystko, czego Sicurano pragnął, przystał na jego prośbę i rozkazał, aby białogłowa stanęła przed nim, nie mieszkając<sup>398</sup>. Bernabo wielce się zadziwił temu wszystkiemu, był bowiem przekonany, że żona jego od dawna nie żyje, zaśię Ambrogiuolo czuł już, że na gorsze się ta sprawa dla niego obróci i że zło nie skończy się na zapłaceniu pieniędzy. Nie wiedział, w czym nadzieję pokładać i czego obawiać się przy pojawieniu się tej damy, na którą także w osłupieniu czekał. Gdy tylko sułtan zgodę swą wyraził, Sicurano upadł przed nim z płaczem na kolana, przestał nagle mówić męskim głosem i cały męski pozór ostawiwszy, rzekł:

– Sprawiedliwy panie, jam jest ową nieszczęsną Ginevrą, która przez sześć lat za męża przebrana błąkała się po świecie, będąc kłamliwie i haniebnie spotwarzona przez tego łajdaka; jam jest tą samą, co ją okrutny i niesprawiedliwy mąż zabić kazał.

Rzekłszy te słowa, rozerwała na sobie szaty, aby pokazać pierś na dowód, że istotnie jest białogłową. Potem, obróciwszy się do Ambrogiuolo, spytała go gniewnie, kiedy z nią łożę dzielił? Ambrogiuolo poznawszy ją oniemiał i jednego słowa przemówić nie był zdolen. Sułtan, który do tych pór miał Sicurana za mężczyznę, tak się zadziwił, iż mniemał, że wszystko to we śnie się przydarzyło. Aliści, gdy zdziwienie minęło, a prawda na jaw dowodnie wystąpiła, jął<sup>399</sup> wysławiać cnoty,

---

<sup>398</sup> *nie mieszkając* (daw.) – nie zwlekając, nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

<sup>399</sup> *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

obyczaje i wytrwałość Ginevry. Później kazał przynieść szatki białogłowskie, dał Ginevrze orszak sług i przebaczył Bernabie, który na śmierć zasłużył, przychyłając się do jej prośby.

Bernabo, poznawszy żonę swoją, rzucił się do jej nóg z płaczem i prosił ją o przebaczenie; chocia go i godzin nie był, przecie Ginevra odpuściła mu winy; potem podniosła go i czule, jak na żonę przystało, uściskała.

Sułtan rozkazał, aby Ambrogiuola przywiązano do słupa, stojącego na jednej z wyniosłości miasta, wysmarowano go miodem i tak zostawiono na słonecznej spiekocie, dopóki nie zemrze. Tak też uczyniono. Majątek zaś znaczny Ambrogiuola, wynoszący ponad dziesięć tysięcy dukatów, podarował sułtan Ginevrze. Następnie wydał wspaniałą ucztę, w czasie której wielką estymę okazywał pani Ginevrze, jako najcnotliwszych białogłów wzorowi, a Bernabie, jako jej małżonkowi. Potem obdarzył ją klejnotami, złotymi i srebrnymi sprzętami i pieniędzmi, tak iż Ginevra zbogaciła się o drugie dziesięć tysięcy podwójnych dukatów. Sułtan przykazał także przygotować okręt i dał małżonkom zezwolenie na powrót do Genui. Wrócili szczęśliwi i bogaci do swego kraju, gdzie oboje, a zwłaszcza panią Ginevrę, którą za zmarłą uważano, z wielką czcią i radością przywitano, wynosząc później w ciągu jej całego życia przymioty jej i cnoty osobne<sup>400</sup>.

Ambrogiuolo tegoż dnia, gdy go do pala przywiązano

---

<sup>400</sup> *osobny* (daw.) – tu: szczególny, osobliwy. [przypis edytorski]

i wysmarowano miodem, pokąsany od os, bąków, much i komarów, których w tym kraju wielka obfitość była, wśród niewymownych katuszy żywota dokonał, pożarty do kości. Jego bielejące piszczele, przy palu wiszące, długo jeszcze tam tkwiły, przypominając wszystkim o jego plugawym postępku. Sprawdziło się na nim tedy<sup>401</sup> przysłowie: »Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada«”.

---

<sup>401</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

# Opowieść dziesiąta.

## Kalendarz starych mężów

Paganino z Monako porywa żonę panu Riccardo di Chinzica, który, wiedząc, gdzie żona przebywa, udaje się tam i zostawszy przyjacielem Paganina, prosi go, aby mu ją oddał. Tamten przyrzeka mu to, o ile ona sama się zgodzi. Bartolomea jednakże powracać doń nie chce i po śmierci Riccarda poślubia Paganina.

Opowieść królowej, która powszechnie pochwały wywołała, szczególnie podobała się Dioneowi, ostatniemu z kompanii, co tego dnia opowiadać miał. Dioneo zaczął na ten kształt:

– Dostojne damy, w noweli królowej zawierał się pewien szczegół, który mnie k'temu<sup>402</sup> pobudził, abym zaniechał historii, którą wam opowiedzieć chciałem. Miast niej zapoznam was z inną opowieścią. Powodem jest mi głupota Bernaba (która na szczęście wielkiego zła nań nie sprowadziła) jako i innych mężów, co sobie także do głowy wbili, że ich żony, w domu pozostałe, siedzą jak trusie, z założonymi rękami, podczas gdy oni włączą się po świecie i cieszą się wdziękami to tej, to tamtej białogłowy, tak jakby, wzrosli i wychowani pośród tego niewieściego pogłowia, nie wiedzieli, do czego ono jest zdolne. W opowieści swojej chcę wam pokazać nie tylko ich tępotę, ale

---

<sup>402</sup> *k'temu* (daw.) – do tego. [przypis edytorski]

jeszcze większą głupotę tych, którzy mniemają, że są silniejsi od przyrodzenia<sup>403</sup>. Czynią oni różne próby, pustym gadaniem chcąc przekonać samych siebie, że mogą dokazać więcej, niżli ich siły na to pozwalają, i za wszelką cenę chcą innych zrobić podobnymi sobie, choć sprzeczne to jest z ludzi owych przyrodzeniem.

„Żył w Pizie pewien sędzia, zwany Riccardem di Chinzica. Był to człek daleko więcej rozumem celujący niżli siłą fizyczną. Ów, mniemając może, że tymi samymi staraniami, jakie do dzieł swych uczonych przykładął, żonę ukontentuje, a będąc bogatym wielce, ją<sup>404</sup> szukać pilnie małżonki, w której by się młodość z pięknnością łączyła. Gdyby był w stanie udzielić samemu sobie takiej rady, jaką nieraz drugim służył, właśnie takiej żony unikać by był winien jak ognia. Dzieło wkrótce skuteczzone zostało, bowiem niejaki Lotto Gualandi dał mu za żonę swoją córkę imieniem Bartolomea. Była to jedna z najurodzawszych i najwdzięczniejszych panienek w Pizie, gdzie niemało się ich znajduje, zwinnych i ruchliwych jak jaszczurki.

Sędzia pojął ją nader uroczyście za żonę i wspaniałe wesele wyprawił. Jednakoż w noc poślubną postarbnął się, chcąc dopełnić małżeńskiej powinności, i ledwie zdołał jeden raz dokonać tego, co z trudem zaczął. Nazajutrz rano dla poratowania upadłych sił, jako człek mizerny i słabego ducha, musiał się uciec do małmazji, kordiałów i innych środków, co by go do życia przywrócić były zdolne.

---

<sup>403</sup> przyrodzenia (daw.) – tu: natura. [przypis edytorski]

<sup>404</sup> jąć (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

Wówczas to pan sędzia jął się po raz pierwszy dobrze nad swoimi siłami zastanawiać i obliczać je ściślej niż wprzód. Uczyniwszy rachunek, postanowił nauczyć żonę swoją kalendarza, dobrego dla dzieci, co się gramatyki uczą (można mniemać, że kalendarze takie tylko w Rawennie układają). Według jego wywodów, nie było takiego dnia, na który by nie tylko jedno, ale i kilka świąt nie przypadało. Dla ich należytego uczczenia żony i mężowie winni się wstrzymywać od folgowania swym cielesnym chuciom. Do tych świąt przydał jeszcze dni postu, suche dni, wigilie, dni apostołów i innych świętych, piątki i soboty, niedzielę jako dzień Zbawiciela, a także niektóre odmiany księżyca i siła<sup>405</sup> innych wyjątków. Mniemał widocznie, że robotę w łóżnicy małżeńskiej można podawać w taką odwlokę jak różne sprawy w sądzie. Tym sposobem, ku wielkiemu zmartwieniu żony, którą zaledwie raz (albo i wcale) na miesiąc dojeżdżał, rzemiosłem mężowskim się parał; trzymał przy tym żonę pod ściśłym dozorem, aby ktoś inny nie zapoznał jej z dniami roboczymi, tak jak on ze świątecznymi.

Pewnego dnia, w czasie upalnego lata, Imć Riccardo zapragnął udać się w towarzystwie żony do swej pięknej posiadłości, znajdującej się w pobliżu Monte Nero, aby tam wczasu<sup>406</sup> zażyć i świeżym powietrzem dni kilka odetchnąć. Chcąc żonie rozrywkę zgotować, urządził połów ryb. W jednej łódce pomieścił się wraz z rybakami, do drugiej wsadził żonę pospołu

---

<sup>405</sup> *siła* (daw.) – dużo, mnóstwo. [przypis edytorski]

<sup>406</sup> *wczas* (daw.) – odpoczynek. [przypis edytorski]

z innymi białogłowami. Wkrótce, sami nie wiedząc jak i kiedy, kilka mil od brzegu odpłynęli i na pełnym się znaleźli morzu. Gdy tak na połów ryb uważali, nagle nadpłynął korab Paganina da Mare, słynnego podówczas korsarza. Ujrzawszy barki, korsarz skierował się ku nim; łodzie jeły uciekać, ale Paganino dopadł tej z nich, na której znajdowały się białogłowy. Ujrzawszy piękną Bartolomeę, pomyślał, że ta zdobycz wystarczająca dlań będzie. Pochwycił niewiastę w oczach Riccarda, który już się do brzegu przebrał, przeniósł ją na swoją galerę i śpieszno odpłynął.

Nie trza opowiadać, jak się strapił na ten widok pan sędzia, który był takim zazdrośnikiem, że nawet powietrza się obawiał. Jał się żalić w Pizie i powszędy na złodziejów, ale nawet nie wiedział, jak się zwał ów korsarz, co jego żonę pochwycił i w nieznane miejsce zawiózł. Paganino tymczasem, ciesząc się ze swej zdobyczy, wielce był ukontentowany. Żyjąc w stanie bezzennym, postanowił urodziwą białogłową przy sobie zatrzymać. Gdy Bartolomea gorzko płakała, pocieszał ją, jak mógł. Za nadejściem nocy uciekał się do innego, skuteczniejszego środka i starał się ją pocieszać czynami, ponieważ jak mu się zdało, słowa niewielki skutek odniosły. Kalendarz mu się gdzieś zapodział, tak iż święta wypadły mu z pamięci.

Tym sposobem tyle jej dodał otuchy, że nim przybyli do Monaco, Bartolomea, zapomniawszy całkiem o sędzi i jego przepisach, najweselszy z Paganinem żywot rozpoczęła. Zawiózłszy ją do Monaco, korsarz nie tylko jej nie skąpił

uciech w dniu i w nocy, ale krom tego okazywał jej względy jako prawej małżonce. Po pewnym czasie do sędziego Riccarda dotarły wieści, gdzie jego żona przebywa. Nie mając nadziei na niczyją pomoc, a wielce jej odzyskania spragniony, postanowił sam udać się po Bartolomeę i wykupić ją z tej niewoli, choćby to i znaczną sumę pieniędzy kosztować miało. Wsiadł tedy<sup>407</sup> na okręt, do Monaco przybył i tam żonę swoją ujrzał. Bartolomea opowiedziała korsarzowi o przybyciu męża i zwierzyła mu się z jego zamysłów. Następnego rana Imć Riccardo spotkawszy Paganina zawiązał z nim znajomość i o względy jego gorliwie zabiegać począł. Korsarz udawał, że nie wie, kim jest Riccardo, i czekał, co tamten przedsięweźmie. Wybrawszy wreszcie chwilę sposobną, Riccardo w pokornych i grzecznych słowach przedstawił korsarzowi przyczynę, dla której tu przybył, i prosił go, aby wydał mu żonę za okupem, jaki sam naznaczyć zechce.

Paganino odparł z uśmiechem:

– Pozwólcie najpierw, panie, abym was w tym kraju powitał. Odpowiem wam zaś krótko. Prawdą jest, że mam młodą białogłową u siebie, nie wiem jednak, czy jest ona waszą żoną, czy też innego człeka, ponieważ was nie znam, ją zaś znam dopiero od czasu, jak w moim domu przebywać zaczęła. Jeżeli jednak w istocie jej mężem jesteście, to zaprowadzę was do niej i nie wątpię, że was łatwo<sup>408</sup> pozna. Skoro zaś ona potwierdzi to, co od was słyszałem, i wyrazi gotowość powrotu do was,

---

<sup>407</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>408</sup> *łatwie* – dziś popr. forma: łatwo. [przypis edytorski]

ja przez wzgląd na poczciwość waszą poprzestaną na okupie, jaki sami za słuszny uznacie. Gdyby się jednak przeciwnie okazało, popełnilibyście rzecz plugawą, pragnąc mi ją odjąć. Jestem młodzieńcem i mam prawo, jak każdy inny, cieszyć się białogłową, zwłaszcza taką jak ta, co jest najmilszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem.

– Przysięgam wam, że jest to moja żona – odparł Riccardo. – Zawiedźcie mnie do niej, a obaczycie, że gdy tylko mnie ujrzy, na szyję mi się rzuci. Toteż proszę was tylko o to, abyście postąpili tak, jakście przed chwilą powiedzieli.

– Chodźmy zatem – rzekł Paganino.

Rzekłszy te słowa, poprowadził sędziego do swego domu i wwiódł go do komnaty, dokąd zaraz Bartolomeę przywołać kazał. Bartolomea, okazale przybrana, wyszła nie mieszkając<sup>409</sup> i przywitała pana Riccarda tak, jakby był on obcym człowiekiem, co przybył w dom z jej mężem. Sędzia, który myślał, że żona przyjmie go z wielką radością, osłupiał na to powitanie i pomyślał, że smutek i troska, trapiąca go od chwili, gdy ją był utracił, tak jego pozór odmieniły, że żona teraz poznać go nie może.

Dlatego też rzekł:

– Drogo mnie kosztował, miła żono, ten połów ryb. Utraciwszy ciebie, takiej boleści doznałem, że, wierę<sup>410</sup>, nikt chyba podobnej na świecie nie odczuwał. Widocznie nie

---

<sup>409</sup> *nie mieszkając* (daw.) – nie zwlekając. [przypis edytorski]

<sup>410</sup> *wierę* (daw.) – doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

poznałaś mnie, skoro mnie tak chłodno przyjmujesz. Zali nie widzisz, że jestem twoim Riccardem, który tu przybył, aby zapłacić panu tego domu taki okup, jakiego sam zażąda, a potem z sobą cię zabrać? Dzięki poczciwości pana Paganina mam zapłacić tyle, ile sam będę chciał.

– Zali do mnie się z tą mową obracacie, panie? – spytała dama z uśmiechem. – Widać bierzecie mnie za kogoś innego, bowiem ja przypomnieć sobie nie mogę, abym was kiedykolwiek widziała.

– Bacz na to, co mówisz – rzekł Riccardo. – Spójrz na mnie uważniej, a poznasz, że jestem twoim Riccardem di Chinzica.

– Wybaczcie mi, panie – odparła Bartolomea – aliście<sup>411</sup> nie jest zbyt przystojną dla mnie rzeczą przypatrywać się wam uporczywie. Zresztą, dość się wam już przyjrzałam, aby jeszcze raz stwierdzić, że was nigdy nie widziałam.

Wówczas Riccardo pomyślał, że Bartolomea, bojąc się Paganina, nie chce się przyznać do męża w jego przytomności<sup>412</sup>. Dlatego też, obróciwszy się do Paganina, prosił go, jako o łaskę osobną, o możliwość pomówienia z Bartolomeą w cztery oczy. Paganino przystał na tę prośbę, ale pod warunkiem, że sędzia nie odważy się pocałować damy wbrew jej woli. Potem polecił Bartolomei udać się z Riccardem do przyległej komnaty, wysłuchać, co jej powie, i dać mu respons<sup>413</sup> bez nijakiego

---

<sup>411</sup> aliście a. aliści (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>412</sup> w przytomności (daw.) – w obecności. [przypis edytorski]

<sup>413</sup> respons (z łac., daw.) – odpowiedź. [przypis edytorski]

przymusu. Gdy Imć Riccardo i pani Bartolomea w pustej komnacie na karłach usiedli, Riccardo na ten kształt zaczął:

– Serce moje, duszo moja, moja nadziejo i radości, zaliż nie poznajesz twego Riccarda, który miłuje cię bardziej niżli samego siebie? Czyż to być może? Takżem się odmienił? Spójrzj na mnie, moje oczko najcudniejsze, błagam cię ze wszystkich sił moich!

Bartolomea głośno się zaśmiała i nie pozwalając mówić mu dalej, rzekła:

– Możecie być pewni, że nie mam tak słabej pamięci, abym was, mego męża, pana Riccarda di Chinzica, poznać nie miała. Jednakoż i wy, w czasie gdy żyłam z wami, pokazaliście, że całkiem niedostatecznie mnie znacie. Gdybyście byli w samej rzeczy człkiem tak mądrym, za jakiego uchodzić pragniecie, to spostrzeglibyście niechybnie, że młoda, dziarska i świeża białogłowa krom odzieży i pożywienia potrzebuje jeszcze czegoś, o czym kobiety dla wstydlivosti swej przyrodzonej niechętnie mówią. Sami wiecie, jakeście te pragnienia zaspokajali. Jeśli wam miłsze było zgłębianie praw niżli żona, nie trzeba się było żenić. Wierę<sup>414</sup>, nie sędzią mi się być zdaliście, ale chodzącym kalendarzem, wymieniającym na pamięć posty, święta, uroczystości i wigilie.

Powiem wam takoż, że gdybyście pachółkom, co na polach w waszych majątnościach pracują, tyle świąt naznaczali, ile temu, co nad uprawą mojej maluchnej niwy miał się trudzić, nie

---

<sup>414</sup> *wierę* (daw.) – doprawdy, zaprawdę. [przypis edytorski]

zebralibyście ani jednego ziarna. Ale Bóg zlitował się nad moją młodością i zesłał mi człowieka, z którym w tym domu żywię. Nie znamy żadnych świąt (mówię o tych świętach, któreście wy, zdalniejsi do służby bożej niż do służby u kobiet, tak często obchodzili), przez próg tego domu nie przeszedł nigdy piątek ani sobota, wigilia ani post wielki, co trwa tak niezmiernie długo. W dzień i w nocy się tu pracuje i grempluje wełnę. A owóz i dzisiejszej nocy, nim na jutrznię zadzwoniono, już nie raz imaliśmy się dzieła! Dlatego też umyśliłam u Paganina pozostać i z nim razem się trudzić, póki moja młodość trwać będzie. Święta, posty i odpusty odłożę sobie na starość. Wy zaś czym prędzej jedźcie z Bogiem do domu i święćcie beze mnie do woli tyle świąt, ile się wam podoba.

Imć Riccardo, słowa te usłyszawszy, niezmierną boleść poczuł. Gdy Bartolomea umilkła, rzekł:

– Ach, duszo moja, jakież słowa straszne z ust twoich słyszę? Nie maszże najmniejszego względu na cześć swoją i cześć swoich rodziców? Przekładasz żyć w grzechu śmiertelnym z tym człkiem, jako jego miłośnica, niżli jako moja żona w domu naszym w Pizie przebywać? Przecie on, gdy się tobą przesyci, za drzwi cię wygoni, ku twej sromocie a hańbie, tam zasię będziesz mi zawsze miła, sprawując władzę w domu moim, choćby i wbrew mojej woli. Zali dla tak plugawej i niepomiarkowanej żądzы chcesz mieć w pogardzie cześć swoją i odepchnąć mnie, co cię nad życie kocham? Nie mów tego, nadziejo moja, i wracaj do mnie! Ślubuję ci, że teraz, gdy już pragnień twoich świadomy

jestem, będę się starał w miarę sił je zaspokoić. Przeto zmień twe postanowienie i pójdź ze mną, co nigdy dobrej chwili nie zastałem, odkąd mi ciebie brakło.

– O cześć moją – odparła Bartolomea – sama będę miała staranie; niech nikt się o nią nie troska, zwłaszcza że już i tak zbyt późno na to. Rodzice moi winni byli pomyśleć o niej, gdy mnie wam za żonę dawali, skoro jednak o nią wówczas nie dbali, tedy<sup>415</sup> i ja dzisiaj o nich dbać nie chcę. Grzech śmiertelny, w którym żyję, już się na powszedni przemienił; zresztą nie wasza to rzecz. Zdawa mi się, że w Pizie byłam waszą nałożnicą, teraz zasię<sup>416</sup> jestem małżonką Paganina. Wówczas nasze planety pośród odmian księżyca i geometrycznych obliczeń rzadko schodziły się z sobą, dzisiaj natomiast Paganino nie wypuszcza mnie z objęć przez noc całą. Ścisła mnie, obłapia ciasno, gryzie i kąsa, i tak dojeżdża, jak to tylko jest Bogu wiadome. Ślubujecie, że na przyszłość starać i wysilać się będziecie. Jakimże to sposobem i po co? Aby jednego czynu dopełnić z trzema przerwami, w czasie których dębczak mógłby znowu się podnieść? Widać dziarskim jeźdźcem się staliście w czasie nieobecności mojej.

Idźcie z Bogiem i starajcie się żyć jak najdłużej; zdaje mi się, że już ledwie jako gość na tym świecie przebywacie, tak bowiem nędzniuchny i mizerniutki macie pozór. Powiem wam także, że jeśli nawet Paganino mnie rzuci (do czego, jak mi się

---

<sup>415</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>416</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

zdaje, wcale chęci nie ma), to i tak do was nie powrócę, wiem bowiem, że choćbym was nie wiem i jak cisnęła, ani krztyny soku z siebie nie puścicie. Raz już, na moje nieszczęście, dobra tego spróbowałam i tak mam go dosyć, że w razie potrzeby gdzie indziej sobie schronienia poszukam. Jeszcze raz wam powtarzam, że pozostanę w tym domu, gdzie nie ma wigilij ni świąt. Wy zaś ruszajcie stąd co prędzej, bo zacznę krzyczeć, że mi gwałt zadać chcecie.

Imć Riccardo pojął, że nic nie wskóra, zrozumiał także w tej chwili, jakie głupstwo uczynił poślubiając młodą białogłową. Ciężko strapiony wyszedł z komnaty i obrócił się jeszcze z długą mową do Paganina, z której jednakże także nic nie wyszło. Później, niczego nie dokonawszy i ostawiwszy żonę, do Pizy powrócił. Tutaj z nadmiernej boleści szwank wielki na umyśle poniósł. Włóczył się całe dni po mieście, a gdy go ktoś pozdrowił albo o coś zapytał, odpowiadał jeno<sup>417</sup>: »Zła to dziura, co świąt nie chce«. Wkrótce potem zszedł z tego świata. Na wieść o tym Paganino, świadomy dobrze afektu, jaki dlań Bartolomea żywiła, pojął ją za żonę. Nie zachowując świąt, wigilij i postów, pracowali usilnie, póki im sił stało. Dlatego też, miłe moje panie, mniemam, że Bernabo, wszczynając spór z Ambrogiolem, leciał niechybnie na złamanie karku”.

Opowieść ta wywołała taki śmiech u wszystkich przytomnych, że nie było nikogo, kogo by szczęki nie zabołały.

---

<sup>417</sup> jeno (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

Wszystkie damy przyznały, że Dioneo miał słuszość, zowiąc Bernaba głupcem. Gdy opowieść już skończona została, a śmiech umilkł, królowa, zauważywszy, że pora jest już późna i wszyscy głos zabrali, oznajmiła, iż koniec jej władzy nastął. Nie chybiając zatem ustanowionej kolei, podniosła się, zdjęła wieniec i kładąc go na głowę Neifile, z wesołym uśmiechem rzekła:

– Od tej chwili władza nad naszym małym ludem w twoje ręce przechodzi, miła przyjaciółko!

To powiedziawszy, usiadła.

Neifile, przyjmując nadaną sobie godność, zarumieniła się niby róża, która w kwietniu czy w maju o świcie kraśnymi barwy goreje. Siedziała ze spuszczoneymi nieco oczyma, błyszczącymi niby ranne gwiazdy. Gdy jednakże ucichł przyjazny gwar, który przytomni na pochwałę nowej królowej podnieśli, Neifile rozpierchłe myśli nieco zebrała, usiadła wyżej niż zwyczajnie i rzekła:

– Skoro już jestem królową, pragnę przede wszystkim potwierdzić wszystkie prawa, którym posłuszni byliście. Później w krótkich słowach powiem wam, co zamyśliłam, i co za waszą zgodą wypełnić będziemy mogli. Jutro, jak wiecie, jest piątek, a potem sobota: dni przykre nieco dla wielu z powodu potraw postnych, chocia piątek, jako dzień, w którym cierpiał Ten, co za nas śmierć poniósł, godny jest osobliwego uczczenia. Przeto za rzecz słuszną i wielce godziwą poczytałabym, by dla bożej chwały modlitwom raczej niż opowieściom się oddać. W soboty znów jest w obyczaju u białogłów myć głowy, aby

ochędożyć je z pyłu i prochu, który się na nich przez cały tydzień nagromadzał. Wielu także zwykło w dniu tym na cześć Niepokalanej Dziewicy Marii post zachowywać i wstrzymać się od wszelkich trudów ze względu na nadchodzącą niedzielę. Mniemam, że także w tym dniu zwyczajnego trybu naszego życia wyrzec się musimy i że od opowieści się wstrzymamy. Skoro zaś ostajemy już w tym miejscu, cztery dni nam wówczas upłyną; jeżeli uniknąć chcemy, aby nas jacyś nowi przybysze tu nie zaskoczyli, należy nam miejsce pobytu zmienić i przenieść się gdzie indziej; o takim miejscu już pomyślałam. Zejdziemy się tam w niedzielę, po drzemce dziennej. Każdy z was więcej znajdzie czasu, by przypomnieć sobie i obmyślić opowieść swoją. A gdy dziś mieliśmy szeroko zakreślone szranki, dobrze by było ścieśnić jeszcze swobodę w wyborze przedmiotu opowieści, tak aby one wszystkie tyczyły się jakiegoś jednego przypadku fortuny.

Chciałabym, abyśmy na ten raz wybrali jako materię opowieści przypadki tych, którzy swoim sprytem osiągnęli rzecz pożądaną lub też utraconą odzyskali. Niechaj zatem każdy obmyśli w tej mierze jakąś wesołą i pożyteczną dla całej kompanii opowieść krom Dionea, którego przywilej zachowuję w mocy.

Wszyscy przyklasnęli pomysłowi królowej i przyrzekli, że się do jej woli stosować będą. Królowa, przywoławszy marszałka dworu, wskazała mu, gdzie ma stoły wieczorem zastawić, a także oznajmiła mu, co ma czynić w czasie jej panowania. Później

podniosła się wraz z całym towarzystwem i pozwoliła każdemu wedle swej woli przyjemności zażywać.

Młodzieńcy i damy udali się do sadu, przechadzali się tam długo, a gdy godzina wieczerzy nadeszła, wesoło do stołów zasiedli. Po posiłku Emilia, zgodnie z rozkazem królowej, zawiodła taniec, a Pampinea, przy wtórze wszystkich przytomnych<sup>418</sup>, taką pieśń zaśpiewała:

Któż, jeśli nie ja, w wdzięcznej pieśni mojej,  
Radością natchnie i szczęściem upoi?

Przyjdź więc, Amorze, ty, w którym się mieści  
Wesela mego i szczęścia przyczyna;  
Przyjdź, wspólne zacznijmy pienie,  
Lecz nie o smutkach ani o boleści  
(Choć ona przyszłe wesele poczyna),  
Ale o ogniu, w którym, nieskończenie  
Płonąc, wciąż jedno odczuwam pragnienie,  
By sławić ciebie, władco mój jedyny!

Przed oczy moje przywiodłaś, miłości,  
Kiedy już ogień jął trawić mą duszę,  
Kochanka w rozkwicie lat,  
Który w swym męstwie, cnotach i piękności  
Równego nigdy nie znajdzie! Więc muszę  
Dla niego ludzi zhołdować i świat.  
Jednakże miłość moja nie chce zrad

---

<sup>418</sup> przytomny (daw.) – tu: obecny (przy czymś). [przypis edytorski]

Z tobą, Amorze, władco mój jedyny!

Z rąk twoich wzięłam wyższą rozkosz jeszcze,  
Wzajemność jego, afekt równej siły.

Twa to zasługa, Amorze!

Szczęсна, że ziemskie sny mi się spełniły,

Jedną nadzieją teraz duszę pieścę,

Że śmierć miłości nie zmoże

I że Ty kiedyś zwolisz, dobry Boże,

Abyśmy w niebie kochali się wiecznie!

Później inne jeszcze pieśni śpiewali, tańczyli różne tańce i na różnych instrumentach grali. Wreszcie królowa uznała, że nadeszła pora spoczynku. Wszyscy przy blasku pochodni do komnat swoich się rozeszli. W ciągu dwóch dni następnych, będąc zabawieni wypełnianiem poleceń królowej, z wielką niecierpliwością niedzieli oczekiwali.

Kończy się drugi dzień Dekameronu i zaczyna trzeci, w którym pod przewodem Neifile mówi się o tych, co przyrodzonym swym sprytem osiągnęły rzecz pożądaną lub utraconą odzyskują.

## Dzień trzeci

Już zorza za nadejściem słońca zmieniała purpurę swoją na złoto, gdy w niedzielę królowa, podniósłszy się z pościeli, całe towarzystwo obudzić kazała. Marszałek dworu wysłał był już przedtem wszystkie potrzebne rzeczy na nowe miejsce pobytu, chcąc przygotować wszystko na przybycie gości. Ujrzawszy, że królowa już do drogi się zbiera, rozkazał resztę sprzętów zabrać i jak ze zwiniętego obozu pociągnął ze służbą i wozami w ślad za damami i młodzieńcami. Królowa szła na przodzie wolnym krokiem, w otoczeniu dam i trzech kawalerów, wśród śpiewu dwudziestu może słowików i innych ptasząt, mało uczęszczaną ścieżyną, porośłą trawą i kwiatami, które już do słońca otwierały kielichy swoje. Droga wiodła na zachód; towarzystwo szło gwarząc, przekomarzając się z sobą i wesoło się śmiejąc. Ledwie dwa tysiące kroków uszli, gdy królowa około trzeciej godziny ukazała im piękny i bogaty pałac wznoszący się na pagórku ponad doliną. Wszyscy weszli do wnętrza, rozejrzeli się po wielkich salach i po ozdobnych komnatach, które wyposażone we wszystko, do wczasu<sup>419</sup> nęcić się zdawały, i jęli wychwalać właściciela tej posiadłości, co zbytek i wspaniałość z wygodą łączyła. Później, zszedłszy na dół, obejrzelik obszerne i cieniste podwórzec, piwnice pełne

---

<sup>419</sup> wczas (daw.) – odpoczynek. [przypis edytorski]

win wyśmienitych, fontanny świeżą wodą tryskające, i jeszcze goręcej wszystko zachwalali. Wreszcie, srodze zmęczeni, zasiedli na balkonie, który nad dziedzińcem się wznosił. Balkon był umajony kwiatami i zielonymi gałęziami. Wnet też zjawił się niezawodny marszałek i ugościł ich winem i słodyczami. Po czym otworzywszy furtkę, udali się społem do ogrodu otoczonego ze wszystkich stron murem. Z początku zachwycali się ogólnym widokiem sadu, a później wszystkie jego urocze zakątki zważali. W krąg i pośrodku, w różnych kierunkach, biegły aleje proste jak strzały i ocienione winną latoroślą, która na ten rok wielką gron obfitość obiecywała. Winograd był wówczas w rozkwicie i woń jego, zlewająca się z zapachem innych kwiatów, przypominała wszystkie pachnidła Wschodu. Wzdłuż dróg i ścieżek rosły krzewy białych lub czerwonych róż i jaśminów, dzięki czemu nie tylko o poranku, ale i w dzień, w czasie największego żaru, można było tu wonnego chłodu zażywać i chodząc wszędzie, chronić się przed palącymi promieniami słońca. Słów by nie starczyło na wyliczenie wszystkich roślin i kwiatów, które cały ogród przystrajały, dość więc będzie, gdy powiem, że nie brakło ani jednego cennego kwiatu, co w naszym klimacie żyć może. W środku sadu znajdowała się polana, najbardziej wabiąca ku sobie, a pokryta ciemnozieloną trawą, że niemal czarną się zdawała. Wśród niej jaśniało tysiąc różnobarwnych kwiatów, dokoła zaś strzelały ku górze pomarańczowe i cytrynowe drzewa, obarczone zarówno dojrzałym lub jeszcze zielonym owocem, jak i kwiatami. Od

gałęzi padał cień i niosła się woń rozkoszna. Na polance wznosiła się fontanna z białego marmuru, rzeźbami przedziwnymi ozdobiona. Z figury na wysokiej kolumnie pośrodku stojącej (nie wiedzieć, czy przez siłę naturalną, czy też dzięki kunsztowi) tak potężny prąd wody ku górze tryskał, opadając w dół z szmerem przemiłym, że tą siłą cały młyn poruszyć by można było. Woda, która już w zbiorniku pomieścić się nie mogła, spływała kanałami ukrytymi pod darnią i rozlewała się po rowach, polanę otaczających. Później podobnymi, małymi kanałami wszystkie części ogrodu przebiegała, aż w końcu mnóstwo tych jasnych wód, zebranych w jednym zakątku sadu, kanał odprowadzał w dolinę, gdzie poruszały się dwa młyny, pracujące ku pożytkowi właściciela pałacu. Widok ogrodu, jego ładu, kwiatów, fontanny i wypływających z niej strumieni całkiem oczarował młodzieńców i damy. Wszyscy jednogłośnie zgodzili się na to, że gdyby raj na świecie istniał, miałby ani chybi podobny pozór<sup>420</sup>. Nie lza<sup>421</sup> było bowiem już żadnej piękności ogrodowi przydać. Towarzystwo, wielce ukontentowane, krążyło po sadzie, spletało z różnych gałązek wspaniałe wieńce i słuchało szczebiotu rozlicznych ptasząt, które jakby o pierwszeństwo z sobą walczyły. Nagle odkryto jeszcze jedną zaletę ogrodu, która przedtem uszła wzroku olśnionego innymi pięknosciami. Damy i młodzieńcy ujrzeli mianowicie mnóstwo różnych zwierząt i poczęli je

---

<sup>420</sup> *pozór* (daw.) – wygląd. [przypis edytorski]

<sup>421</sup> *nie lza* – nie wolno; tu: nie można. [przypis edytorski]

sobie nawzajem pokazywać. Tu siedziały króliki, tam biegały zajęce, dalej leżały kozy i pasły się młode jelonki, a prócz nich wiele innych zwierząt nieszkodliwych i obłąskawionych przechadzało się wedle swej woli. Igraszki zwierząt powiększyły jeszcze ukontentowanie towarzystwa. Zażywszy przechadzki i nadziwawwszy się dość wszystkiemu, kazali ustawić stół obok wodotrysku. Przed obiadem zaśpiewali jeszcze kilka pieśni i potańczyli, aż wreszcie na rozkaz królowej do stołu zasiedli. Wyborne potrawy z radością powitane zostały, po czym weselsi od stołu powstali. Po posiłku znów pieśniom, tańcom i grom różnym się oddawali, póki królowa, widząc, że żar dzienny się zwiększa, do południowego spoczynku nie wezwała. Wówczas jedni wczasowi się oddali, a drudzy, nie chcąc ani na chwilę wspaniałego widoku sprzed oczu utracić, rozproszyli się po ogrodzie i na czytaniu powieści lub na grze w szachy i warcaby czas spoczynku trawili. O dziewiątej godzinie wszyscy podnieśli się i orzeźwiwszy oblicza świeżą wodą, zebrali się koło fontanny. Zgodnie z ustanowionym porządkiem zasiedli dokoła i czekali na znak królowej. Królowa skinęła na Filostrata, któremu tego dnia pierwszemu mówić przypadło.

# Opowieść pierwsza. Wilk w owczarni

Masetto z Lamporecchio, udając niemowę, godzi się na służbę jako ogrodnik do pewnego żeńskiego klasztoru. Wszystkie mniszki ubiegają się o to, aby z nim sypiać.

– Moje miłe damy! Żyje na świecie wiele kobiet i mężczyzn tak głupich, iż pochopnie wierzą, że skoro się młodą dziewczynę w białą zasłonę ubierze i habit czarny na nią narzuci, zaraz ona kobietą być przestaje i od chuci swoich cielesnych jest uwolniona, tak jakby z wejściem do klasztoru w kamień twardy przemieniła się. Jeżeli usłyszą coś, co przeciwne jest ich wierze, wzbudzają się tak, jakby to było wielkim grzechem przeciwko przyrodzeniu<sup>422</sup>. Oczywiście, ludzie ci nie chcą pomyśleć i osądzić po samych sobie, chociaż mogąc czynić, co tylko zechcą, nie są zdolni nasycić swych pragnień ani też nie biorą pod uwagę, jaki niebezpieczny wpływ próżnowanie i samotność sprawują. Z drugiej strony są i tacy, którzy sądzą, że siekiera, łopata, grube potrawy i ciężka praca przytępiąją u kmieci żądze przyrodzone i niedołącznymi na umyśle i dowcipie ich czynią. W jakim błędzie jedni i drudzy pozostają, pragnę – idąc za wezwaniem królowej – pokazać wam w mej krótkiej opowieści, która nie wyjdzie poza obręb materii dla opowiadań naznaczonej.

„Niedaleko stąd wznosił się żeński klasztor (istnieje on jeszcze

---

<sup>422</sup> przyrodzenie (daw.) – tu: natura. [przypis edytorski]

po dziś dzień), słynący z wielce nabożnych mniszek. Nazwy tego klasztoru wymieniać nie będę, nie chcę bowiem jego sławy na szwank przywozić. Przed niedawnym czasem, gdy w klasztorze znajdowało się tylko osiem młodych mniszek i przeorysza, służył tam pewien poczciwiec, uprawiający piękny klasztorny ogród. Ów, niezadowolony będąc z zapłaty, obrachował się z mniszkami i powrócił do Lamporecchio, skąd pochodził. Tam pośród jego przyjaciół był młody, zdrowy i krzepki pachoł, dość na obliczu gładki, Masettem zwany. Ów zapytał Nuta (takie było imię tego, co z klasztoru powracał), gdzie tak długo przebywał. Nuto odpowiedział. Wówczas Masetto spytał, jakiego rodzaju posługi w klasztorze spełniał.

– Trudziłem się w obszernym i pięknym ogrodzie klasztornym – odparł Nuto – krom<sup>423</sup> tego chodziłem po drwa do lasu, nosiłem wodę i innymi robotami byłem zatrudniony, aliści<sup>424</sup> zakonnice płaciły mi za to wszystko tak skąpo, że zaledwie było za co buty kupić. A przy tym wszystkie one są młode i prawdziwie diabła za skórą mają; żadną miarą dogodzić im nie można. Gdym pracował w ogrodzie, przychodzi jedna i rzecze: »Połóż to tutaj«, a druga woła: »Połóż to tam«, inna zasię<sup>425</sup> z rąk łopateę wydziera i krzyczy: »Nie zda się to na nic«. Takiej mi trudności przyczyniały, że rzucałem pracę i wychodziłem z ogrodu. Dla tych powodów tak mi robota obmierzła, że

---

<sup>423</sup> *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

<sup>424</sup> *aliści* (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

<sup>425</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

za służbę podziękować musiałem. Przy odejściu prosił mnie rządcą klasztoru, ażeby przybywszy tutaj obejrzał się za jakimś człkiem do pracy zdatnym i przysłał go do klasztoru na swoje miejsce. Przynależem, że tak uczynię, ale niechże go Bóg tak zdrowym na nerkach uczyni, jak obietnicę swoją uiszczę i kogoś mu pošlę.

Gdy Masetto te słowa usłyszał, nabrał tak wielkiej chęci służenia mniszkom, że ledwie mógł na miejscu ustać, pomiarkował bowiem, że łatwie<sup>426</sup> mu będzie osiągnąć to, czego pragnął. Nie chcąc, aby Nuto czegoś się domyślił i popsuł mu szyki, rzekł:

– Dobrześ uczynił, żeś klasztor opuścił! Jakże może męczyzna z tyloma babami wytrzymać; radniej z diabłami wolałbym mieć do czynienia. W sześciu wypadkach na siedem razy nie wiedzą one same, czego chcą.

Skończywszy dyskurs z Nutem, Masetto, nie mieszkając<sup>427</sup>, przemyślał począł, w jaki by sposób do klasztoru się dostać. Wiedział, że jest zdatny do wszystkich tych robót, o jakich Nuto mówił – o to zatem spokojny był zupełnie. Bał się jeno, że dla jego młodości i urody wziąć go nie zechcą. Dobrze wszystko rozważywszy, tak rzekł do siebie: »Klasztor znajduje się daleko stąd i żywa dusza tam mnie nie zna. Gdy się wydam na niemowę, niechybnie mnie na służbę przyjmą«.

Ugruntowawszy się w tym zamyśle swoim, wziął siekiere na

---

<sup>426</sup> *łatwie* – dziś popr. forma: *łatwo*. [przypis edytorski]

<sup>427</sup> *nie mieszkając* (daw.) – nie zwlekając, nie tracąc czasu. [przypis edytorski]

ramię i nie mówiąc nikomu, gdzie zmierza, udał się w drogę do klasztoru jako człek ubogi. Wszedłszy na dziedziniec, natknął się zaraz na klasztornego rządcę. Podszedł doń i znakami, jak to niemowcy czynią, poprosił, aby mu dla miłości bożej kęs stawy dano, on zaś, jeśli trzeba, drew za to narąbie. Rządca ochotnie go nakarmił, a później ukazał mu kilka grubych pni, którym Nuto nijak rady dać nie mógł. Krzepki Masetto niedługo się z nimi uwinął. Rządca, który się właśnie do lasu udawał, wziął go z sobą i przykazał mu drew narąbać. Potem, przywiódłszy osła, pokazał mu znakami, aby polana na grzbiet bydłęcia włożył i do klasztoru zawiózł.

Masetto dobrze się z tego wszystkiego wywiązał, tak iż rządcą, znajdując go do roboty zdatnym, kilka dni go w klasztorze zatrzymał. Pewnego dnia przeorysza, obaczywszy pachola, spytała, kim on by był?

– Jest to biedny głuchoniemy, czcigodna matko – odparł rządcą – który w tych dniach po jałmużnę tu przybył. Dałem mu ją z chęcią, a później do wielu robót na podorędziu będących go użyłem. Gdyby się do uprawiania ogrodu nadał i miał chęć tu pozostać, sądzę, że bardzo by się nam mógł przydać. Pachol to silny, czego się tknie, dobrze sprawi, a przy tym obawiać się nie trza, by młodym mniszkom przygadywał.

– W samej rzeczy, masz słusność – odparła przeorysza – dowiedz się więc, czy zna się na pracy w ogrodzie, i postaraj się zatrzymać go. Daj mu także parę butów, stary płaszcz, obchodź się z nim łaskawie i nakarm go dobrze.

Rządca obiecał, że tak uczyni. Masetto, stojący w pobliżu, udawał, że dziedziniec zamiata, aliści wszystko dobrze słyszał. Rzekł do siebie z radością: »Tylko mnie do klasztoru wpuście, a tak wam ogród uprawię, jak jeszcze nikt przedtem«.

Rządca, uznawszy, że pachół zdatny jest do wszystkich robót, jął<sup>428</sup> go znakami pytać, zaliby<sup>429</sup> w klasztorze ostać nie chciał? Masetto również znakami odparł, że się zgadza. Po czym rządca zawiódł go do ogrodu, ukazał robotę najpilniejszą i odszedł do swoich spraw. Gdy Masetto tak dzień po dniu się trudził, jeły mniszki przekorę mu czynić i tysiące psot wyrządzać, jako to nieraz z niemymi się zdarza. Gadały mu także w oczy rzeczy najsprośniejsze, mniemając, że ich nie usłyszy. Przeorysza zaś, sądząc może, że brak mu równie ogona, jak i języka, mało na te figle uwagi zwracała.

Zdarzyło się pewnego dnia, że gdy Masetto po ciężkiej pracy leżąc wczasu zażywał, dwie młode mniszki, przechadzające się po ogrodzie, zbliżyły się doń i jeły patrzeć na niego. Pachół udał, że śpi twardym snem. Jedna z mniszek, widać odważniejsza, rzekła do drugiej:

– Gdybym wiedziała, że ci zaufać można, podzieliłabym się z tobą pewną myślą, co mi już nieraz do głowy przychodziła. Upewniona jestem, że mój zamiysł podobałby ci się wielce.

– Mów śmiało! – odparła druga – ja cię przed nikim nie zdradzę.

---

<sup>428</sup> *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>429</sup> *zaliby* (daw.) – czyby; czy też by. [przypis edytorski]

– Nie wiem – rzekła pierwsza mniszka – zali rozważyłaś, pod jakim srogim nas tu trzymają dozorem, nie dając przystępu do nas żadnemu mężczyźnie, krom<sup>430</sup> starucha-rządcy i tego niemego pachoła. Słyszałam często od białogłów, które klasztor odwiedzają, że wszystkie rozkosze tego świata są fraszką wobec przyjemności, jakiej niewiasta z mężczyzną zażywa. Przyszło mi na myśl (ponieważ innej sposobności nie mamy), aby z tym niemyym wypróbować, czy to prawda. Lepszego odeń do tego dzieła nie znajdziemy na całym świecie; gdyby nawet i chciał, nie będzie mógł o tym nikomu słowa powiedzieć, zresztą, jak widać, jest to prawdziwy głupiec, wyrósł nad miarę, ale rozumu nie ma ani krztyny. Powiedz mi, co sądzisz o moim zamiśle?

– Jakże nieprzystojne rzeczy wygadujesz – odparła druga – zali nie wiesz, żeśmy z swego dziewictwa Bogu ofiarę uczyniły?

– Wiele rzeczy – rzekła pierwsza – przyrzeka się Mu codziennie, nie myśląc o ich dotrzymaniu. My ślubowałyśmy, a miast nas znajdą się inne, które ślub zdzierzą.

Druga mniszka spytała:

– A cóż będzie, jeśli w ciążę zajdziemy?

– Myślisz o nieszczęściu – odparła pierwsza – zanim ono się przytrafiło; gdy się zdarzy, wówczas nad nim głowić się będziemy. Tysiące sposobów jest na to, aby wszystko w tajności utrzymane zostało, jeśli tylko my same pary z ust nie puścimy.

Druga mniszka poczuła nagle wielką chęć uznania, co to za

---

<sup>430</sup> *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

zwierzę jest ów mężczyzna, spytała tedy<sup>431</sup>:

– A jak to uładzisz?

– Jak widzisz, jest teraz godzina dziewiąta<sup>432</sup>. Wszystkie siostry, krom nas, ani chybi, śpią. Obejrzymy się wokół, czy nie ma kogo w pobliżu, a później weźmiemy niemowę za rękę i zaprowadzimy go do tej lepianki, w której przed deszczem schronienia szuka. Jedna wejdzie z nim do środka, a druga stanie na czatach. Niemowa jest tak głupi, że zrobi wszystko, co mu polecimy.

Masetto słyszał całą tę rozmowę. Gotów do posłuszeństwa, niczego tak nie oczekiwał, jak tego, aby go za rękę wzięły.

Mniszki rozejrzały się po sadzie, a upewniwszy się, że ich nikt nie widzi, podeszły do Masetta i obudziły go. Ten zaraz na nogi się porwał. Mniszka, która pierwsza z zamysłem swym wystąpiła, ujęła go za rękę i głaszcząc go zaprowadziła do chatki. Pachół, uśmiechając się głupekowato, nie dał się zbyt prosić, jeno uczynił chętnie to, co chciała. Pierwsza mniszka pofiglowawszy do woli, jako wierna przyjaciółka, ustąpiła potem miejsca drugiej. Masetto, ciągle głupecza udając, wcale się na to nie skarżył. Nim odeszły, jeszcze kilkakrotnie spróbowowały, jak niemowa harcować potrafi. Później mawiały, że sama rzecz przechodzi wszelkie o niej opowiadania, i znalazłszy stosowną

---

<sup>431</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>432</sup> *godzina dziewiąta* – tu: według daw. miary, gdy jako pierwszą oznaczano godzinę wschodu słońca (odprawiano też wówczas pierwsze nabożeństwo), więc dziewiąta godzina przypadała ok. drugiej po południu. [przypis edytorski]

chwilkę, często z niemową igrały.

Pewnego dnia zdarzyło się, że któraś z mniszek, wyglądając oknem z swej celi, spostrzegła miłe igraszki swych towarzyszek i zaraz je dwom innym mniszkom pokazała. Z początku chciały wyjawić wszystko przeoryszy, ale później zamysł odmieniwszy, ugodziły się z tamtymi, aby i one skarbami Masetta cieszyć się mogły. W końcu po różnych przypadkach pozostałe trzy mniszki także się do kompanii przyłączyły. Wreszcie przeorysza, która dotąd niczego się nie domyślała, przechadzając się samotnie pewnego upalnego dnia po ogrodzie, spostrzegła Masetta, który po całonocnym dojeżdżaniu z sił opadł i spał rozciągnięty pod migdałowym drzewem. Wiatr odwiał mu koszulę, odsłaniając przed przeoryszą całe przyrodzenie. Przeorysza na tę pokusę poczuła równą chęć jak i jej mniszki. Widząc, że jest sama, obudziła Masetta i zawiodła go do swej celi, gdzie go przez kilka dni trzymała (ku wielkiej żalości mniszek, gorzko skarżących się, że ich ogród tak długo odłogiem leży) próbując uparcie, jak smakuje ta słodycz, którą zawsze potępiała. Wreszcie odesłała pachola do jego izdebki. Ponieważ jednak często go jeszcze wzywała, żądając od nieboraka, który i tak ledwo pracy mógł wydołać, części równającej się wszystkim innym, pomyślał Masetto, że ta udana głuchota i niemota do wielkiego nieszczęścia go przywieść może.

Dlatego też pewnej nocy, gdy z przeoryszą w łóżu leżał, nagle swój język rozwiązał i rzekł:

– Słyszałem wprawdzie, wielebna matko, że jeden kogut na

dziesięć kur starczy, ale i to wiem, że dziesięciu mężów za ledwie jedną białogłową ukontentować może. Mnie jednemu przypadło dziewięć niewiast obsługiwać, czemu za wszystkie skarby świata podołać nie mogę. Już mnie to ogrodnicze rzemiosło do tego przywiodło, że nie mogę zdziałać ani mało, ani wiele. Albo mnie więc z Bogiem odpuście, albo jakieś zapobieżenie na to zło znajdźcie!

Przeorysza, usłyszawszy słowa człeka, którego za niemowę poczytywała, przeraziła się niepomału<sup>433</sup> i zawołała:

– Dla Boga! Co to znaczy? Miałam cię za niemego!

– Byłem nim, matko wielebna – odparł Masetto – ale nie od urodzenia. Choroba odjęła mi mowę i dopiero tej nocy ją odzyskałem, za co nieskończone dzięki Bogu składam.

Przeorysza uwierzyła mu i spytała go, co znaczy owo napomknienie o jakichś dziewięciu białogłowach, którym służyć musi.

Wówczas Masetto wszystko jej wyjawiał, z czego przeorysza poznała, że nie ma w klasztorze ani jednej mniszki, co by głupsza od niej była. Jako białogłowa ostrożna, postanowiła, wprzód, nim Masetta od siebie wypuści, naradzić się z mniszkami, co uczynić należy, aby Masetto dobrej sławy klasztoru na szwank nie naraził. W tym czasie umarł właśnie stary rządcą. Mniszki przyznały się szczerze wobec siebie do popełnionego przez wszystkie grzechu i postanowiły wspólnie, za zgodą Masetta, rozpuścić wieści, że dzięki ich nieustannym modlitwom

---

<sup>433</sup> *nepomału* (daw.) – niemało. [przypis edytorski]

i wstawieniu się patrona klasztoru, niemy i głuchy pachół po latach wielu mowę i słuch odzyskał. Później uczyniły go rządcą klasztoru i tak mądrze pracę jego podzieliły, że jej wydołać potrafił. Chocia i wiele mniszątek na świat przyszło, przecie zakonnice tak ostrożnie działać umiały, że nikt niczego się nie domyślił. Dopiero po śmierci przeoryszy, gdy podstarzały Masetto do domu już z zebrany dobytek chciał powracać, sprawa na jaw wyszła. Wrócił do swej wsi, skąd wyszedł z siekierą na plecach, jako człek stary, bogaty i ojciec dzieci, niemający nijakich trosk o ich wyżywienie. Użył sprytnie młodości swojej i zwykł był powtarzać, że tak Bóg nagradza pracowitych ogrodników w winnicy swojej”.

## Opowieść druga. Król włosy strzyże

Jeden z masztalerzy króla Agilulfa śpi w nocy z jego żoną. Król, uznawszy o tym, nic nie rzecze, ale znajduje go i głowę mu strzyże. Ostrzyżony strzyże innych i tym sposobem kary unika.

Gdy opowiadanie Filostrata, które czasem rumieńce na twarzach dam, a czasem ich śmiech wywoływało, do końca dowiedzione zostało, królowa Pampinei zaczynać kazała; ta z wesołym uśmiechem na ten kształt mówić jeła<sup>434</sup>:

– Zdarzają się ludzie, co na wyskok pokazać pragną, że wszystko wiedzą i że nic tajne być im nie może ze spraw, których znajomością chlubić się im nie godzi. Nieraz taki człek, spostrzegłszy ukryte braki bliźniego, zaraz o tym powszędy głosi, mniemając, że przez to sławę swoją osłania, gdy tymczasem w istocie rzeczy na szwank ją przywodzi. Pragnę pokazać wam to, miłe towarzyszy, na przykładzie zgoła przeciwnym: rozwagi pewnego dzielnego króla. Zdarzyła mu się przygoda z człekiem czelności wielkiej, a niższej jeszcze, zapewne, od tamtego pachola kondycji.

„Longobardzki król Agilulf, śladem swoich poprzedników, lombardzki gród, Pawię, za stolicę swoją wybrał. Król pojął za żonę Teudelingę, wdowę po Autaryku, również longobardzkim

---

<sup>434</sup> jać (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

władcy. Teudelinga była wielce urodziwą, mądrą i obyczajną białogłową, aliści w miłości niezbyt szczęśliwą. Gdy Agilulf roztropnością i dzielnością swoją sprawy longobardzkiego państwa do pomyślnego stanu i pokoju doprowadził, zdarzyło się, że w pięknej królowej zakochał się okrutnie jeden z królewskich masztalerzy. Był to człek, mimo swojej podłej kondycji, wieloma przymiotami uraczony, a do tego urodziwy wielce i kształtowny jak sam król. Chocia z niskiego stanu szedł, przecie rozumu nie był pozbawiony, dlatego też pojąwszy, że afekt jego do lubego skutku przywiedziony być nie może, nie dał najmniejszej po sobie poznaki i nawet namiętnymi spojrzzeniami nie ośmielał się zdradzać przed królową. Nie żywił najmniejszej nadziei, że wzajemność królowej będzie mógł pozyskać, dumnym jednak był z tego, że tak wysoko cel pragnień swoich umieścił, i cały ogniem miłości przenikniony, prześcigał wszystkich swoich towarzyszy w gorliwości i chęci przypodobania się swej pani. Dlatego też królowa, wyjeżdżając, zawsze chętnie dosiadała rumaka przez niego osiodłanego. Ilekroć się to zdarzyło, za łaskę najwyższą sobie to poczytywał. Nie oddalał się od jej strzemia i za szczęśliwego się uważał, jeżeli mu się jej szat dotknąć udało.

Jak to jednak pospolicie bywa, im mniejsza jest nadzieja, tym silniejszym płomieniem miłość się pali; tak też się i stało z tym nieborakiem, masztalerzem. Nie był już mocen dłużej swojej skrytej namiętności znosić, żadną nadzieją krzepiony nie będąc; postanowił tedy<sup>435</sup> życia się pozbawić, bowiem wiedział,

---

<sup>435</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

iż inaczej od tej miłości nie uciecze. Jednakże chciał wybrać taki śmierci rodzaj, aby zgon jego okazał jawnie, że zginął przez miłość, jaką do królowej żywił. Pragnął także przed śmiercią fortunę skusić i popróbować, zali mu się nie uda choćby w części celu swych pragnień osiągnąć.

Nie myślał wyznawać królowej miłości swojej lub na piśmie jej wyrażać, wiedział bowiem, że to na niczym by spełzło, postanowił jeno chytrego jakiegoś sposobu się chwycić, aby z królową jedną noc przepędzić. Nie było ku temu innego środka, jak za króla się przebrać (o którym wiedział, że nie zawsze nocą żonę odwiedza) i do komnaty sypialnej się dostać. To postanowiwszy, kilka nocy z rzędu spędził ukryty w wielkiej sali zamkowej, która znajdowała się między komnatami króla a królowej, i starał się podpatrzeć, jak i w jakim stroju król do małżonki zwykł przybywać. Pewnej nocy obaczył wreszcie króla, który wyszedł z swojej komnaty, owinięty w szeroki płaszcz, trzymając w jednej ręce zapalony ogarek, a w drugiej laskę. Król zbliżył się w milczeniu do drzwi komnaty królowej i zastukał do nich raz czy dwa razy swoją laską. Na to otwarły się natychmiast drzwi i królowi świecę z rąk odebrano.

Zauważywszy tedy sposób wejścia, a potem wyjścia króla, postanowił masztalerz swego pana jak najściślej naśladować. W tym celu postarał się o płaszcz podobny do tego, jaki król nosił, o ogarek i laskę, wykopał się należycie, aby się zapachem stajennym nie zdradzić, i znów w wielkiej sali zamkowej się ukrył. Upewniwszy się, że wszyscy twardym snem są zmorzeni

i że sposobna chwila na to nastala, aby albo swoje pragnienia uskutecznic, albo tez godna droge do smierci znalezc, skrzesał przy pomocy hubki, co ja mial przy sobie, troche ognia, zapalil ogarek i otulwszy sie szczelnie w plaszcz, podszedl do drzwi, w ktore dwa razy laska uderzyl. Zaspana pokojowa otworzyla mu je i odebrawszy swiece z jego rak, zagasila ja. Wówczas masztalierz, nie mowiac ani slowa, wszedl za kotare wiszaca koło loza, zdjal plaszcz i wstapil do loznicy, w ktorej królowa spala. Wiedzac, ze król, gdy jest czymś pomieszany albo wzburzony, ma obyczaj scisle zachowywac milczenie, nie pozwalajac mowic do sie, udawal niepokoj i nie rzekl ani jednego slowa, jeno królowe w ramiona pochwycil i kilka razy cielesnie ja poznal. I aczkolwiek zal mu bylo odchodzic, przecie obawiajac sie, aby zbytne slodycze w męki sie nie przemienily, podniost sie wreszcie, wzial plaszcz i swiece i nie ozwawszy sie ani slowem, do swojej izby sie udal. Zaledwie jednak legl w swej pościeli, gdy król udal sie do komnaty królowej. Królowa wielce sie z tego zadziwila. Gdy sie obok niej polozyl i wesolo ja powital, rzekla do niego, uprzejmoscia ta osmielona:

– Cóż to za nowy obyczaj macie tej nocy, panie mój i małżonku? Ledwieście wyszli ode mnie, zażywszy rozkoszy ponad zwykłą miarę, a już powracacie znowu? Zważcie, co czynicie!

Król, słowa te usłyszawszy, dorozumiał się od razu, że ktoś oszukał królowę dzięki podobieństwu stroju i powierzchowności. Jednak, jako człek mądry, zauważywszy, że ani królowa, ani nikt

inny podejścia nie spostrzegł, sam go nie chciał odkrywać. Iluż znalazłoby się głupców, którzy w podobnej okoliczności zaraz by wołać jęli: »Ja tutaj nie byłem! Któż więc mógł być? I co tu robił? I jak się tu mógł dostać?«. Siła przykrości z tego by wynikło, królowa zaś, bez potrzeby niepokojona, miałaby może pobudkę do spróbowania drugi raz tego, czego już raz pokosztowała; i gdy milczenie żadnej ujmy przynieść mu nie mogło, sam by się do hańby własnej przyczynił, rzecz tę jawną czyniąc.

– Zali mniemasz, moja żono, że nie mam dość męskości w sobie na to, aby dwa razy w ciągu nocy cię odwiedzić, a i później jeszcze powrócić? – rzekł król, bardziej zmieszany w duchu niżli w słowach albo na obliczu.

– Przeciwnie, panie mój – odparła królowa – proszę cię jednak, abyś na zdrowie swoje zważał.

Wówczas król rzekł:

– Posłucham więc dzisiaj twojej rady i więcej cię dręczyć nie będę.

To rzekłszy, płonąc gniewem i żądzą pomsty za wyrządzoną mu zniewagę, narzucił na się płaszcz i opuścił komnatę, z zamysłem odszukania po cichu winowajcy, bowiem ten, według jego mniemania, musiał do dworu należeć i żadną miarą nie mógł się jeszcze z zamku wydostać. Zażęgłszy<sup>436</sup> tedy światło w małej latarce, wszedł na długi korytarz, znajdujący się nad stajnią, w którym prawie cała służba spała. Będąc zaś przekonany, że temu, co owo plugastwo uczynił, puls i serce jeszcze po wysileniu

---

<sup>436</sup> *zażęgłszy* – zapaliwszy. [przypis edytorski]

uspokoić się nie mogły, jał<sup>437</sup> każdemu śpiącemu z kolei piersi ostrożnie dotykać, aby bicie jego serca wybadać. Wszyscy krzepkim snem już byli zmożeni krom<sup>438</sup> owego masztalerza. Ów, obaczywszy króla, odgadł od razu, czego jego pan szuka. Z trwogi serce jego – i tak ze zmęczenia niespokojne – jeszcze silniej walić poczęło. Sądził, że jeśli król to spostrzeże, ani chybi na śmierć go skaże. Tysiące myśli przemknęło mu przez głowę, wreszcie, widząc, że król przy sobie broni nie ma, postanowił udać śpiącego i czekać, co król uczyni. Tymczasem król obmacał już wielu śpiących, bez tego jednak, aby znalazł, czego mu było trza; w końcu, doszedłszy do owego masztalerza, poczuł uderzenia jego serca i rzekł sam do siebie: »To ten!...«.

Nie chcąc jednak, aby ktokolwiek dowiedział się o jego przedsięwzięciu, poprzestał na tym, że nożycami, które miał przy sobie, obciął mu z jednej strony trochę włosów (w owych czasach bardzo je długie noszono), aby nazajutrz rano móc winowajcę po tym znaku szczególnym rozpoznać, i natychmiast do komnat swoich powrócić.

Masztalerz czuł doskonale, co król z nim robi, i natychmiast, dzięki swemu przyrodzonemu sprytowi, dorozumiał się, do czego te postrzyżyny zmierzać miały. Dlatego też podniósł się śpiesznie z pościeli i znalazłszy nożyce stajenne, do strzyżenia grzyw końskich przeznaczone, powystrzygał ostrożnie wszystkim śpiącym pukle włosów nad uszami. To uczyniwszy,

---

<sup>437</sup> *jać* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>438</sup> *krom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

do swego łoża powrócił.

Na drugi dzień rano, nim jeszcze bramy zamkowe otwarto, król przykazał całej służbie dworskiej przed sobą się stawić. Gdy zaś wszyscy się zebrali i z odkrytymi głowami przed nim stanęli, spojrzął na nich bystro, chcąc odszukać tego, co był przezeń postrzyżony. Aliści, ujrzawszy wielką ilość głów tak samo ostrzyżonych, niepomiernie zadziwił się i rzekł do się: »Ów, którego szukam, aczkolwiek z podłego pochodzi stanu, nie mało ma przecie roztropności«.

Po czym rozważył, że bez tego, aby sprawa się rozgłosiła, winowajcy nie znajdzie. Nie chcąc dla małej pomsty wielkiej sobie hańby przyczynić, postanowił winowajcę jednym słowem napomnieć i pokazać mu, że o wszystkim jest dobrze uwiadomiony.

Obróciwszy się zatem do dworskich, rzekł:

– Niechaj ten, co to uczynił, drugi raz już nie ma do podobnego uczynku śmiałości. Teraz zasię<sup>439</sup> idźcie z Bogiem.

Ktoś inny na miejscu króla kazałby służbę łamać kołem, brać ją na różne pytki, badać ją i wymuszać zeznania, tym kształtem podałby na jaśnię to, co ze wszech miar w zakryciu pozostać by było winno. Znalazłszy w końcu winnego i zemstę swoją nasyciwszy, nie zmyłby przez to z siebie hańby, przeciwnie, jeszcze by ją zwiększył, a do tego i żonę osławił.

Ci, którzy słowa jego słyszeli, zadziwieni, długo się nad nimi głowili, skrytego ich znaczenia pojąć nie mogąc.

---

<sup>439</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

Zrozumiał je jeno ten, kogo dotyczyły.

Masztalerz miał dość rozumu na to, aby za życia króla z tajemnicą swoją nigdy się nie zdradzać, a także już na podobne azardy<sup>440</sup> więcej się nie ważyć”.

---

<sup>440</sup> *azard* (daw.) – niebezpieczeństwo, ryzyko; por.: hazard. [przypis edytorski]

## Opowieść trzecia. Spowiedź

Pod pokrywką spowiedzi i swej wrzekomo urażonej cnoty dama, rozmówana w młodzieńcu, pewnego surowego mnicha, nic nie podejrzewającego, k'temu przywodzi, aby dopomógł jej do uskutecznienia miłosnych zamysłów.

Gdy Pampinea umilkła, wszyscy niemal wyrazili podziwienie swoje nad odwagą i sprytem masztalerza, a także nad roztropnością króla; za czym królowa, obróciwszy się do Filomeny, jej dalej opowiadać kazała. Wdzięczna Filomena w te słowa zaczęła:

– Zamierzam opowiedzieć wam o chytrym figlu, który pewna piękna dama surowemu mnichowi wypłatała. Taka sztuczka musi przypaść do smaku każdemu świeckiemu człowiekowi, bowiem ci nieokrzesani po większej części i głupi mnisi, dziwnych jakichś obyczajów przestrzegający, wystawiają sobie, że więcej od wszystkich znaczą i umieją, gdy tymczasem w samej rzeczy wiedzą niewiele albo i nic wcale. Dla tępości<sup>441</sup> i gnuśności umysłu nie umiejąc tak się krzątać koło dobra swego jak inni ludzie, wężą jedynie, niby wieprze, gdzie by się do syta nazreć mogli. Opowiem wam tę historię nie tylko dlatego, że kolej na mnie przyszła, ale aby pokazać wam, że mnichy, którym we wszystkim wierzymy i zbytnią ufność im okazujemy,

---

<sup>441</sup> dla tępości (daw.) – z powodu tępoty. [przypis edytorski]

mogą być łatwo nie tylko przez mężczyzn, ale czasem i przez nas, kobiety, na hak przywiedzeni.

„W naszym mieście, gdzie kłamstwa i oszustwa daleko więcej znaleźć można niżli miłości i wierności, żyła przed kilkunastu laty pewna znakomita dama, uposażona od natury wielką urodą, obyczajnością, wysokim umysłem i dowcipem bystrzejszym niż dowcip białogłów. Znam jej imię, tak jak i imiona tych, co do tej opowieści należą, nie będę jednak imion tych wyjawiała, bowiem ci, którzy je noszą, żyją jeszcze; mogliby tedy<sup>442</sup> łatwie gniewem się zapalić, gdy tymczasem, mówiąc po prawdzie, wszystko to jedynie śmiechu jest warte.

Owa dama, ze znacznego rodu idąca, oddana została za żonę prostemu tkaczowi. Nigdy jednakowoż nie mogła się pogodzić z myślą, że jej mąż jest zwykłym rzemieślnikiem, mniemała bowiem, że człek podłej kondycji, choćby i nie wiem jak był bogatym, nie jest godzien białogłowy dobrze urodzonej.

Widząc zaś, że jej mąż przy całym swoim bogactwie tylko przedzę motać, nici sposobne wybierać i z prządkami kłócić się potrafi, postanowiła pieszczoł jego, o ile możności, unikać i znaleźć sobie nieodwłocznie jakiegoś kochanka, godniejszego jej niżli prosty tkacz. Wkrótce rozmiłowała się w pewnym zacnym szlachcicu średnich lat, i to tak okrutnie, że gdy tylko jakiegoś dnia go nie widziała, następnej nocy od dusznego strapienia wcale spać nie mogła. Ów zaś, niczego się nie domyślając, wcale o nią nie dbał. Dama była zbyt

---

<sup>442</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

ostrożna na to, aby poselstwami lub listami wysyłanymi do niego na możliwe niebezpieczeństwo się narażać. Uznawszy, że szlachcic w bliskiej przyjaźni pozostaje z pewnym grubym i krągłym mnichem, który dla swego świątobliwego życia powszechną czią się cieszył, zamyśliła natychmiast mnicha tego za pośrednika użyć. Dobrze wszystko w umyśle ułożywszy i stosowną chwilę wybrawszy, udała się do kościoła, przy którym mnich przemieszkiwał, i wyraziła mu życzenie wyspowiadania się. Braciszek poznał od razu, że ze szlachetną damą ma do czynienia, dlatego też chętnie jej spowiedzi wysłuchał. Wypowiadawszy się, białogłowa rzekła:

– Pragnę, wielebny ojczy, do was po radę i po pomoc się udać. Wiadome mi jest, że znacie dobrze moją rodzinę i mego męża, który miłuje mnie bardziej niż życie własne; jako człek wielce bogaty, spełnia on każde moje życzenie, za co kocham go bardziej niż żywot własny. Gdybym zdatna się okazała do najmniejszej myśli (nie mówię już o uczynku), która by jego dobrą cześć na szwank przywieść miała, więcej bym na stos zasłużyła niż jakakolwiek inna występna białogłowa. Tymczasem od niedawnego czasu pewien człek, nie znany mi z nazwiska, ale zdający się być znacznego stanu, a przy tym, o ile się nie mylę, wasz dobry znajomy, nie wiedząc widocznie o moim niezmiennym postanowieniu, w prawdziwym obłączeniu mnie trzyma. Jest to mąż okazałej postaci, wielce urodziwy i ubrany w wytworne szaty brunatnej barwy. Nie mogę się pokazać w drzwiach, u okna ani na ulicę wyjść

bez tego, aby się nań nie natknąć. Samo przez się rozumiałe jest, że są to dla mnie rzeczy nieznośne, bowiem, jak to nierzadko bywa, rzucić one mogą, bez żadnej winy z mojej strony, cień na moją cześć i cnotę. Przychodziło mi już nieraz do głowy powiedzieć o wszystkim moim braciom, aby mu stosowną odprawę dali, ale wstrzymała mnie myśl, że mężczyźni w podobnych okolicznościach łatwo<sup>443</sup> do kłótni przyjść mogą, a później od słowa do słowa i do bitki. Chcąc więc zła i osławy uniknąć, wszystko milczeniem pokrywałam, póki do tej myśli nie przysłam, aby wam strapienia swoje wynurzyć, już to ponieważ zdajecie się żyć w przyjaźni z owym mężem, a także i dla tej przyczyny, że wam więcej niż każdemu innemu przystoi nie tylko przyjaciół, ale i nieznanym za podobne sprawy naganiać<sup>444</sup>. Błagam was więc, w imię miłości Boga, wytknijcie mu jego postępowanie i nakażcie mu, aby je na przyszłość odmienił. Mało li na świecie kobiet nakłonionych k'temu<sup>445</sup> i gotowych za podobne zachody hojnie wynagradzać? Takie przymilania, dla drugich ponętne, we mnie tylko najżywszy wstręt budzą.

Rzekłszy to, opuściła na piersi głowę, jakby gorzko zapłakać pragnęła.

Świątobliwy braciszek dorozumiał się od razu, kogo na myśli miała, uwierzył we wszystkie jej słowa, pochwalił ją za

---

<sup>443</sup> *łatwie* – dziś popr. forma: *łatwo*. [przypis edytorski]

<sup>444</sup> *naganiać* – tu: *ganić*. [przypis edytorski]

<sup>445</sup> *k'temu* (daw.) – do tego. [przypis edytorski]

jej zacieśnienie postanowienie i przyrzekł, że sprawę tym trybem powie, by szlachcic na przyszłość już jej niepokoić się nie ośmielał. Wiedząc zaś<sup>446</sup>, że jest to białogłowa bogata, zaraz wspomniał o dziełach miłosierdzia, o pomocy bliźniemu i o swoich potrzebach. Na to dama odparła:

– Zaklinam was, ojcze, w imię Boga, abyście obietnicy swojej dopełnili. Gdyby zaś ów szlachcic chciał się zapierać, rzeknijcie mu po prostu, że ja to wszystko wam wyjawiałam, skarżąc się na niego przed wami.

Skończywszy spowiedź i odpuszczenie grzechów otrzymawszy, dama przypomniała sobie słowa mnicha o miłosiernych uczynkach i miłości bliźniego, dlatego też wsunęła mu ukradkiem pieniądze do ręki, prosząc, aby msze za jej umarłych krewniaków odprawiał. Później podniosła się i do domu odeszła.

Wkrótce szlachcic przybył w odwiedzinach do mnicha, jak to często miał w obyczaju czynić. Gdy już o tym i o owym pogadali, mnich odciągnął swego gościa na stronę i w słowach przyjaznych napomniał go za owe zaloty i rozkochane spojrzenia, którymi damę prześladował.

Szlachcic z początku srodze się zadziwił, bowiem ani mu to w głowie powstało patrzeć na nią, rzadko zresztą koło jej domu przechodził. Jął tedy niewinności swej dowodzić.

– Nie udawaj takiego zadziwienia ani nie staraj się po próżnicy słów na zaprzeczenie tracić – rzekł mnich, nie dopuszczając go

---

<sup>446</sup> *zasię* (daw.) – zaś, natomiast. [przypis edytorski]

do słowa. – Uznałem o tym nie od sąsiadów; zważ, że sama mi o wszystkim opowiedziała, żaląc się gorzko na ciebie. Takie błazeństwa tobie nie przystoją, przy tym rzeknę ci, że jeśli jest na świecie białogłowa, której podobne przymilania są przeciwne, to jest nią ona właśnie. Dlatego też przez wzgląd na cześć twoją i jej spokojność proszę cię, zaprzestań ją napastować.

Szlachcic, bystrzejszym umysłem niżli świątobliwy braciszek obdarzony, przeniknął od razu istotny zamiar białogłowy, udawszy więc niejaki zawstydzenie, przyrzekł, że już więcej zalecać się do tej kobiety nie będzie. Pożegnawszy się z mnichem, udał się nieodwłocznie do domu owej damy, która codziennie w małym okienku czatowała na jego pojawienie się. Toteż gdy go ujrziała, tak żywa radość odmalowała się na jej obliczu, że szlachcic przekonał się zaraz, iż pojał dobrze słowa braciszka. Od tego dnia poczynając, jał<sup>447</sup> się nieustannie po onej ulicy przechadzać, ku swemu wielkiemu ukontentowaniu i radości damy; zachowywał przy tym należną ostrożność i udawał, że różne sprawy go tu przywodzą.

Dama, upewniwszy się, że podoba mu się równie jak i on jej, zapragnęła bardziej go pobudzić i dać mu wyraźny dowód swych miłosnych chęci. W tym celu w stosownym czasie udała się znów do świątobliwego braciszka i usiadłszy w kościele u jego nóg, gorzko płakać poczęła. Zaczny mnich przenikniony litością zapytał, co się stało?

Dama odparła:

---

<sup>447</sup> jać (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

– Cóż by innego, ojcze wielebny, jak nie nowa przykrość ze strony tego przekłętego od Boga przyjaciela waszego, na którego przed kilku dniami zaliłam się. Jak mniemam, przyszedł na świat na moje udręczenie, aby pozbawić mnie szczęścia i uczynić tak, bym już nigdy nie ośmieliła się wam do nóg upaść.

– Jak to? – zawołał mnich – zali nie przestał was jeszcze napastować?

– Bynajmniej – odparła dama – poczynając od tej chwili, gdy się wam na niego uskarżałam, on, widać przez przekorę i gniew na mnie, jął się przechadzać koło mego domu siedem razy częściej niż przedtem.

Gdyby tylko chodził i patrzył na mnie, pół biedy by z tym było, aliści<sup>448</sup> tak się rozzuchwalił, że wczoraj przysłał do mnie z poselstwem od siebie jakąś kobietę, która mi wręczyła w podarunku sakiewkę i pas, tak jakbym mała miała swoich pasów i sakiewek. To mnie w taki gniew wprowadziło, że straszny bym gwałt podniosła, gdybym nie obawiała się przez to grzechu popełnić i wam przykrości wyrządzić. Pohamowałam się więc z wielkim trudem i postanowiłam nic nie przedsiębrać, póki was o wszystkim nie uwiadomię. Oddałam sakiewkę i pas owej kobiecie i precz jej z domu iść kazałam, ale później zważywszy, że mogłaby podarki te dla siebie zatrzymać, jemu zasię powiedzieć, że je przyjął, jak to ponoć dzieje się niekiedy, przywołałam ją z powrotem, ze wstrętem z rąk jej przedmioty te odebrałam i przyniosłam je wam teraz, abyście

---

<sup>448</sup> aliści (daw.) – jednak, jednakże. [przypis edytorski]

mu je oddali i rzekli, że mi jego podarków nie potrzeba. Dzięki Bogu i szczodrości mego męża tyle mam sakiewek i pasów, że snadnie<sup>449</sup> bym go nimi zadusić mogła. Teraz zasię powiem wam, jako duchownemu ojcu, że jeśli ów szlachcic w spokoju mnie nie ostawi, poskarżę się moim braciom i mężowi. Niech wówczas będzie, co chce! Niechaj lepiej on ma za swoje, aniżeli ja miałabym z jego przyczyny być osławiona. Zaliż nieprawda, mój ojcze?

Rzekłszy to, płacząc w głos, wydobyła spod sukni wspaniałą sakiewkę i bogato haftowany pas i rzuciła je mnichowi na łono.

Ów, upewniony, że dama prawdę mówi, wziął te rzeczy z wielkim na obliczu pomieszaniem i rzekł:

– Wcale się nie dziwuję, moja córuchno, że się tym wszystkim turbujesz; nie tylko ganić cię za to nie będę, ale, przeciwnie, pochwalić cię muszę, że rad moich słuchasz. Niedawno napomniałem go ostro, aliści on źle obietnicę swoją zdzierzył<sup>450</sup>. Dlatego też za dawne plugastwa, do których nowe przydał, tak mu myślę uszu natrzeć, że mu raz na zawsze ochota do zalotów odejdzie. Ty zasię nie daj się unieść gniewu zapędom i nie wyjawiaj tych rzeczy swoim krewniakom, bowiem do czegoś gorszego jeszcze snadnie przyjść by mogło. Nie obawiaj się, aby cześć twoja jakiś uszczerbek przez to ponieść miała, ja bowiem będę zawsze, przed Bogiem i przed ludźmi, świadkiem twej uczciwości.

---

<sup>449</sup> *snadnie* (daw.) – łatwo. [przypis edytorski]

<sup>450</sup> *zdzierzyć obietnicę* – dotrzymać obietnicy. [przypis edytorski]

Dama udała, że te słowa nieco ją pocieszyły; skończywszy przeto mowę swoją, rzekła jeno, wiedząc dobrze o chciwości mnichów:

– Tej nocy zjawili mi się we śnie, świątobliwy ojciec, moi rodzice; zdawało mi się, że ciężkie katusze cierpią i że niczego tak nie łakną jak jałmużny, a zwłaszcza matka moja, która tak zasmuconą i wynędzniałą mi się okazała, że aż litość brała patrzeć. Sądzę, że wielkiego strapienia przyczyniają jej te obierze<sup>451</sup>, w jakie mnie wtrącił ów wróg Pana Boga. Dlatego też proszę was, abyście odprawili za ich dusze czterdzieści mszy św. Grzegorza, a także pomodlili się do Boga tak, aby Stwórca od mąk ich wybawił.

Rzekłszy to, wsunęła mnichowi do ręki dukat złoty.

Mnich chciwie pieniądź pochwycił i w stosownych słowach mnogimi przykładami pobożność jej utwierdziwszy, z błogosławieństwem swym ją odpuścił.

Po czym, gdy odeszła, nie podejrzewając wcale, że na hak przywiedziony został, posłał po swego przyjaciela.

Ów, widząc, że mnich jest srodze zagniewany, zaraz dorozumiał się, że nowe wieści od swojej damy otrzyma. Czekał tedy<sup>452</sup>, co powie mu braciszek. Ten z gniewem wielkim powtórzył jeszcze raz wyrzuty swoje i zgromił go ostro za nowe przewiny, jakie, według słów damy, popełnił. Szlachcic, nie mogąc zrazu pojąć, ku czemu słowa mnicha zmierzają, starał się

---

<sup>451</sup> *obierza* (daw.) – sieć. [przypis edytorski]

<sup>452</sup> *tedy* (daw.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

zaprzeczyć, że kiedykolwiek sakiewkę i pas jej posyłał, czynił to jednak niezdarnie, tak aby mnich nie zachwiał się w wierze, jakiej opowieści damy użył, jeśli to ona mu je wręczyła. Aliści braciszek rozjadował się nie na żarty i rzekł:

– Jakże możesz temu przeczyć, przewrotny człecze! Patrzaj, te oto podarki sama mi z płaczem przyniosła. Zali będziesz śmiało twierdzić, że ich nie znasz?

Szlachcic, uczyniwszy pozór srodze zawstydzonego, rzekł:

– Trudno zatem, przyznaję, że te przedmioty należą do mnie i że źle postąpiłem; przysięgam jednak, że widząc ją w swym postanowieniu tak niezłomną, nigdy już jej nie dam powodu na skargę na mnie.

Długo go gromił mnich głupi jak baran, aż w końcu oddał mu pas i sakiewkę, nie omieszkawszy przedtem pouczyć go i zakląć, aby więcej podobnych rzeczy nie czynił. Szlachcic przyrzekł i pożegnawszy się z braciszkiem, uradowany niezmiernie, tak z dowodnej oznaki afektów tej damy, jak i jej bogatego podarunku, natychmiast udał się pod jej dom i oględnie pokazał jej, że już podarki otrzymał. Dama wielce z tego ukontentowana, cieszyła się, że sprawy coraz to lepszym idą torem. Od tej chwili czekała tylko na wyjazd męża, aby swe starania pomyślnym uwieńczyć skutkiem. Wkrótce zdarzyło się, że tkacz musiał się do Genui udać. Gdy tylko z rana wsiadł na koń, dama pośpieszyła do mnicha i rzekła płacząc rzewliwie:

– Mówię wam, świątobliwy ojcze, że dłużej już wytrzymać nie jestem w stanie. Ponieważ jednak obiecałam wam, że nic

nie przedsięwzięmę bez uprzedniego uwiadomienia was, tedy przychodzę, ażeby usprawiedliwić się przed wami. Abyście zaś poznali, że mam przyczynę gorzko płakać i użalać się, chcę wam opowiedzieć, co uczynił ten szatan wcielony z piekła rodem, wasz przyjaciel, nie dalej jak dziś z rana przed jutrznią. Bóg jeden wie, w jaki sposób zwęszył, że mąż mój wczora do Genui wyjechał. Dziś z rana zatem wszedł do mego ogrodu i wdrapał się na drzewo rosnące naprzeciw mojej komnaty, której okna na sad wychodzą. Już zdołał okno uchylić z tym zamysłem, aby do mojej sypialnej komnaty wtargnąć, gdy nagle ja, obudziwszy się, zerwałam się z łoża i już krzyknąć wielkim głosem chciałam, aliści ów niezbyty natrętnik jął mnie zaklinać w imię miłości Boga i przyjaźni waszej, abym zmilczała, a potem powiedział mi, kim jest. Nie czyniąc więc przez wzgląd na was najmniejszego hałasu, pobiegłam tak naga, jaką na świat przyszłam, aby okno mu zaprzeć przed nosem. Widocznie zaraz uciec musiał, bowiem już go więcej nie widziałam. Osądźcie sami, ojczyźnie świętobliwy, zali to dalej cierpieć można? Co się mnie tyczy, to myślę temu raz wreszcie koniec położyć. Przez wzgląd na was zbyt wiele już od niego znieść musiałam.

Usłyszawszy te słowa mnich wpadł w gniew niezmierny i nie wiedział już sam, co rzecz ma, pytał tylko raz po raz, zali pewna jest; że był to ów właśnie szlachcic, a nie jakiś inny zalotnik.

– O wielkie nieba! – zawołała białogłowa – zaliż go od innego odróżnić nie potrafię? Mówię wam, że to on był; jeśliby starał się zaprzeczać, nie dawajcie mu wiary.

– Nic innego powiedzieć nie Iza<sup>453</sup>, moja córko – powiedział mnich – jak jeno<sup>454</sup> to, że jest to zuchwalstwo niepomierne i postępek plugawy; uczyniłaś, jak się należało, precz go przeganiając. Proszę cię jeno (skoro Bóg cię od wstydu ochronił!), abyś jeszcze raz za moją radą poszła i nie żaląc się przed krewniakami, mnie działać pozwoliła. Spróbuję, czy mi się nie da okiełznać tego wcielonego diabła, o którym sądziłem, że jest świętym człkiem. Jeżeli mi się uda bydłęce jego przyrodzenie<sup>455</sup> zwyciężyć, wszystko dobrze się zakończy, jeżeli zaś niemożliwe się to okaże, to damę ci obecnie wraz z błogosławieństwem słowo najświętsze, że pozwolę ci czynić z nim, co ci się podoba.

– Na ten raz jeszcze nie chcę wam turbacji przyczyniać i nieposłuszeństwa okazywać – rzekła białogłowa – postarajcie się jeno tak wszystko uładzić, aby mnie więcej nie prześladował, wówczas i ja przestanę was tą sprawą zanudzać.

Rzekłszy to, udała, że jest srodze gniewną, i do domu odeszła.

---

<sup>453</sup> *nie Iza* (daw.) – tu: nie można. [przypis edytorski]

<sup>454</sup> *jeno* (daw.) – tylko. [przypis edytorski]

<sup>455</sup> *przyrodzenie* (daw.) – tu: natura. [przypis edytorski]

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.